

II/1642/1K

© ARCHIWUM WSCHODNIE

ANTONI ROMIKA

spowiedź

BEZ ŻALU
ZA GRZECHY



WARSZAWA 1968

SPIS RZECZY.

I.	Dzieciństwo i lata szkolne	str.1
II.	Lata złotej młodości	str.15
III.	Pierwsze samodzielne kroki	str.31
IV.	Miłe złogo początki ...	str.43
V.	Przełomowe wydarzenia losowe	str.54
VI.	"Białe niedźwiedzie"	str.68
VII.	Aklimatyzacja	str.84
VIII.	Ciężka próba	str.99
IX.	Sielce na Okę, droga na front i pierwsze boje	str.113
X.	Ofensywa	str.127
XI.	Służba wojskowa w okresie pokoju i początki działalności zawodowej	str.147
XII.	Stopniowy powrót do normalnych warunków życia	str.157
XIII.	Podsumowanie	str.170
XIV.	Post scriptum	str.184
XV.	Listy	str.189

DZIECIŃSTWO I LATA SZKOLNE

Pierwsze moje wspomnienia sięgają 1914 roku, w którym miałem już siedem lat.

Wspomnienia te stanowią oderwane pojedynczo obrazy, bądź fragmenty przeżyć, które wskutek dużego napięcia emocjonalnego, mocniej wryły się w pamięć. A więc przypominam sobie otoczony wysokim płotem ogród owocowy i jednorodzinny drewniany dom z dużą werandą oszkloną kolorowymi szybami. W podwórku kilka szop i komórek, gołębnik na wysokim słupie, piwnica osypana ziemią i studnia. W jednej z komórek trzymaliśmy białą kozę, która stanowiła najatrakcyjniejszy obiekt gospodarstwa. Jeździłem na niej "konno" na zmianę z młodszym o dwa lata bratem Stasiem.

Oprócz kozy trzymaliśmy również króliki i gołębie. Podwórko pilnował suka "Nora", mieszaniec mopsa z buldogiem, uwiązana na łańcuchu swej budy.

Podwórko z budynkami oddzielał od ulicy ogród owocowy z alejkami obsadzonymi krzakami porzeczek i agrestu. Brzegiem ogrodu, podwórko z ulicą łączyła niezbyt szeroka, brukowana droga. Brama i furtka zamykane były na klucz, a dzwonek umieszczony na ścianie domu połączony był z furtką długim drutem, zakończonym rączką do pociągania. Dom, kryty papą, składał się z czterech pokoi, kuchni i werandy na parterze i z dwóch małych pokojów na poddaszu. Na tyłach domu znajdowała się murowana przybudówka mieszcząca łazienkę i ubikację.

Mieszkanie nie było skanalizowane, ani też nie posiadało wodociągów, ogrzewane było przy pomocy pieców kaflowych, a oświetlane lampami naftowymi. Składało się z pokoju stołowego, saloniku z pianinem i fotelikami wiecznie tkwiącymi pod białymi pokrowcami, z sypialni naszej matki i z naszego dzieciennego pokoju, którego okna wychodziły na podwórko, a więc z którego można było oglądać najatrakcyjniejsze dla nas szczegóły gospodarstwa; wysoki gołębnik, ponurą piwnicę i psią budę.

Cała posesja mieściła się przy cichej uliczce w pobliżu dworca kolejowego w Skierniewicach.

Jak to widać z dość szczegółowego opisu, pamięć moja dokładnie zarejestrowała obraz otoczenia, w którym wówczas żyłem, brak jednak we wspomnieniach z tego okresu jakichkolwiek zdarzeń. Wyjątek stanowią już przytoczone przeze mnie, zabawa polegająca na jeźdźeniu "na oklep" na kozie oraz dość niecodzienne wydarzenia, które obecnie opiszę szczegółowiej:

Co niedzielę odwiedzał nas ojciec, który stale przebywał w Łodzi, gdzie pracował jako architekt miejski i posiadał sześciopokojowe mieszkanie, które od dwóch lat zajmował wraz ze swą utrzymanką poznaną w Kijowie w czasie podróży służbowej.

Nam z matką kupił domek w Skierniewicach, łożył na nasze utrzymanie i odwiedzał nas co niedziela, każdorazowo przywożąc ze sobą w prezencie dużą paczkę delikatesowego prowiantu, a więc sery, wina, czekoladki, daktyle itp.

Otóż którejś niedzieli, gdy nadjechał ojciec, wszyscy wybiegli do furty na jego spotkanie i powitanie, nie wyłączając sukki "Nory", która oszołomiła się akurat w tym czasie i gubiła szosienięta biegnąc na spotkanie ze swym panem. Dla nas stanowiło to niebywałą sensację. Zebrałiśmy pogubione szosienięta, których, zdaje mi się, było aż tuzin.

Następnym zapamiętanym przeze mnie wydarzeniem - był związany z wybuchem pierwszej wojny światowej - postój na ulicy przed naszą bramą oddziału kozaków, którzy żartowali ze mną i z moim młodszym braciśkiem i sadzali nas na swe konie. Po tym zdarzeniu znów następuje luka w ciągłości wydarzeń, pamiętam jednak, że w związku z ofensywą Niemców, domek powierzony został opiece jakiegoś pracownika kolei, a my - dwaj bracia wraz z matką wycofaliśmy się na wschód i wyładowaliśmy w okolicy Mińska w majątku ziemskim, nad Berezyną, mego chrzestnego ojca - inżyniera Witolda Wańkowicza. Zamieszkaliśmy w obszernym dworze otoczonym starym parkiem, gdzie gospodynią była klucznica i niania Wańkowiczów, stara panna Alina.

Tam też poznałem młodszego brata Witolda, powszechnie znanego w Polsce Melchiora Wańkowicza.

Pamiętam, że któregoś dnia dwór odwiedziły dwie młode i przystojne panie. Melchior Wańkowicz opowiedział tym paniom, że na gzymsie - nad wysoką kolumnadą schodów wejściowych - znajduje się gniazdo jakiegoś dużego i rzadkiego ptaka. Zachęcił je do wejścia na gzyms po drabinie, po czym drabinę usunął i wystraszona kobiety oblała wodą z sikawki strażackiej używanej do podlewania klombów, a następnie poszedł sobie pozostawiając je mokre bez możliwości zejścia. Naturalnie, jak się okazało, żadnego gniazda na gzymsie nie było. Po dłuższym wzywaniu pomocy, ktoś z domowników wybawił z kłopotu ofiary tego niewybrednego żartu.

Witold Wańkowicz był poważniejszym człowiekiem, ale i jego też trzymały się żarty ispomujące nam, dzieciom. Zwykł on być mawiać z poważną miną: "bo życie jest ciężkie i bardzo niepewne".

Któregoś dnia przy obiedzie w licznym gronie jedna z pań opowiadała o jakimś nieporozumieniu, w trakcie którego tak się zdenerwowała, że aż się zaczerwieniła. W tym miejscu opowiadania Witold wtrącił zapytanie "ale z której strony?" co wywołało ogólną konsternację. Wybrnął wyjaśniając, że ciekaw jest, czy bardziej zaczerwienił się prawy, czy też lewy policzek.

I znów ciekawe zjawisko polega na tym, że z całorocznego pobytu u Wańkowiczów zapamiętałem tylko te dwa na ogół błabe i niewiele znaczące wydarzenia. Poza tym pamiętam zewnętrzny wygląd tak zwanego "pałacu" i odległą od dworu około kilometra biedną wieś pod lasem zwaną Pisiutą i zamieszkałą wyłącznie przez Żydów trudniących się rolnictwem.

Gdy wojska niemieckie zbliżyły się do Mińska, opuściliśmy z matką gościnne progi Wańkowiczów i udaliśmy się, jako uciekinierzy, dalej na wschód do osiedla Bogorodzkoje pod Moskwą, gdzie gościny udzielił nam, drugi przyjaciel ojca, inżynier Kazimierz Mieszkis, dyrektor fabryki wyrobów gumowych "Trigolnik". Tu rozpocząłem naukę w przygotowawczej klasie szkoły rosyjskiej.

Dwa lata spędzone pod Moskwą odegrały poważną rolę w moim życiu. Sześciopokojowe służbowe mieszkanie zajmował dyrektor z żoną, czternastoletnią córką i o kilka lat młodszym synkiem. Przebywał tam również jakiś krewniak - chłopiec w wieku około lat dziesięciu. Poza tym kucharka miała ośmioletnią córkę mieszkającą z nią razem. W ten sposób było nas łącznie sześcioro dzieci - prawie rówieśników, co stwarzało duże możliwości wspólnych zabaw.

Z tego okresu mego dzieciństwa, też pamiętam tylko najważniejsze wydarzenia, a mianowicie: pierwsze w moim życiu "brzydkie" zabawy z dziewczynkami, które skończyły się przytupaniem i laniem oraz straszne wrażenie, które sprawił na dzieciach widok potrutych bezdomnych psów, zdechłych z pianą na pyskach.

Pierwszy też raz w swoim życiu zabrany zostałem do opery w Moskwie na balet "Jezioro Łabędzie". W ciągu dwóch letnich sezonów jeździliśmy /ja i brat/ z matką nad Morze Czarne, na Krym do Eupatorii oraz do Jałty, Sewastopola, Symferopola, Gurzufa itp. miejscowości. Przypominam sobie, że w tym czasie do mojej matki 43-letniej bardzo przystojnej, samotnej kobiety zalecał się dobrze prezentujący się oficer huzarów. W Eupatorii matka przypadkowo spotkała swą przyjaciółkę "Lizę".

Mieszkaliśmy wówczas przy samej plaży w parterowym drewnianym budynku stanowiącym szereg wzajemnie przyległych, podobnych pomieszczeń składających się z pokoju i werandy. Pani Liza kwaterowała po sąsiedzku z nami. Któregoś dnia ja i brat zauważyliśmy, że znajomy oficer chyłkiem skradając się wszedł do pokoju zajmowanego przez Lisę.

Ciekawość nas poniosła, więc zakradliśmy się i jeliśmy podglądać przez dziurkę od klucza. Ku naszemu osłupieniu zobaczyliśmy, że pan oficer ściąga spodnie. Niestety, ktoś nas odpędził i nie poznaliśmy dalszego ciągu przygód luzara.

Przy pierwszej okazji zapytaliśmy koleżankę matki po co pan oficer zdejmował spodnie, na co uzyskaliśmy spokojne wyjaśnienie, że ochodziło o pokazanie blizny po ranie na nodze, jako dowodu waleczności i męstwa.

Tenże pan oficer nauczył mnie pływać. Zrobił to w sposób prosty. Na plaży wziął mnie w ramiona i wszedł do morza, gdzie zatrzymał się dopiero, gdy woda sięgała mu do szyi. Następnie opowiedział mi jak należy pływać, jak poruszać rękoma i nogami, w jaki sposób oddychać i rzucił mnie do wody. Po zanurzeniu się z głową napiłem się nieco słonej wody, a następnie w ciągu ułamka sekundy przypomniałem sobie posłyszane pouczenie i ku własnemu zdziwieniu wynurzyłem się na powierzchnię i popłynąłem w kierunku brzegu. W nagrodę otrzymałem czekoladę.

W innym czasie zatrzymaliśmy się gdzieś na wybrzeżu w dużym wielopiętrowym hotelu wybudowanym w formie ronda. Klatka schodowa umieszczona w środku tworzyła spiralę łączącą ze sobą pokoje wszystkich pięter.

W ciągu dnia zauważyliśmy z bratem, że nasza mama i pan oficer coś knują. Byli zaferowani, z ożywieniem rozmawiali po francusku, co uniemożliwiało nam zrozumienie treści. Podejrzewając jakiś spisek przeciw nam, umówiliśmy się z bratem, że będziemy czujni. Gdy przyszedł wieczór zostaliśmy wcześniej niż zazwyczaj ułożeni do snu. Udawaliśmy, że już śpimy i z zapartym tchem z przywieszonymi oczyma podglądaliśmy co będzie dalej.

Matka włożyła piękną suknię, po czym przyszedł wyslegantowany pan oficer i zabrał gdzieś matkę. Odczekaliśmy parę minut, a następnie zrozpaczeni i opuszczeni zaczęliśmy płakać. Rycząc wypadliśmy na klatkę schodową. W ciągu kilku minut otworzyło się ezereg drzwi i otoczył nas tłumek współlokatorów hotelowych. Jakies panie ułożyły nas spowrotem do łóżek i siedziały nad nami, aż do zasnięcia.

Następnego dnia od rana znalazła się mama, która sprawiła nam tęgie lanie. Wybrała się bowiem z wieczora ze znajomym oficerem na zabawę taneczną, my zaś swoim płaczem zmobilizowaliśmy opinię publiczną przeciwko "wyrodnej matce" i rozreklamowaliśmy jej lekkomyślny flirt z przystojnym oficerem.

Następne oderwane wspomnienie z tamtego okresu to pogładowa lekcja anatomii.

Na nasze nalegania, koleżanka matki Lisa wzięła nas ze sobą na jedną z przyjmowanych przez siebie kąpieli mineralnych. Rozebrała się przy nas i zamurzyła do głębokiej wody w wannie pozwalając podziwiać swe kształty i śmiając się z naszego podniecenia.

No i jeszcze jedno wspomnienie. Duży czarny kundel s przeciętą szklę nogą, z której strumieniem cikała krew. Pies biegał zatrwożony i w końcu usiadł na płytkim brzegu plaży, zamurzając skaleczoną łapę w słonej wodzie.

Możnaby to jeszcze uzupełnić zapamiętanym przeze mnie widokiem plaży oraz wspomnieniem łapania krabów i krewetek na kamienistym dnie wybrzeża morskiego. Dzięki się to w okresie Rewolucji Październikowej, a więc w czasie ważnych historycznych wydarzeń dziejowych, tym czasem moja pamięć przechowała jedynie te wydarzenia, które wydawały się niezwykle i powodowały poważniejsze przeżycia emocjonalne w niedojrzałym mym umyśle dziesięcioletka.

I znów oderwane wspomnienie strachu i rozpacz. Wyjechaliśmy w sześć osób motorówką w morze. W pewnej chwili motor zatrzymał się, okazało się bowiem, że w zbiorniku zbrakło paliwa. W tym samym czasie odbywały się manewry rosyjskiej floty wojennej. Otoczyły nas zewsząd statki wojenne podające sygnały zagrożenia motorówki wysoką falą wzbudzoną manewrami statków. Jednak łódka, wobec braku paliwa nie mogła się usunąć z zagrożonego terenu. Po chwili falowania gwałtownie się wzmogło i łódka rzucała jak lupiną. Wówczas przeżyłem największy strach w moim życiu. Położyłem się na dno łódki i ryczałem dzikim głosem.

Już nie pamiętam w jaki sposób zakończyła się opisywana przygoda, zdaje sobie jednak sprawę z grozy sytuacji przeżytej przez wszystkich jej uczestników.

Już w rok później zachowanie się moje w podobnych okolicznościach cechował bardziej celowy i ostry stosunek do rozgrywających się wydarzeń. Mieszkaliśmy wówczas w Woroneżu nad rzeką Woroneż. Matka wynajęła na przystanku łódź wiosłową, którą wybrała się z dziećmi, to jest ze mną i z moim bratem Stasiem, na dłuższą przejażdżkę po rzece. W pewnej chwili rozpętała się burza z piorunami, ulewą i wiatrem. Wzburzone fale rzeki uniemożliwiły skierowanie łódki do brzegu, zwrócenie jej bowiem bokiem do kierunku fal groziło wyróceniem. Musieliśmy więc intensywnie wiosłować w celu zbliżenia się do przystanku wylewając jednocześnie z łódki zbierającą się w niej gwałtownie wodę deszczową.

Po godzinie zmagani z siłą fali i wiatru dotarliśmy do rejonu przystani, gdzie podpłynęła do nas łódź ratownika i wybawiła z opresji. Byliśmy przemoczeni do nitki, wyczerpani fizycznie, lecz zadowoleni z własnej postawy i przeżytego niebezpieczeństwa.

Tak krótko różny sposób reagowania na grożące niebezpieczeństwo tłumacząc sobie nie tylko różnicą wieku, lecz przede wszystkim dużą samodzielnością myślenia i postępowania nabytą w burzliwych dniach rewolucji.

Mieszkaliśmy wówczas, jako sublokatorzy, zajmując jeden pokój w sześć osób. Moja matka i ciotka, ja, brat, kuzy i kuzynka - gnieździliśmy się razem zdobywając środki utrzymania ze sprzedaży cenniejszych przedmiotów mienia osobistego.

Któregoś dnia mój brat Staś złapał jeża i poszedł z nim na bazar, by go sprzedać. W domu został przez matkę pouczony, by żądał za jeża 2 ruble, a w ostateczności oddał go za jednego rubla, wobec czego obnosząc jeża po bazarze braciшек mój wykrzykiwał: "dwa ruble, z ustępowem rubel", no i naturalnie sprzedał "z ustępowem".

Następnym etapem pierwszej naszej wojennej tułaczki była miejscowość Jelnia, gdzie zajmowaliśmy znów w sześć osób mały jednoizbowy drewniany domek mieszczący się na przedmieściu. Całymi dniami przebywaliśmy na ulicach przyglądając się podwórkowym występom Ohińczyków, biorąc udział w pochodach i zebraniach ulicznych. Występowaliśmy jednak w charakterze statysów, braliśmy bowiem czynny udział w burzliwych wydarzeniach politycznych nie zdając sobie zupełnie sprawy ani z celu, ani też z treści rozgrywających się na naszych oczach i z naszym udziałem wydarzeń.

A był to rok 1918, to znaczy okres wystąpień Denikina, Kołaczka i działalności mniejszych band różnego typu.

Był to okres powszechnego niedostatku, wydawania żywności na kartki, wzburzonego umysłów i ścierających się poglądów, demonstracji politycznych oraz zebrań i przemówień propagandowych.

Dla nas, dzieci - okres ten był interesujący ze względu na burzliwość wydarzeń, ruchliwość ulicy, zbierające się wzburzone tłumy, gęste posterunki wojskowe, a od czasu do czasu strzelaninę, panikę i popłoch tłumy. Jednak merytoryczna treść wydarzeń nie docierała do naszej świadomości - byliśmy jeszcze zbyt młodzi i dziecinni.

W tym czasie ciocia czytała nam codziennie na głos Trylogię Sienkiewicza. Próbowaliśmy z bratem gry na cytrze i z zapalem strzelaliśmy do wróbla z wiatrówki, która wkrótce została nam zarekwirowana.

Od kilku już lat miałem własną wypchaną szarą małpkę w czerwonej szlafmicy na głowie. Pokochałem ją i bez niej nigdzie się nie chciałem ruszyć. Co jakiś czas małpka niszczyła się i brudziła, wówczas mama zabierała mi ją do doktora. Po powrocie od doktora małpka była jak nowa, co umacniało we mnie wiarę w wszechmoc lekarzy. W rzeczywistości stara i zużyta zabawka zamieniana była na identyczną nową.

Piszę o tym dlatego, że w pewnym momencie zjawił się nasz ojciec, który zajął się repatriacją swojej rodziny i swej siostry z dziećmi na teren Polski znajdującej się wówczas pod okupacją niemiecką.

Do wnętrza mojej małpki zostały zaszyte złote pięciorublowki, brylanty i inne kosztowności. W chwili mijania granicy rosyjsko-niemieckiej w Brześciu nad Bugiem, gdy wraz z innymi polskimi rodzinami znajdowaliśmy się w transporcie w jednym z wagonów towarowych - w czasie rewizji celnej, siedziałem w kącie wagonu trzymając małpkę w ręku. Na żądanie celnika podania mu małpki zrozpaczony rozplakałem się, co widząc celnik zrezygnował i w ten sposób bezwiednie przyczyniłem się do pomyślnego przekroczenia granicy.

Znów zamieszkailiśmy w opisanym już przeze mnie domku w Skierniewicach, który z wojny wyszedł oborną ręką. Pokoik na poddaszu zajmował niemiecki kolejarz.

Mieszkaliśmy w sąsiedztwie stacji i torów kolejowych, co oddziaływało na moją wyobraźnię. Biegając ulicą udawałem parowóz naśladować rękoma ruchy tłoków, a ustami syczenie pary. Moją beztroską zabawę zakłócił potężny policzek otrzymany od mijanego niemieckiego kolejarza, który niesłusznie posądził mnie o złośliwe przedrzeźnianie i chęć dokuczenia mu. Moje zaskoczenie było kompletne. Nie wiedziałem za co dostałem po głbie. Wzbudziło to jednak we mnie poważną niechęć do Niemców.

Toteż w chwili rozbrajania Niemców poszliśmy z bratem do naszego przy-musowego sublokatora, któremu w ramach rozbrojenia odebraliśmy wszystkie metalowe przedmioty nie wyłączając żeliwnego piecyka, z wyjątkiem zegarka, który pozostawiliśmy kolejarzowi.

Rozpocząłem naukę w polskiej szkole. Wkrótce ze względu na trudności finansowe, mój ojciec zmuszony był sprzedać zamieszkiwany przez nas domek. Matka z bratem przeniosła się do Łodzi, ja zaś musiałem pozostać w Skierniewi-

cach aż do końca roku szkolnego. Zamieszkałem w internacie prowadzonym przez jednego z nauczycieli tej szkoły. Kilkumastu uczniów młodszych klas zajmowało kilka pokoi w drewnianej willi z ogródkiem warzywno-owocowym. W nocy nie chciało nam się chodzić do ubikacji mieszczącej się na podwórku, więc załatwialiśmy się na progu budynku "podlewając" jego fundamenty. Jeden z naszych współlokatorów poinformował o tym nauczyciela prowadzącego bursę, wskutek czego musieliśmy wysłuchiwać nudnej wymówki. Postanowiłem zemścić się i porządnie dokuczyć "skarżypycie".

Gdy wszyscy w pokoju zasnęli, wstałem cicho, nalałem do dużej miednicy pełno wody, po czym ostrożnie ustawiłem miednicę na piersi śpiącego - ofiary swej złośliwości. Nie było to zadaniem łatwym. Początkowo dotknąłem tylko dnem miednicy do kołdry śpiącego utrzymując jej ciężar w dłoniach. Następnie unosząc i opuszczając miednicę w takt równego oddychania delikwenta, coraz to słabiej ją podtrzymywałem, aż w końcu udało mi się w ten sposób ustawić miednicę, bez rozbudzenia chłopca. Po dokonaniu opisanego zamachu, prędko skożyłem się w łóżku i czekałem na skutek. Po krótkim czasie sen mnie zmorzył. W pewnej chwili wszystkich uczniów rozbudził gromki hałas spadającej i toczącej się po podłodze miednicy i zrozpaczony krzyk ofiary kawału "ratunku, topię się". Zarządzono szczegółowe dochodzenie, które jednak nie dało wyników - sprawca nie został wykryty.

Wkrótce znany byłem w całej szkole, przyniosłem bowiem na lekcję fizyki do jednej z wyższych klas - pięciolitrową butlę tlenu uzyskanego z prażenia nadmanganianu potasu.

Wakacje spędziłem z bratem pod Łodzią w leśniczówce. Mieliśmy flower, wobec czego polowaliśmy na sójki, wiewiórki, dzikie króliki, zajace, sroki i w ogóle na co się dało. Raz, pamiętam, "upolowałem" kukułkę. Dla uświetnienia tej zdobyczy usmażyłem ją i zjadłem, chociaż wcale mi nie smakowała.

Któregoś dnia znaleźliśmy z bratem niewypał pocisku artyleryjskiego, zagrzebany w grzązkiej błocie. Wykopaliśmy go, a następnie rozpaliliśmy w lesie ognisko i położyliśmy pocisk przykrywając go jeszcze z wierzchu chrustem i grubszymi suchymi gałęziami. Odeszliśmy na odległość kilkudziesięciu metrów i położyliśmy się na ziemi w oczekiwaniu wybuchu. Po kilku minutach usłyszeliśmy przerażający huk i świst odłamków ścinających gałęzie nad naszymi głowami. Po przybyciu na miejsce wybuchu zobaczyliśmy, że las płonie. Zabraliśmy się energicznie do gaszenia pożaru. Po chwili nadbiegło jeszcze parę osób zrabionych odgłosem wybuchu i wspólnymi siłami udało nam się ugasić pożar lasu.

Pod koniec wakacji stałem w oknie leśniczówki, nabity flower trzymałem w ręku opierając lufę na stopie nogi. W pewnej chwili bezwiednie podciągnąłem do cyngiel i usłyszałem huk wystrzału. Byłem w skarpetkach i drewnianych trepach. Spojrzałem na nogę i zobaczyłem na skarpetce osmaloną dziurkę. Wobec tego, że nic nie poczułem, ucieczyłem się, że szczęśliwie kula przeszła pomiędzy palcami nogi. Wydało mi się jednak trochę dziwne, że mam aż tak długie palce, bo dziurka w skarpetce znajdowała się na połowie długości stopy. Spróbowałem dać parę kroków. Żadnego bólu nie odozuwałem. Usiadłem więc na łóżku i oznajmiłem ponurym głosem: "zdaje mi się, że przestrzeliłem sobie nogę", po czym zdjąłem skarpetkę i zobaczyłem lekko zapuchniętą malutką dziurkę na górnej powierzchni stopy. Od spodu była drobna szczelina, ale w skarpetce znajdowała się tylko jedna dziurka, a drewniany sandał również był cały. Nie bardzo sobie zdawałem sprawę z tego co zaszło. Po chwili chciałem wstać i wówczas z dziurki w stopie wyskoczył jakiś czopek i buchnęła krew. Od tej chwili nawet dotknięcie piętą do podłogi sprawiało silny ból. Owinięto mi nogę szmatami i odwieziono furą do Łodzi do szpitala. Przeżyłem przykre chwile, bo lekarz bezskutecznie szukał kuli w ranie. Po pewnym czasie kulę odnalazłem w skarpetce. W ostatecznym wyniku tego głupiego wypadku przez sześć tygodni chodziłem o kulach.

Po wakacjach zamieszkałem wraz z matką i bratem u ojca. Zajmowaliśmy wówczas jeden pokój w sześciopokojowym przedwojennym mieszkaniu, gdzie gospodynią była utrzymanka ojca. Przykra była sytuacja mojej matki, która choć już od wielu lat nie mieszkała z ojcem, to jednak formalnie była jego prawną żoną. Nic więc dziwnego, że co raz to wybuchały nieporozumienia, a nawet wręcz awantury. Na przykład za namową matki, a ku zgorzeleniu ojca, nie całowaliśmy tej pani w rękę.

Któregoś dnia przy stole w czasie obiadu doszło do poważnej awantury, która skończyła się w sposób wręcz nieoczekiwany. Panie zaczęły się obrzucać wzajemnie obelgami, co widząc ojciec uniósł wazę z zupą i upuścił ją na stół. Waza się stłukła, a zupa zalała cały obrus. Ucięto to nieprzyjemną wymianę zdań.

Dla nas, maluchów, opisana gorsząca awantura stanowiła niecodzienne i sensacyjne przeżycie, przy czym znów nie zdawaliśmy sobie sprawy z tego zajścia, całą swą uwagę i podziw zwracając na jego przebieg. Nio dziwnego, że w podobnej sytuacji pomimo braku środków, udało się ojcu wynająć nam z matką inne, tanie mieszkanie. Naturalnie, było to podłe, zaniedbane dwupokojowe mieszkanie w starej czynszowej kamienicy.

Ja z bratem uzyskaliśmy nową rozrywkę zabawiając się polowaniem na szczury grasujące po mieszkaniu. Zaczajając się z flowerem i trwając godzinami w bezruchu w półmroku. Gdy z dziury w podłodze wybiegał szczur - następował strzał i szczur najczęściej padał martwy. Któregoś dnia zarzuciłem wędkę do śmietnika w podwórku i szpakiem na słoninę żywego szczura. Zaopatrzyłem się w pudełko od ciastek do którego włożyłem szczura, po czym zawiązałem pudełko w elegancki papier, przewiązałem eznureczkiem i wyszedłem na spacer z tą paczuszką. W pewnej chwili "zgubiłem" paczuszkę, jednak jakiś przechodzień zwrócił mi uwagę na zgubę, co zmusiło mnie do podniesienia paczki i powtórzenia manewru gubienia. Zaczaliśmy się z bratem w pobliżu i zobaczyliśmy, że paczkę podniosła para młodych ludzi, prawdopodobnie małżeństwo, czy też narzeczeni. Po uważnym rozejrzeniu się znalazcy weszli pośpiesznie do najbliższej bramy. Po krótkim czasie usłyszeliśmy przeraźliwy kobiecy krzyk, po którym wzburzona para z żywą gestykulacją wyszła z bramy głośno oś wykrzykując.

W gimnazjum nauka szła mi nieźle, w domu uczyłem się gry na fortepianie i żyłem na ogół spokojnie i nieciekawie.

Jeden tylko wypadek zakłócił spokój dni powszednich i wywarł na mnie silne, przynębiające wrażenie. Na niezabudowanym placu obok zajmowanej przez nas kamienicy dokonano w nocy zabójstwa. Rano idąc do szkoły natknąłem się na zwłoki zamordowanego nożem mężczyzny, otoczone tłumem gapiów. Przy każdym mijaniu tego placu przypominałem sobie opisane wydarzenie.

Wkrótce przenieśliśmy się z matką do innego zupełnie przyzwoitego mieszkania, składającego się z trzech pokoi w amfiladzie, z kuchnią i łazienką. Równocześnie zarówno ja, jak też i mój brat Staś zostaliśmy przeniesieni do innego gimnazjum. Niestety, zmieniliśmy szkołę typu matematyczno-przyrodniczego na humanistyczną, co fatalnie wpłynęło na dalsze nasze postępy w nauce. W ostatecznym rozrachunku ja powtarzałem wszystkie klasy parzyste, a mój brat Staś, wszystkie klasy nieparzyste. W ten sposób na zmianę bądź uczęszczaliśmy do tej samej klasy, bądź też ja wyprzedzałem brata o jedną klasę.

Co prawda w ósmej klasie nie zostałem na drugi rok, lecz oblałem się na maturze, a następnie po roku zdawałem egzamin maturalny jako ekstern. W ten sposób uzyskałem maturę w wieku lat dwudziestu dwóch. Wróć jeszcze wspomnieniami do tych wydarzeń, a obecnie pragnę opisać czasy szkolne.

Z reguły razem z bratem zajmowaliśmy ławkę podpiecem, który częściowo zasłaniał nas od katedry. Na ławce nie wolno było trzymać zbędnych książek, ani też innych przedmiotów. Na lekcji łaciny nauczyciel podszedł do nas i stwierdził, że na ławce leży sterta książek, więc bez namysłu zrzucił te książ-

ki na podłogę, po czym polecił nam je pozbierać. W odpowiedzi nie ruszyliśmy się z miejsc mruczając pod nosem: "kto zrzucił, niech i zbiera". Wynikła z tego poważna awantura zakończona wizytą ojca w szkole. Od tej chwili mdleliśmy się z tym nauczycielem na pieńku, co nie wpływało dobrze na nasze stopnie z łaciny.

Wśród kolegów w klasie mieliśmy grubego i niezdarnego chłopca narodowości żydowskiej, którego w czasie przerwy posadziliśmy z bratem na piec kaflowy, tak że nogi zwisały mu z pieca, a głowa sięgała aż do sufitu. Aż do drugiego dzwonka nie pozwoliliśmy go zjechać kolegom, on zaś sam bał się zeskoczyć z wysokiego pieca. Wszedł do klasy wykładowca i cały incydent zakończył się jak zwykle jego słowami: "bracia Kuce, natychmiast marsz za drzwi".

Bardzo lubiłem matematykę i doskonale orientowałem się w przerabianym materiale, jednak zachowanie się moje na lekcjach arytmetyki i geometrii było na ogół skandaliczne, więc wykładowca, bardzo sympatyczny i lubiany nauczyciel, zapowiedział raz na zawsze, że gdy on wchodzi do klasy, ja klasę muszę opuścić wychodząc za drzwi. Stanowiło to dla mnie dotkliwą karę, interesowały mnie bowiem przedmioty matematyczno-fizyczne. Stałem więc za drzwiami śledząc pilnie przez szybę przebieg lekcji. Gdy nauczyciel zapytywał kto wie jak dalej rozwiązać zadanie, ja natychmiast uchylałem drzwi wsuwając w szparę rękę z uniesionymi dwoma palcami. Nauczyciel ukontentowany mówił: "no chodźcie bakwanie, chodź" i brał mnie do tablicy, przy której popisywałem się znajomością przedmiotu.

Któregoś dnia, gdy przywrócono mi prawo siedzenia w klasie na lekcjach arytmetyki, przyniosłem do szkoły zabawkę. Była to mosiężna główka pieska zaopatrzona gumowym zbiorniczkiem, naciśnięcie którego powodowało wydawanie głosu naśladującego szczekanie. Włożyłem pieska za cholewkę bucika w ten sposób, że przyciskając nogę do nogi powodowałem "szczekanie".

Przez całą godzinę lekcyjną trwała zabawa polegająca na tak sprytnym poszczekiwanii, by nauczyciel nie mógł zorientować się który z uczniów i w jaki sposób wywołuje te niepożądane dźwięki. W końcu około dziesięciu domniemanych winowajców znalazło się za drzwiami, a między nimi był również i ja.

Któregoś dnia na lekcji arytmetyki opisywałem w brulionie przyjacielowi szkolnemu z tej samej klasy - moje jak najbardziej intymne i nieprzyzwyczajone przygody z dnia poprzedniego, nie szczędząc szczegółowych w treści, a ordynarnych w formie opisów. W pewnej chwili poczułem, że mnie ktoś ciągnie za ucho. Ku swemu przerażeniu uświadomiłem sobie, że stoi obok mnie

nauczyciel arytmetyki i czyta moje wynurzenie. "Pokaż co tam masz bałwanie jeden". Nie miałem innego wyboru i musiałem oddać brulion. Profesor przeczytał uważnie moje notatki od początku do końca, następnie przerzucił parę kartek, natrafił na jakiś rysunek i zwrócił mi brulion z uwagą, bym nie rysował w czasie jego lekcji.

Od tej chwili opanował nie tylko mój umysł, lecz także i serce. Jeszcze dziś z rozrzewieniem wspominam tego z pozoru tak bardzo srogiego, a w gruncie rzeczy serdecznego i dobrego człowieka.

Do najważniejszych kawałów z czasów szkolnych należy chyba zorganizowany przeze mnie i mego brata strajk.

Wskutek nieporozumienia z dyrektorem gimnazjum w sprawie dostawy węgla na opał słuźbowego mieszkania - zwolniony został z pracy w naszej szkole spokojny i lubiany nauczyciel języka polskiego. Wykładowca ten znał na pamięć wszystkie dzieła Mickiewicza. Każdy uczeń odpowiadał na stopień raz w ciągu kwartału, w alfabetycznej kolejności początkowej litery nazwiska. W przypadku hałasu w klasie, pan nauczyciel głośną palcami własny, długi nos i zadawał pytania z formułek gramatycznych, sypiąc przy tej okazji dwójkami. Takie dwójki były straszne, bo na ich poprawienie trzeba było czekać czasami po kilka miesięcy. Toteż na ogół w klasie w czasie lekcji polskiego panowała idealna cisza, wśród której profesor recytował z pamięci wyjątki z "Pana Tadeusza".

Trudno więc opisać niezadowolenie klasy, gdy oznajmiono nam o zmianie nauczyciela. Postanowiliśmy zaprotestować i okazać swą dezaprobatę przez strajk. Zapowiedzieliśmy z bratem i jeszcze kilku krewkami koleżkami, by następnego dnia nikt w szkole nie śmiał zjawić się na lekcje.

Nazajutrz od siódmej z rana pikietowaliśmy bramę budynku szkolnego odpędzając wszystkich uczniów idących do szkoły. Ryliśmy wówczas nad wiek rozwiniętymi silnymi kilkunastolatkami, którzy potrafili wymusić posłuch.

W wyniku naszej akcji tego dnia w poszczególnych klasach obecnych było od kilku do kilkunastu uczniów. Następnego dnia dyrekcja szkoły wszczęła dochodzenie. Prawie wszyscy nieobecni dnia poprzedniego, naturalnie z wyjątkiem mnie i brata, przynosili lekarskie usprawiedliwienia nieobecności z powodu różnych niedyspozycji czy chorób. Odprawiony zostałem do domu, otrzymałem czwórkę ze sprawowania i miałem, tak zresztą jak i mój braciszek, poważne przykrości. Nie zostaliśmy jednak wydalenii ze szkoły, była to bowiem szkoła prywatna, a my jako dwaj bracia czysto pozostawiani w poszczególnych klasach na drugi rok - stanowiliśmy pewne źródło dochodu dla szkoły.

Lekcje śpiewu odznaczały się u nas brakiem jakiegokolwiek dyscypliny, hałasem i żywiołowością.

Któregoś dnia, gdy po lekcji śpiewu miała być lekcja języka oboego, umyślnie spowodowaliśmy w końcu lekcji taki hałas, że dzwonek na pauzę został zagłuszony i lekcja trwała dalej. Równie skutecznie zagłuszaliśmy śpiewem głos dzwonek zapowiadających następną lekcję i doczekaliśmy się wejścia do klasy profesora języka francuskiego.

Był to rodowity Francuz, nie władający językiem polskim. Nauczyciel śpiewu nie znał języka francuskiego. Ku naszej więc uciechu i radości nastąpiła konsternacja. Wykładowcy dziwili się niezrozumiałości dla nich równoczesną obecnością w klasie, lecz nie mogli się od razu porozumieć ze względu na swą różnojęzyczność.

A oto inna przygoda: W karnawale wybraliśmy się z bratem i znajomymi panienkami na bal maskowy, na którym spotkaliśmy nowego profesora języka polskiego. Opowiedzieliśmy jednej ze znajomych pań wszystko cośmy wiedzieli o profesorze, a następnie namówiliśmy ją, by jako maseczka zaczęła go i zaintrygowała zalotnością, uśmiechem oraz zainteresowaniem jego osobą - z wykorzystaniem pozyskanych od nas wiadomości o nim.

Był profesor zainteresowany młą zaczepką przystojnej maseczki wdał się z nią w rozmowę, zjawiliśmy się z braciszkiem i porwaliśmy panienkę pozostawiając oszupiałego pana w samotności. Następnego dnia wezwał nas do siebie dyrektor gimnazjum pouczając, że bały maskowe nie są odpowiednim miejscem dla zabawy uczniów.

W końcu roku szkolnego, a byłem wówczas już w siódmej klasie - zostałem wezwany do pokoju nauczycielskiego, w celu poprawienia ostatecznego stopnia z języka polskiego. Miałem bowiem z tego przedmiotu dwójki za wszystkie tercjały, czy też kwartały. Poprawkowe zapytania i odpowiedzi odbywały się bez świadków w pustym pokoju. Profesor zapytał mnie na czym wsorował się Kochanowski pisząc swe treny po śmierci Urszuli? Odpowiedziałem, że na eklogach łacińskich. A czy nie mógłbym przytoczyć po łacinie treści eklogów? Nie! No to wobec tego proszę powiedzieć, gdzie był Prus ranny w czasie powstania styczniowego? "W plecy niżej krzyża" brzmiała moja bezczelna odpowiedź. "Dwójka, jako ocena roczna!" padło z ust profesora, na co ja podniosłem się z krzesła, na którym siedziałem, złapałem je za nogę i uniosłem nad swą głowę. Usłyszałem w tejże chwili "no już dobrze, trójka, trójka - uspokój się" i w ten sposób wymogłem pożądaną dostateczną ocenę.

Na lekcjach francuskiego z reguły hałasowałem i przeszkadzałem innym. Profesor nazywał mnie "o sacre idiot" co ja sobie tłumaczyłem jako "święty idiota", gdy jak się to później okazało epitet oznaczał "przeklęty idiota". Otóż nauczyciel ugodowo pozwolił mi odrabiać inne lekcje i zajmować się czym mi się ~~ch~~zwania podoba bylebym nie hałasował i nie przeszkadzał w prowadzeniu nauki języka francuskiego.

Nic więc dziwnego, że po takich lekcjach o języku francuskim nie miałem pojęcia. Wobec tego przed maturą wzięłem kilkanaście prywatnych korepetycji z francuskiego, w czasie których nauczyłem się na pamięć jednego z rozdziałów z obowiązkowej lektury. Na karteczce wypisałem nazwę książki, stronę i rozdział przeze mnie wyuczony i kilka dni przed maturą wsunąłem karteczkę do ręki profesora.

W trakcie pisemnego egzaminu maturalnego wybrałem wolny temat, który ściągnąłem z bryka pt. "tematy maturalne". Trzeba jednak było mieć pecha, by cały temat przepisać bezbłędnie i opuścić przy tym dwa wiersze tekstu.

Z dwójką z francuskiego dopuszczono mnie do egzaminu ustnego, który szedł mi zupełnie nieźle. W przerwie wyszedłem na korytarz i jałem głośno recytować po francusku wyuczony rozdział. W pewnej chwili korytarzem przechodził jakiś pan, na którego nie zwróciłem większej uwagi. Okazało się jednak, że był to delegat z kuratorium. W drugiej połowie egzaminu maturalnego otrzymałem kartkę z tematem z francuskiego. Na kartce wypisane było polecenie przeczytania i przetłumaczenia wyuczonego przeze mnie rozdziału książki, jednak oznaczony rozdział był przekreślony czerwonym atramentem i poprawiony na następny.

Gdy zacząłem czytać wskazany tekst - wszyscy obecni z wyjątkiem nauczyciela języka francuskiego i delegata z kuratorium - opuścili pokój, nie mogli bowiem powstrzymać się od śmiechu spowodowanego moją beznadziejną wymową. Cały egzamin wydawał mi się koszmarem. Nie rozumiałem ani słowa z tego, o co mnie pytał nauczyciel. Odpowiadałem fatalnie w wyniku czego nie uzyskałem matury.

Po roku nauki języka francuskiego ponownie zdawałem jako ekstern i dostałem świadectwo maturalne, jednak pod warunkiem, że nie będę się starał dostać na żadną wyższą uczelnię, by nie skompromitować szkoły brakami w wykształceniu humanistycznym.

LATA ZŁOTEJ MŁODOŚCI

Jeszcze w okresie lat szkolnych, jako kilkunastoletni wyrostek zakochałem się w uczennicy żeńskiego gimnazjum, sierocie, wychowywanej przez swą ciotkę trudniącą się dostarczaniem bydła do rzeźni miejskiej. Obiekt mojej miłości - Ela była skromną i miłą dziewczyną. Ja naturalnie chciałem w jej oczach uchodzić za bohatera, więc silnie się na niecodzienne wyczyny.

Któregoś dnia zorganizowaliśmy z bratem w naszym mieszkaniu zabawę, na którą zaprosiliśmy kolegów i znajome dziewczyny. Ja przyprowaździłem Elę. Wpadliśmy na pomysł upicia dziewczyn i w tym celu sporządziliśmy piorunującą mieszankę portera ze spirytusem. Po kilku dniach "przegryzania się" uzyskaliśmy łagodny w smaku napój, który można było pić dużymi kieliszkami, jak lemoniadę.

W czasie zabawy, w której wzięło udział kilkanaście osób, chcąc czymś zaimponować ukochanej Eli - z miną bohatera podszedłem do tacy, na której ustawione było dwanaście pełnych kieliszków i w ciągu niespełna minuty opróżniłem je wszystkie. Wkrótce goście zaczęli rozchodzić się. Naturalnie odprowaździłem Elę do jej domu.

W drodze powrotnej poczułem, że tracę władzę w nogach i nie mogę utrzymać równowagi, a umysł mój pracuje w zwolnionym tempie.

Szedłem pustym chodnikiem zataczając się lekko. Gdy spostrzegłem idącego naprzeciw przechodnia pomyślałem, że należy mi zejść z drogi, więc całą siłą woli zmuszałem się do stąpania brzegiem chodnika. Jednak skutek mych wysiłków był niezamierzony i niespodziewany, bo całym rozpędem uderzyłem się o mur budynku. Nauczony przykrym doświadczeniem, przy mijaniu następnego przechodnia skierowałem się ku wewnętrznej krawędzi chodnika, lecz znów nie potrafiłem utrzymać się na jego brzegu i wpadłem do rynsztoka.

Ostatkiem sił dobrnąłem do domu, gdzie nie rozbiarając się upadłem na kółko. W głowie mi się kręciło i huczało; zasnąłem. Po przebudzeniu się stwierdziłem, że leże rozebrany w pościeli, a od kółka do łazienki biegają podejrzane ślady tak zwanej "morskiej choroby".

Opisane wydarzenie stało się kamieniem milowym w mojej edukacji życiowej. Od tego czasu nigdy już lekkomyślnie nie przebrałem miary w picciu, wyeliminowałem też ze swego zachowania się postępkę i gesty aktorskie, obłożone na efekt.

W pół roku później ciocia Eli wyjechała do Lwowa po zakup partii świni, skorzystałem więc z nadarzającej się sposobności, by spędzić noc razem z ukochaną.

Z wieczora zabrałem z domu niezbędne książki i drugie śniadanie, oznajmiając mamie, że zanoconuję u kolegi i udałem się do mieszkania Eli. Około północy, gdy w stroju adama leżałem przytulony do ukochanej dziewczyny, rozległo się pukanie, a następnie usłyszeliśmy zniecierpliwiony głos cioci domagający się wpuszczenia do mieszkania.

Zerwałem się z łóżka i w gnieniu oka zapiąłem płaszcz na wszystkie guziki, zatkałem koszulą pozostały otwór na szyję i w ten sposób uzyskałem coś w rodzaju dużego worka, do którego zgarnąłem całą resztę swego ubrania, nie wyłączając butów i teczki z książkami.

Następnie na golasa z "workiem" w ręku zacząłem się miotać po pokoju. Zajrzałem pod kóżko, lecz tam stały walizki nie pozostawiając miejsca na ukrycie się. W szafie też było za ciasno, oknem uciec nie mogłem, mieszkanie bowiem mieściło się na pierwszym piętrze, a przed samym oknem znajdowała się latarnia uliczna, oświetlająca okno.

W tym czasie Ela włożyła szlafrok i grając na zwłokę rozpoczęła przez zamknięte drzwi rozmowę z ciocią, a więc "kto tam", a następnie "już idę ciociu".

Wypadłem do przedpokoju, gdzie od razu rzuciła mi się w oczy nisza w ścianie, zasłonięta firanką. W niszy stał kosz z brudną bielizną i piecyk żeliwny. Natychmiast położyłem się na wznak do kosza z bielizną, podkurczyłem nogi i oparłem pięty o piecyk, trzymając nad sobą tobołek z ubraniami. Firanka mocno się wypięła. Ela przestawiła wieszak, tak by nieco zasłonił sobą niszę, a następnie otworzyła drzwi i wpuściła ciotkę. W przedpokoju paliło się światło, wobec czego widziałem przez firankę wszystko co się tam działo.

Ciotka zdjęła płaszcz i powiesiła go na wieszaku. Był to straszny moment, znajdowałem się bowiem wówczas w odległości około jednego metra przed ciotką Eli, która jednak niczego nie podejrzewając powiesiła płaszcz i poszła sobie do pokoju. Minęło około kwadransa, mnie ścierpły plecy, ręce i nogi w niewygodnej pozycji, każde jednak nawet najłżejsze poruszenie się powodowało gwałtowne trzeszczenie kosza, co uniemożliwiało mi wygodniejsze ułożenie się.

W pewnej chwili ciocia przerwała rozmowę i poleciła Eli zobaczyć co też tam tak trzeszczy w korytarzu. Ela zamknęła za sobą drzwi do pokoju, a następnie otworzyła drzwi frontowe i wówczas ja wyskoczyłem z kosza i wypadłem na klatkę schodową. Stałem przez chwilę nago, po czym szybko wszedłem na poziom poddasza, gdzie spokojnie ubrałem się.

W kilka lat później przydarzyła mi się podobna przygoda. Otóż sześciu kolegów szkolnych, w tym ja i mój braciszek, wynajęliśmy sublokatorski pokój z oddzielnym wejściem. Każdy z nas miał ten pokój do dyspozycji w określonym dniu tygodnia. Pokój z mieszkaniem głównych lokatorów łączyły drzwi zamknięte na klucz od wewnątrz.

Któregoś dnia przyszedłem do pokoju ze znajomą ekspedientką, do której już od dłuższego czasu smoliłem cholewki. Po wypiciu wina i zjedzeniu paru ciastek zaczęliśmy się całować po czym wylądowaliśmy w kółku. Rozmawialiśmy szeptem, lecz o tyle głośno, że usłyszał to główny lokator.

W pewnej chwili posłyszałem pukanie do drzwi łączących mój pokój z resztą mieszkania. Podszedłem do drzwi mówiąc, że nie mogę otworzyć, bo jestem nie ubrany, na co usłyszałem zapewnienie, że otrzymałem list, więc wystarczy tylko uchylić drzwi, by można było mi go podać. Gdy otworzyłem z klucza i uchylimem drzwi, gospodarz cofnął się o krok a następnie nieoczekiwanie dla mnie z rozpędem całym ciężarem swego ciała pchnął drzwi i wpadł do mego pokoju, w którym było ciemno. Za nim wbiegła jego żona on zaś podbiegł do drzwi prowadzących na klatkę schodową, otworzył je i wpuścił jeszcze jednego nieznanego mi mężczyznę. Gospodyni zawołała: "Lutek, zapal światło".

Zapalenie oświetlenia gazowego wymagało nieco czasu. Należało przystawić krzeselko pod wiszącą u sufitu lampę, odkręcić kurek i zapalić zapałką światło. Po chwili w oświetlonym pokoju stałem w kalsonach między obcymi ludźmi. Znajoma dziewczyna stała obok kółka już kompletnie ubrana, nawet w płaszczu i kapeluszu. Gospodyni krzyknęła: "Lutek, leć po policję". Wówczas ja kzepnąłem znajomej jedno słowo: "krzycz!" Dziewczyna zaczęła zawodzić i lamentować: "niech pan nie idzie po policję", "co też pan chce zrobić" itp. wykrzykując coraz to głośniejsze, co wprowadziło w zakłopotanie naszych prześladowców, obawiających się skandalu i obmowy sąsiadów.

Korzystając z tego wyprosiłem wszystkich na chwilę w celu umożliwienia mi ubrania się. Wkrótce po tym opuściliśmy niegościnniej lokal.

Następnego dnia przyszedłem rozmówić się z gospodarzami mieszkania, którzy wymagali ode mnie zdradzenia nazwiska i adresu sprowadzonej przez mnie panienki, w celu uprzedzenia jej rodziców o niewłaściwym prowadzeniu się córki. Ja jednak zrobiłem zdziwioną minę i wyjaśniłem, że nie znam nazwiska tej pani, była to bowiem dziewczyna z ulicy.

Mijało się to z prawdą, wybawiło jednak z kłopotliwej sytuacji. Naturalnie, wymówiono nam pokój, ale obeszło się bez interwencji policji, czego jako uosób obawiałem się najwięcej, mogło to bowiem spowodować wyrzucenie mnie

ze szkoły. Jednak opisana historia nie ostudziła mego zapachu do przygód.

Wkrótce zdarzyło mi się podczas nocnego spaceru ulicą spotkać bardzo efektownie wyglądającą "oóre Koryntu". Spróbowałem ją zaczepić, natychmiast jednak zapach mój ostudziły słowa: "czepiaj się pan ściany, a nie mnie"! Nie xraziło mnie to i wkrótce znaleźliśmy się u nas w mieszkaniu w trójkę: ja, mój brat Staś i Wiesia A.

Nad ranem przepici i trochę już zmudzeni wszczęliśmy z Wiesią serdeczną rozmowę, z której dowiedzieliśmy się, że jest ona córką pułkownika, która kilka lat temu jako uczennica piątej klasy gimnazjum zakochała się w pewnym poruczniku, porzuciła rodziców i szkołę i uciekła z ukochanym z Łodzi do Skierniewic, gdzie znajdowała się jego jednostka wojskowa.

Po roku szczęśliwego współżycia - porucznik wpłatał się w ciemne interesy, przegrał w karty poważniejszą sumę pieniężną, a następnie dopuścił się jakiejś defraudacji. Po ujawnieniu nadużyć bohater popełnił samobójstwo, pozostawiając swą kochankę bez środków do życia.

Wiesia bała się wrócić do domu rodzicielskiego, cierpiała przez pewien czas głód i niedostatek, aż stopniowo stoczyła się na dno i wyszła na ulicę. Obecnie marzy o możliwości wyrwania się z otaczającego ją środowiska i powróceniu do normalnego tryb życia.

Rozczuleni opowiadaniem ulokowaliśmy Wiesię w wolnym pokoju jednego z kolegów, przynosząc jej codziennie wykradane cichaczem z domu kotlety, chleb, wędliny i inne wiktuały.

Po tygodniu Wiesia zdecydowała się na stanowczy krok i poszła do spowiedzi wyznając wszystko przed konfesorą i prosząc księdza o pomoc. Ksiądz polecił jej zgłosić się na plebanie po kilku dniach.

Poczynania Wiesi zakończyły się pomyślnym wynikiem, bo opatrzona listem polecającym księdza, uzyskała pracę zarobkową jako kelnerka w cukierni. Na początku roku szkolnego została przyjęta do żeńskiego liceum pedagogicznego i zamieszkała w bursie uczniowskiej. Dziwnie się czułem tańcząc z Wiesią na harcerkiej zabawie tanecznej, lub odwiedzając ją w bursie, gdzie tylko urodą odróżniała się od reszty uczennic.

Nie udało się jednak Wiesi utrzymać na powierzchni, w rok bowiem później znów poznała jakiegoś oficera, z którym uciekła porzucając naukę i pracę.

Wiele lat później, gdy byłem już studentem, spotkałem przypadkowo w tramwaju elegancką panią w futrze w towarzystwie poważnego pana, przypominającą Wiesię swym wyglądem i sposobem poruszania się.

Zebrałem się na odwagę, zaczepiłem nieznaną i zapytałem ją czy nie jest czasem Wiesławą A, na co uzyskałem twierdzącą odpowiedź "Miło mi spotkać pana po tak długim niewidzeniu się. Jak się panu powodzi? Ach, przepraszam, to mój mąż, a to dobry znajomy sprzed kilku laty". Cóż miałem robić. Grzecznie ucałowałem podaną mi rączkę, uściśnłem dłoń męża, wypowiedziałem kilka konwencjonalnych zdań i niestety do tego musiałem się ograniczyć.

Przykład perypetii życiowych Wiesi nasuwa mi na myśl wniosek, że kobieta o pewnym poziomie kulturalnym i intelektualnym, wskutek niesprzyjających okoliczności, może stoczyć się nawet na samo dno upadku, nie będzie jednak zdolna do trwania w takim stanie i prędzej, czy później wróci do normalnego trybu życia.

Utwierdza mnie w podobnym mniemaniu następująca wieloletnia historia jeszcze jednej znajomości. Jako uczeń szóstej klasy gimnazjum wzięłem udział w tak zwanej "bibce", to jest w składkowej zabawie uczniowskiej zorganizowanej w naszym mieszkaniu.

Przyprowadziliśmy z kolegami znajome dziewczyny, wśród których uczennice gimnazjum stanowiły raczej wyjątki, większość zaś rekrutowała się spośród ekspedientek, kelnerek i robotnic. Jeden z moich kolegów zaprosił swego starszego brata, studenta Politechniki Gdańskiej, który przyprrowadził ze sobą dwudziestoletnią dziewczynę z półświatka. Była to przystojna, dobrze zbudowana i elegancko ubrana, kobieta zachowująca się dość swobodnie. Jak się o tym później przekonałem Henia, bo tak było jej na imię, córka gospodarza wiejskiego była półanalfabatką.

W naszym uczniowskim mniemaniu Henia, zarówno wyglądem jak też i sposobem bycia, wyróżniała się korzystnie spośród zaproszonych znajomych dziewczyn. Nic więc dziwnego, że moja gościnność posunęła się tak daleko, że Henia pozostała u nas aż do rana. W myśl jednak zasady "nic darmo", kosztowało mnie to dziesięć złotych /równowartość obecnych 150 złotych/.

Tak się zapaliłem do nowej znajomości, że zaprosiłem Henię na następną wieczór. Po powrocie ze szkoły postarałem się o zdobycie niezbędnych następnych dziesięciu złotych.

Zapach mój nie stygł, w myśl więc zasady "do trzech razy sztuka" zaprosiłem przemilą Henię po raz trzeci. Tym razem jednak mimo usilnych starań, nie udało mi się zdobyć dziesięciu złotych, wobec tego wręczyłem Heni w zastaw kieszonkowy złoty zegarek z łańcuszkiem. Jednocześnie zapisałem sobie nazwisko i adres dziewczyny. Po tygodniu udałem się pod wskazany adres w celu odebrania

zegarka. Heni w domu nie zastałem. Współlokatorki śmiejąc się poinformowały mnie, że Henia przebywa w szpitalu miejskim. Długo się nie namyślając zmieniłem uczniowską czapkę na tak zwaną cyklistówkę, zaopatrzyłem się dodatkowo w paczkę papierosów i w ćwiartkę wódki i udałem się do szpitala znajdującego się na przedmieściu.

Budynek szpitalny sprawiał wrażenie dużej czynszowej kamienicy, w której wszystkie okna od ulicy były zabite naглуcho deskami. Bramę otworzył mi dozorca, tęgi starszy pan z bielmem na jednym oku i z buldogiem trzymany na smyczy i poinformował niezbyt uprzejmie, że dziś nie jest dzień przyjęć, po czym zatrzasnął mi bramę przed nosem.

Stałem chwilę namyślając się co robić dalej. W międzyczasie brama otworzyła się ponownie i ukazała się w niej kobieta w stroju pielęgniarki, zapytując o co mi chodzi. Skłamałem, że jestem bratem chorej, że przyjechałem ze wsi i że chciałbym się z nią choć na parę minut zobaczyć.

Zostałem wprowadzony do środka. Mijałem szereg czystych sal zastawionych bądź łózkami, bądź też stołami zestawionymi w szereg i pokrytymi białymi obrusami. Obok stołów stały krzeszka, a obok łóżek nocne stoliki.

Wkrótce znalazłem się w sali sypialnej zajmowanej na ogół przez młode przystojne kobiety zachowujące się stosunkowo cicho, spokojnie i z godnością. Wśród nich poznałem Henię, która bardzo się ucieszyła z moich odwiedzin, żywiło wyściskała mnie i ucałowała i po krótkiej rozmowie udała się do dyrekcji szpitala, gdzie w depozycie leżał mój zegarek.

Przekazałem cichaczem papierosy, wódkę i dziesięć złotych długu i odebrałem zegarek, po czym pożegnałem się i poszedłem do domu. Wychodząc usłyszałem jeszcze słowa Heni: "nigdy Ci nie zapomnę tego, że mnie tu odwiedziłeś".

Wkrótce zapomniałem o całym zajściu. Minęło kilka nie pamiętam tygodni, czy miesięcy. Spaliśmy z bratem w pierwszym pokoju od wejścia, matka zaś nasza spała w ostatnim pokoju w amfiladzie.

Którejś nocy zbudziło mnie ciche pukanie do drzwi frontowych. Otworzyłem drzwi i zobaczyłem Henię, która rzuciła mi się w objęcia. O świcie Henia cichutko ubrała się i wyszła.

Od tego czasu w przeciągu dwóch lat w bardzo nieregularnych odstępach czasu, od tygodnia do kilku miesięcy odwiedzała mnie Henia w ten sam sposób.

Którejś soboty w godzinach obiadowych zjawiała się Henia i porwała mnie ze sobą. Pojechaliśmy taksówką na wieś odległą około 30 kilometrów do jej ro-

dziców, gdzie zostałem przedstawiony jako narzeczony. Ojciec Heni, poważny i sympatyczny gospodarz na 15 hektarach, nie miał pojęcia o trybie życia swej córki. Młodsza siostra sympatyczna, ładna i skromna wiejska dziewczyna opiekowała się kilkuletnim synkiem Heni - przebywającym stale i chowającym się w jej rodzinie na wsi.

Miałem przy sobie kilkadziesiąt złotych. Henia dodała do tego od siebie sto złotych i poprosiła mnie, żebym tak dysponował tą gotówką, by nie przynieść wstydu jej i jej rodzinie. Jeszcze po drodze zakupiliśmy sześć butelek spirytusu kilo cukru i kilo cytryn. Wyszło z tego około siedmiu litrów słodkiej i mocnej wódki, którą częstowaliśmy wszystkich, nie wyłączając kierowcy taksówki.

Taksówka czekała na nas, by odwieźć spowrotem do miasta w niedzielę wieczór.

Zorganizowałem zabawę wiejską, na której bawiliśmy się z Henią jako honorowi goście. Późnym wieczorem, trochę podchmielony ułożyłem się z Henią w stodole na sianie, gdzie zasnąłiśmy prawie natychmiast. Rano po przebudzeniu stwierdziliśmy, że się ktoś nami zaopiekował, bo pod głowami mieliśmy poduszki i byliśmy przykryci pierzyną. Po powrocie wkrótce zacząłem spotykać się z Henią w ciągu dnia.

Którejś niedzieli w czasie nieobecności matki znajdowaliśmy się z Henią i kilku kolegami w naszym mieszkaniu. Gdy nieoczekiwanie nadeszła matka, prędko włożyliśmy płaszcze i czapki, przebierając Henię za ucznia i w ten sposób zdołaliśmy niespostrzeżenie w tłumie wyprowadzić ją z mieszkania, bez zwrócenia uwagi matki na te odwiedziny.

W czasie wakacji przebywaliśmy z bratem w stuhektarowym, malowniczo położonym nad rzeczką Rawką, mająteczku ziemskim naszego ojca. Wyjeżdżając na wieś pozostawiłem Heni swój nowy adres, z prośbą by pisała.

Wkrótce Henia zjawiała się osobiście zaopatrzona we wzorzysty szlafrok i poranne bambosze z pomponami. Przywozła też ze sobą walizeczkę wypełnioną kilkoma butelkami wódki, puszkami sardynek i t.p. wiktuałami.

Wynająłem jej pokój na wsi. Henia z zapałem zabrała się do nauki jazdy na rowerze. Gdy jechała przez wieś, pęd powietrza odchyłał poły szlafroka co widząc mieszkańcy wsi szeptali z dezaprobatą "antychryst".

Wkrótce dowiedziałem się, że w czasie kazania po mszy w kościele parafialnym, ksiądz proboszcz potępił z ambony upadek obyczajów i jako gorzszy tego przykład wymienił "potworności" dziające się we dworze. Nie miałem innego

wyjścia i musiałem czym prędzej pozbyć się miłego dla mnie, choć nieproszonego gościa.

Za naszą namową, w czasie obecności Heni w dworze, przyszedł administrator i przyniósł depeszę, sprzed roku, oznajmującą przyjazd ojca w najbliższy piątek. Zrobiliśmy wszyscy zatroskane miny, po czym uradziliśmy, że konie wyjadą na stację po ojca - odwiozą jednocześnie Henię. Naturalnie ojciec wcale nie przyjechał, Henia jednak pośpiesznie wyjechała.

Wkrótce uzyskałem maturę i rozpocząłem studia w Politechnice Warszawskiej, w związku z czym przenieśliśmy się z matką i bratem do Włoch pod Warszawę, gdzie ojciec wynajął nam willę. Od czasu do czasu odwiedzałem znajomych w Łodzi.

Idąc kiedyś ulicą spotkałem przypadkowo parę młodych ludzi. Pani w dużym słomkowym kapeluszu i pan w brązowym garniturze sprawiali bardzo miłe wrażenie i zwracali na siebie ogólną uwagę. W pani rozpoznałem Henię, odmłodzoną i wylegantowaną.

Jak się to wyjaśniło z rozmowy Henia pracowała w jednej z elegantszych restauracji w charakterze fortancerki, zaś jej towarzysz Adas był kelnerem w tej restauracji. Mieszkali razem prowadząc wspólne gospodarstwo. Naturalnie spędziłem wieczór na dancingu w tej restauracji w towarzystwie Heni, której towarzyszem nieszczęśliwie obsługiwałem.

Po roku znów będąc przejazdem w Łodzi chciałem odwiedzić Henię lecz okazało się, że zmieniła mieszkanie. Dowiedziałem się od sąsiadki, że lokatorzy wynieśli się do dzielnicy Chojry, w której prowadzą sklep spożywczy. Odszukałem ten sklep i zastałem Henię za ladą w długim fartuchu i z czepkiem na głowie przy krojeniu kiełbasy dla któregoś z klientów. Adas zajmował się zakupami towaru. Mieszkali na zapleczu sklepu. Wypiliśmy wspólnie butelkę wódki wspominając ciekawsze przeżycia z przeszłości.

Po roku znów odwiedziłem Łódź, okazało się jednak, że sklep został już zlikwidowany. W Wydziale Ewidencji Ludności uzyskałem nowy adres Heni i odwiedziłem ją.

Bardzo się ucieszyła z tych odwiedzin. Okazało się, że swego czasu Adas wykpił się w jakiś sposób od służby wojskowej, a kilka miesięcy temu zupełnie nieoczekiwanie powołany został do wojska. Henia pozostała bez środków do życia. Wszystko co się tylko dało zastawiła już w lombardzie, na dowód czego pokazała mi pustą szafę, której jedna z szuflad zawierała stertę kwitów lombardowych.

Poradziłem Heni jechać ze mną do Warszawy, co też bezzwłocznie uczyniła.

Już od dawna w zajmowanej przez nas willi we Włochach pod Warszawą chcieliśmy odnajść jeden pokój umeblowany. Prawie od roku wisiało na peronie dworca odręcznie napisane ogłoszenie o pokoju do wynajęcia, nikt jednak się nie zgłaszał.

Zaopatrzyłem Henię w trzydzieści złotych na opłacenie pokoju za pierwszy miesiąc podając dokładny adres i pozostawiłem ją we Włochach, a sam udałem się do Warszawy.

Po powrocie do domu matka opowiedziała mi, że bardzo interesującą i miłą pani wynajęła pokój. Po chwili przedstawiła mnie tej pani i w ten sposób ponownie już oficjalnie zawarłem znajomość z Henią. Zwróciłem się do jednego z kolegów akademickich pracujących jednocześnie zarobkowo i uzyskałem od niego bony upoważniające do zakupu towarów na raty.

W ten sposób udało mi się utrać Henię w wieczorową suknię z czarnej koronki, pantofle na francuskich obcasach i uczesać elegancko u fryzjera, po czym udałem się z nią na dancino do restauracji "Wróbla" mieszczącej się przy ulicy Mazowieckiej. Stanowiliśmy z Henią w tańcu dobraną parę.

Po północy zwróciłem się do zarządzającego salą oberkelnera z zapytaniem, czy by nie przyjął Heni do pracy w charakterze fortancerki. Po obejrzeniu Heni krytycznym okiem i po wymianie z nią kilku zdawkowych zdań udzielono nam pozytywnej odpowiedzi na naszą propozycję i Henia zaczęła pracować.

Codziennie około szóstej nad ranem wracała do domu z rękami pełnymi bombonierek, pomarańczy i bananów, którymi częstowała naszą mamę zyskując w ten prosty sposób jej sympatię. W krótkim czasie sprawiła sobie jeszcze sześć sukienek wieczorowych i odtąd w restauracji występowała codziennie w innej kreacji.

Gdy nadeszły wakacje wyjechałem na praktykę zawodową do Puław. Henia zgłosiła się do związku zawodowego artystów estradowych, gdzie uzyskała w wiadomy tylko sobie sposób legitymację artystki z prawem występów w lokalach rozrywkowych.

Następnie podpisała odpowiedni kontrakt i przeniosła się do restauracji hotelu "Wiktoria" w Lublinie. Co sobota siadałem do pociągu i przyjeżdżałem do restauracji "Wiktoria", gdzie nieomal przez całą noc bawiłem się wesoło z Henią. Zaproponowano nam wówczas pracę razem. Naszym obowiązkiem byłoby tańczyć nie ze sobą na parkiecie w celu zachęcenia gości restauracyjnych do tańca. Naturalnie odmówiłem, wyjaśniając, że studiuję.

Po wakacjach znów straciłem kontakt z Henią. Minęło wiele lat. Już po wojnie w latach pięćdziesiątych gdy byłem przypadkowo w Łodzi - odnalazłem Henię. Mieszkała w tej samej kamienicy, którą przed wojną zajmował mój ojciec.

Jak się okazało, w czasie okupacji miała małą cukiernię i zebrała trochę pieniędzy i kosztowności. Adaś zniknął z horyzontu. Obecnie Henia pracowała w Uniwersytecie Łódzkim w charakterze szatniarki. Zdziwiło mnie to, wyjaśniła mi jednak, że przecież w uniwersytecie studiuje tyłu mężczyzn....

Następnym razem, gdy odwiedziłem Henię przekonałem się, że mieszka u niej świeżo upieczony prokurator, absolwent uniwersytetu, zaś Henia już nigdzie nie pracuje.

Po trzech latach wspólnego pożycia prokurator wyjechał na wycieczkę do krajów kapitalistycznych, gdzie pozostał na stałe prosząc o azyl polityczny. Henia pozostała sama. Na życie zarabiała prowadząc w domu nielegalny wyszynk napojów alkoholowych, za co w końcu wylądowała w więzieniu, dokąd powędrowała na dwa lata siedzenia.

Od tego czasu straciłem kontakt z nią. Z całego przebiegu opisaney znajomości wnioskuję, że Henia przedstawiała sobą określony typ człowieka i w ciągu wielu lat zasadniczo nie zmieniła się.

Mój jednak sąd o niej zmieniał się i w miarę dojrzewania początkowy podziw i zachwyt wypierane były coraz to bardziej przez trzeźwą i obiektywną ocenę. Równocześnie jednak w miarę upływu czasu, wspólnie przeżyte wesole chwile potęgowały uczucie sympatii i przywiązania pomimo dzielących nas różnic.

Taką przełomową dla mnie chwilą w doborze towarzystwa i w podejściu do życia było uzyskanie matury i wejście w środowisko akademickie.

Przeniosłem się bowiem do Warszawy, gdzie zamieszkałem na Żoliborzu "kątem" u swej ciotki, właścicielki połowy dwurodzinnego domku. Matka z bratem pozostała na razie w Łodzi.

Zapisałem się na przygotowawczy kurs organizowany przez Bratnią Pomoc Studentów Politechniki Warszawskiej, po ukończeniu którego stanąłem do egzaminu konkursowego na Oddział Mierniczy Wydziału Inżynierii. Na 59 wolnych miejsc do konkursu zgłosiło się 118 kandydatów, przeważnie absolwentów szkół matematyczno - przyrodniczych. Zdawałem egzamin z rysunku odręcznego i matematyki, a wydaje mi się, że również i z fizyki, ale tego dobrze nie pamiętam.

Nie liczyłem, że zdam - nie dokończyłem bowiem rozwiązywania jednego z zadań, opisałem jednak słownie sposób dalszego postępowania przy jego rozwiązywaniu.

Po pewnym czasie przyjechałem na rowerze do budynku politechniki do- wiedzieć się o wyniki. Tak byłem przekonany o znakomych swych możliwościach dostania się na wyższe studia, że po znalezieniu swego nazwiska w spisie, byłem przekonany, że spis ten obejmuje kandydatów, którzy odpadli. Jednak po przeczytaniu tytułu listy przekonałem się, że zdałem i że zostałem przyjęty do politechniki.

Zaskoczenie i radość były tak silne, że wracając rowerem do domu na Żolibórz, po drodze wyprzedzałem taksówki i tramwaje.

Na miernictwo, czyli geodezję dostałem się zupełnie przypadkowo. Nawet nie przypominam sobie czym się wówczas kierowałem zdając na ten oddział i wydział. I znów ku memu zdziwieniu studia szły mi zupełnie dobrze. Tylko te przedmioty, które związane były z koniecznością kreślenia sprawiały mi trudności. Zaliczając ćwiczenia z kreśleń mierniczych powinienem być między innymi wypełnić zeszyt piśmem kaligraficznym. Wskutek braku uzdolnień do kreślenia i opisywania dopiero po wypełnieniu dwunastu zeszytów kaligrafia została mi zaliczona i mogłem przystąpić do następnego kolejnego ćwiczenia.

Podobne trudności miałem z wykreślaniami arkuszy zadań z geometrii wykreślnej. Wybrałem z tego w ten sposób, że jednemu z kolegów wykonałem obliczenia geodezyjne, za co sporządzał mi niezbędne prace kreślarskie, które tylko podpisywałem i oddawałem asystentowi do oceny. Przy odbiorze arkusza należało objaśnić sposób graficznego rozwiązania zadania. Sprawiało mi to wiele kłopotów, bo nie będąc autorem prac z trudnością wyszukiwałem swoje arkusze ze sterty innych, rozpoznając je jedynie po własnym podpisie. Z reguły też nie potrafiłem wyjaśnić sposobu rozwiązania zadania. Gdy jednak zniecierpliwiony asystent kazał mi na odwołanie arkusza ponownie rozwiązać zadanie, robiłem to z łatwością, przedmiot bowiem miałem dobrze opanowany.

Ogólnie jednak wykładane przedmioty wzbudzały moje zainteresowanie, chętnie się ich uczyłem i z reguły nieprzygotowany nie zjawiałem się na egzamin. W wyniku takiego podejścia do studiów, żadnego egzaminu nie zdawałem dwukrotnie.

Przyjęło się, że gdy student oblał sdawany egzamin wówczas profesor zwracał mu indeks bez stopnia, polecając poduczyć się i zgłosić powtórnie do egzaminu po ustalonym okresie czasu. Cóż nie zdarzyło mi się coś podobnego ani razu w ciągu studiów na politechnice.

Solidne przygotowywanie się poprostu weszło mi w krew, nic też dziwnego, że należałem do wyjątkowych studentów, którym udało się uzyskać oceny bardzo dobre z najtrudniejszych egzaminów u profesorów będących postrachem studenckiej braci.

Doszło do tego, że gdy dopisywałem swoje nazwisko do listy kandydatów do zdawania jakiegoś przedmiotu w określonym terminie, wówczas poprzedzający mnie zapisami już kandydaci skreślali swe nazwiska z tej listy prosząc o egzamin w innym terminie, obawiali się bowiem, że na tle moich odpowiedzi ich przygotowanie do egzaminu może się wydać profesorowi niedostatecznym.

Mimo solidnego uczenia się miałem stosunkowo wiele czasu, nie uczęszczałem bowiem na żadne wykłady i ograniczałem się do uczenia ze skryptów i notatek kolegów.

Raz jednak poprostu z ciekawości poszedłem na wykład z geometrii analitycznej prowadzony przez profesora Bóbra. Wykład odbywał się w dużej amfiteatralnej sali mieszczącej kilkuset studentów. Profesor po wejściu do sali wykładowej spojrzął w moim kierunku i zapytał: "a pan co tu robi?" Obejrzałem się za siebie i usłyszałem głos profesora: "niech się pan nie ogląda, do pana mówię". Wstałem więc zmieszany i wybażałem, że przyszedłem na wykład, na co usłyszałem odpowiedź profesora "bardzo mi miło".

Wykład dotyczył wyznaczników, rozwinięcie których profesor w szybkim tempie wyprowadzał na tablicy. Każda pozycja wyznacznika oznaczona była tą samą literą "a" z dwoma znaczkami ustalającymi wiersz i kolumnę, w których się znajdowała w wyznaczniku. Rozwijanie wyznacznika polegało na wypisywaniu algebraicznych sum iloczynów stale tej samej litery "a" z różnymi oznaczeniami a więc np. a_{34} , a_{42} , a_{11} , a_{21} i t.d.

Wykład trwał dwie godziny lekcyjne bez przerwy. W ciągu całego czasu notowałem w brulionie zupełnie niezrozumiałe dla mnie szeregi symboli i rozwinięć, nie byłem bowiem na poprzednich wykładach nie mogłem przeto połączyć się w tym co było wyjaśniane na bieżącym wykładzie.

Po dwóch godzinach wyszedłem oszołomiony. Huczało mi w głowie. Nabrałem przekonania, że jednak nauka w politechnice przekracza moje możliwości i że pomimo chęci i starań nie uda mi się nigdy uzyskać dyplomu inżyniera. Te dwie godziny wykładów tak mnie nastraszyły, że do egzaminu z tego przedmiotu uczyniłem się przez dwa miesiące po wiele godzin dziennie i poszedłem "obkuty" do nieprawdopodobnych granic.

Na egzaminie zdenerwowałem się i choć umiałem prawidłowo odpowiedzieć na zadane mi pytanie, to jednak nie potrafiłem stylistycznie ułożyć swej odpowiedzi. Kilkakrotnie rozpoczynałem zdanie i urywałem widząc, że mówię nie tak, jak należy.

Profesor zauważył moje zdenerwowanie, należał mi szklanek zimnej wody i kazał się napić, po czym polecił mi usiąść i zaczął mnie wypytywać o szczegóły spędzenia wakacji. Dopiero gdy minęło moje zdenerwowanie profesor rozpoczął mnie egzaminować w wyniku czego uzyskałem piątkę z geometrii analitycznej. Była to bodaj jedyna piątka z tego przedmiotu w danym roku akademickim.

Podobny przebieg miał egzamin z mechaniki teoretycznej. Profesor grał w totalizatora. Wśród studentów krążyła plotka, że w zależności od tego, czy profesor wygrał czy przegrał, był on w lepszym bądź w gorszym humorze. Poza tym profesor miał przyciasne żółte pantofle, co rzekomo również miało wpływ na nastrój profesora. Każdy więc student przychodząc na egzamin zerkał na obuwie profesora. Czarne pantofle upakowały, natomiast żółte powodowały drżenie kiedy zostałem uprzedzony przez kolegów, że profesor często prosi o indeks, po czym zadaje jeszcze jedno ostatnie pytanie i stawia dwójkę.

Ku swemu przerażeniu stwierdziłem na egzaminie, że profesor jest w żółtych półbutkach.

Egzamin szedł mi jako tako. W pewnym momencie profesor poprosił o indeks, po czym zadał mi ostatnie pytanie, na które odpowiedziałem. Profesor wpisał stopień, podpisał się i zwrócił mi indeks z uśmiechem na twarzy. Wszystko robiło wrażenie, że raczej zdałem. W drodze do drzwi wyjściowych z pewną obawą zajrzałem do indeksu i stwierdziłem, że otrzymałem piątkę.

Wyszedłem z gabinetu profesora z dumnie podniesioną głową. Była to również jedna z bardzo nielicznych piątek z tego trudnego przedmiotu.

Po półdyplomie program zawierał szereg stosunkowo łatwych egzaminów z przedmiotów praktycznych, takich jak gleboznawstwo, zasady budownictwa wiejskiego, komesacja i parcelacja, pomiary miast i t.p. Moi koledzy uczyli się do podobnych egzaminów przez parę dni, przerzucali notatki w drodze na egzamin zdawali egzamin najczęściej z oceną dostateczną, po czym, w przeciągu paru dalszych dni zabierali się do następnego egzaminu, co powodowało szybkie wstrzenie słabo przyswojonej wiedzy.

Ja przedmioty te traktowałem z równą powagą, jak najpoważniejsze i najtrudniejsze i przygotowywałem się do nich solidnie. Zabierało mi to daleko więcej czasu niż moim kolegom, zbierałem za to dobre stopnie i uzyskiwałem należytą podbudowę do wykonywania przyszłego zawodu.

W późniejszym czasie przekonałem się, że tak solidne uczenie się w politechnice poparte wielostronną i wieloletnią praktyką robiły ze mnie fachowca z prawdziwego zdarzenia.

Stosowany jednak przede mną sposób uczenia się, bez wysłuchiwanie wykładów w konsekwencji przedłużał okres moich studiów. Niezależnie od tego jeszcze w czasie studiów zacząłem pracować, co również spowodowało opóźnienie w nauce.

Egzamin dyplomowy zdawałem w dwa lata po uzyskaniu absolutorium, to jest po zaliczeniu wszystkich ćwiczeń i po zdaniu wszystkich egzaminów. W sumie więc studiowałem aż dziewięć lat.

Pamiętam, że na egzaminie dyplomowym stawiliśmy się około ósmej z rana w czerwcu 1939 roku. Denerwując się czekałem aż do godziny piętnastej.

Na egzamin poproszony zostałem jako ostatni z grupy, łatwo się przekonałem, że mój niepokój był zbędny. Egzamin bowiem stanowił "czczą formalność". Profesorowie, którzy znali mnie dobrze, byli bardzo uprzejmi i zadawali mi po kilka stosunkowo łatwych pytań, na które bez wysiłku potrafiłem poprawnie odpowiedzieć.

Dyplom więc otrzymałem w ostatniej chwili, bo kilka miesięcy przed wybuchem drugiej wojny światowej. Okres życia akademickiego wspominam z przyjemnością i z rozrzewnieniem.

W tym czasie korzystałem z pełni życia pomimo dość szczupłych środków materialnych jakimi rozporządzałem. Wystarczało mi czasu zarówno na solidną naukę jak też i na najrozmaitsze rozrywki, których sobie nie szczędziłem.

Uszyłem sobie frak, w którym bawiłem się na najelegantszych balach akademickich. Naturalnie zarówno frak, jak też i złoty zegarek przez cały rok leżały zastawione w lombardzie. Wykupywałem te przedmioty na okres karnawału, po którym spowrotem wędrowały do lombardu. Do takiego postępowania skłaniał mnie zarówno chroniczny brak gotówki, jak też i ta okoliczność, że lombard przechowywał ubranie w workach przeciwolewnych z dużą troską o zachowanie ich w dobrym stanie.

Między innymi byłem na "Balu Mody" w salonach Hotelu Europejskiego, na którym tańczyłem ze Smosarską, z jedną z sióstr Halana i z Sofią Terne. Wytworny ten bal wpłynął jednak na mnie przygnębiająco. Odnosiłem bowiem wrażenie, że stanowił on przegląd aktualnych piękności i znakomitości scenicznych, wśród których z powagą krążył grono wyfrakowanych starszych panów dyrektorów i protektorów z dużymi brzuchami i wypełnionymi portfelkami.

Wyglądało, że panowie ci ze znużonymi minami czują, przegląd obcych na balu pań z myślą o ewentualnej zmianie aktualnych swych przyjaciółek na inne bardziej atrakcyjne.

Przedwojenne bale akademickie miały zupełnie inny charakter, a od obecnych różniły się absolutnym brakiem tłoku i jednolitością wytwornych strojów. Wśród ubiorów pań królowały długie suknie z dużymi dekolantami, a u panów fraki, rzadziej żakiety. Smoking stanowił strój kelnera.

Tańce z reguły rozpoczynały się polonezem. Tańczono mazura, walca i tango, rzadziej walca angielskiego i kujawiaka, a najrzadziej pozostałe tańce nie wyłączając polki i oberka.

W karnawale wkładałem frak, lakierki oraz białe skórsane rękawiczki i wyruszałem na zabawę nie dbając o zaproszenie. Odpowiedni ubiór i wygląd wraz z legitymacją studencką gwarantowały dostanie się na dowolny bal.

Pamiętam, że kiedyś podszedł do mnie nieznajomy młody człowiek i oznajmił, że jedna z pań pragnie mnie poznać. Zaintrygowany podążyłem za nim, po czym zostałem przedstawiony elegancko ubranej przystojnej pani. Po chwili zdawkowej rozmowy poprosiłem ją do tańca i wówczas okazało się, że moja partnerka jest wyśza ode mnie prawie o głowę. Moja głowa była na wysokości jej biustu.

Zostałem przedstawiony tej pani, tylko dlatego że byłem najwyższym mężczyzną na sali. Moja partnerka była ze mnie zadowolona, tańczyłem bowiem dobrze, po uprzednim pobieraniu nauki tańca w szkole braci Sobiszewskich. Zresztą na tańcu nie ograniczały się moje rozrywki i zainteresowania.

Byłem stałym bywalcem operetki oraz teatrzyków rewiiowych. Doskonale pamiętam Lopka Krukowskiego z czasów, gdy był szczupłym młodzieńcem bawiącym publiczność żydowskimi "szwondesami".

Bywałem też częstym gościem drugorzędnych restauracji warszawskich. Na pierwszorzędną byłem wówczas za biedny. Odwiedzałem więc często restaurację "Wróbla" mieszczącą się przy ul. Mazowieckiej, restaurację "Satyr" na ulicy Marszałkowskiej, restaurację hotelu "Savoy" na Nowym Świecie i inne. Do obecnej chwili nie mogę odżalować, że nie ma już miłych fortancerek i przytulnych gabinetów. Bardzo miły również był letni dancino pod gołym niebem w ogródku "Philipsa" przy ulicy Mazowieckiej, gdzie do tańca przygrywała muzyka z głośników radiowych, a parkiet i stoliki znajdowały się wśród drzew przystrojonych różnokolorowymi lampkami elektrycznymi.

Jako ciekawostkę przypominam sobie również lokal "Turka" na Nowym Świecie. Nie był to zbyt elegancki lokal. Od ulicy wchodziło się do małego sklepika z tureckimi przysmakami, takimi jak słodowy chlebek z rodzynkami, rachet - lukum i chałka. Ze sklepika prowadziły wąskie schody do piwnicy, w której można było potańczyć przy dźwiękach muzyki patefonowej nadawanej przez głośnik radiowy.

Zamawiało się ciastka z wodą sodową, po wypiciu której naczynia napędziało się cichaczem przyniesioną ze sobą wódką i zabawa "szła na całego". Był to chyba w owym czasie jeden z nielicznych w Warszawie lokalików urzędowych w piwnicy.

Odwiedzałem ten cichy lokalik rozrywkowy ze znajomą żydówką Ewą R. Była to manicurzystka, córka kucharza restauracyjnego, który jako prawowitny żyd zabraniał swym dzieciom zadawać się z "gojami". Ja również w okresie "pałkarzy" i "fyletkarzy" - wolałem nie afiszować się z dziewczyną semickiego pochodzenia.

Spotykaliśmy się więc u "Turka". Ewa była przystojną i bardzo inteligentną i ocytaną dziewczyną, a spotkania nasze miały posmak spożywania owocu zakazanego.

Podsumowując muszę stwierdzić, że jednak kobiety w moim życiu zawsze stanowiły główny ogródek zainteresowań i źródło nie byle jakich wzruszeń.

Dzisiaj zdaję sobie z tego sprawę, że pomimo rozwiązłego trybu życia i cynicznego zachowywania się w gruncie rzeczy jestem niepoprawnym romantykiem.

Często też moje przywiązanie, sentymenty i rozrzewnienia wynikają z subiektywnego podejścia i powstają w wyniku wewnętrznej potrzeby a nie obiektywnych walorów przedmiotu mych westchnień.

PIERWSZE SAMODZIELNE KROKI

W czasie, gdy rozpocząłem drugi rok studiów przyjechali z Łodzi matka i brat, z którymi razem zamieszkałem we Włochach pod Warszawą. Brat dostał się na Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, byliśmy więc w tym czasie obydwoj studentami. Mieliśmy wówczas po dwadzieścia kilka lat.

Któregoś dnia, na meczu piłki nożnej we Włochach podпиты żobuz uderzył kobietę, w obronie której stanął jakiś student i podbił mu oko. Poszkodowany zmobilizował bojówkę FPS, pobliskiej dzielnicy Wola, składającą się z kilkunastu znajomych wyrostków, uzbrojonych w sprzęt zakończony ciężarkami z łożu, widelcami, młotkiem tapicerskim i t.p. sprzętem bojowym.

Bojówka natknęła się na mnie i na mego brata, a widząc, że jesteśmy studentami, wszczerła z nami bójkę, z której wyszliśmy mocno poszkodowani. Ja miałem cztery dziurki w policzku, stanowiące ślad po uderzeniu widelcem, oraz pięć dziur do kości w głowie, zadanych mi młotkiem tapicerskim. Brat Staś uległ wstrząsowi mózgu, wskutek wkleśnięcia kości czaszki za uchem, powstałego w wyniku uderzenia czymś ciężkim.

Przez dwa tygodnie chodziłem z obandażowaną głową tak, że widać mi było tylko oczy i czubek nosa. Braciszek przeleżał dziesięć dni w łóżku, po czym towarzyszył mi w postaci "mumii" obandażowanej po dziurki w nosie. Policijne dochodzenie ustaliło, że i po stronie przeciwnej byli poturbowani, wskutek czego zajęcie zakwalifikowano, nie jako pobicie, lecz jako bójkę, nakładając na wszystkich jej uczestników mandaty karne, w wysokości po dwadzieścia złotych od osoby. My również musieliśmy zapłacić karę.

W kilka dni później zagroziło mi drogę na ulicy kilku wyrostków z tej samej bandy. Miałem przy sobie rewolwer, który wyjąłem z kieszeni i odbezpieczyłem, co widząc napastnicy nie ośmielili się mnie zaczepić.

W miesiąc później przybyła do nas trzyosobowa delegacja, która w imieniu uczestników zajęcia przeprosiła nas za omyłkowe pobicie, po czym jeden z gości wydobyl z kieszeni litrową butelkę wódki, którą wypiliśmy, dla upamiętnienia przeprosin i wzajemnego porozumienia.

Chodząc przez kilka tygodni z obandażowanymi głowami staliśmy się popularni, zarówno we Włochach jak też i na terenie swych uczelni. Uważano nas za żobuzów biorących udział w burdach i bójkach. Od tego też czasu nigdy nikt więcej nas nie zaczepiał, chociaż mieszkaliśmy we Włochach, to jest dzielnicy graniczącej z Wolą, nie cieszącą się w owym czasie najlepszą reputacją.

Poznaliśmy w tych latach młodą i przystojną blondynkę. Miała wówczas dziewiętnaście lat i była córką konnego policjanta. Panią ta pracowała u swej cioci, która była krawcową i dostarczała bieliznę do sklepów. Alineczka szyła na maszynie, gotowała, sprzątała, zносиła gotową bieliznę i czyniła niezbędne zakupy. Była więc przez cały dzień zajęta u swej cioci mieszkającej w Warszawie. Nocowała na stole, który jej służył do pracy za dnia. Niedziele i święta spędzała u rodziców we Włochach.

Zaprzyjaźniłem się z Alineczką i poznałem jej ciocię. Sprawilem jej piękną suknię i długie do łokci, białe rękawiczki. Chodziłem z nią do kina i na zabawy taneczne. Byłem pierwszym mężczyzną w jej życiu.

W kilka lat później brat przerwał studia i zamieszkał z matką na wsi na Wołyniu, gdzie pracował w charakterze administratora majątku leśnego i brakarza przy wyrębach leśnych. Ja przeniosłem się do domu akademickiego na Placu Narutowicza.

Z Alinką spotykałem się nadal. Gniewała mnie ta okoliczność, że była ona wyzyskiwana przez swą ciotkę, która za pracę łożyła na jej utrzymanie, pozwalała brać na kredyt, u pokątnej sprzedawczyni, różne babskie kaszki i fatalaszki.

Namówilem więc Alineczkę, by porzuciła pracę u swej cioci i przeniosła się do mnie, do domu akademickiego. Zajmowałem wówczas dwuosobowy pokój. Naturalnie goszczenie kogokolwiek było surowo wzbronione. Urządziłem więc Alince posłanie na obszernej półce, nad drzwiami wejściowymi i nad umywalką. Półka ta była przeznaczona na walizki. Co wieczór przystawiałem do półki krzeselko, ładowałem do góry Alusię, po czym zasłaniałem ją od pokoju pustą walizką. Przez całe dni Alinka przebywała w pokoju, w dzień bowiem można było przyjmować gości. W kartotece domu akademickiego było odnotowane, że pokój zajmuje dwóch studentów oraz "kobieta - walet".

Eniej więcej raz w miesiącu odbywały się oblawy. Pod dom akademicki zajeżdżała tak zwana policyjna buda, po czym kolejno pukano, w nocy, do poszczególnych pokoi i legitymowano ich lokatorów, zabierając do "budy" wszystkie nie zameldowane osoby postronne.

Zwykle byłem uprzedzony o planowanej oblawie i wówczas wychodziłem z Alineczką na całonocny spacer po Warszawie. Rano wracaliśmy do domu i odypialiśmy nieprzespaną noc.

W tym czasie nic nie zarabiałem, a od ojca otrzymywałem na życie sto złotych miesięcznie, z czego trzydzieści złotych kosztowało opłacenie miejsca

w pokoju w domu akademickim. Za pozostałe siedemdziesiąt złotych /równowartość około tysiąca dzisiejszych złotych/ musiałem utrzymać siebie i moją przyjaciółkę, tak by wystarczyło również i na rozrywki. Co niedzielę kupowałem paczkę chlewy. Raz w tygodniu szliśmy do kina.

Rozumiałem, że długo tak nie wytrzymamy i że Alineczka powinna zabrać się do jakiejś pracy. Wybrałem się z nią do restauracji hotelu "Sovoy" na Nowym Świecie, gdzie udało mi się zatrudnić ją w charakterze fortancerki. Otrzymywała sto pięćdziesiąt złotych miesięcznego wynagrodzenia i kolacje.

Po pewnym czasie Alinka wróciła po pracy z pełnymi rękoma zakupów. Okazało się, że jakiś bogaty starszy pan ofiarował jej pięćdziesiąt złotych, nie żądając niczego wzamian. Nie pomogły moje tłumaczenia i prośby, by pod żadnym pozorem nie przyjmowała prezentów, czy gotówki od nieznanego.

Po paru tygodniach ten sam pan znów dał Alince pięćdziesiąt złotych, które to, wbrew moim radom, przyjęła. Na fatalne skutki takiego postępowania nie trzeba było długo czekać, bo już po paru tygodniach, pan ów znów odwiedził restaurację i zaprosił Alinkę do gabinetu, gdzie po wypiciu paru kieliszków doszło do zbyt daleko posuniętych poufałości zakończonych głośną awanturą.

Alineczce wyjaśniono, że nie należy sprzeciwiać się gościom restauracyjnym i wymówiono jej pracę. I znów Alusia zamieszkała u mnie w domu akademickim.

Po pewnym czasie poszukując pracy przeczytała w gazecie w dziale drobnych ogłoszeń, że "kulturalny pan poszukuje gospodyni", przy czym "małżeństwo nie wykluczone". Alineczka zdecydowała się i pojechała, gdzieś do majątku ziemskiego, w województwie poznańskim, objąć pracę u kulturalnego pana.

W kilka miesięcy później odwiedziła mnie. Była zachwycona nowymi warunkami życia. "Chlebodawca" kupił jej piękne futro, otoczył ją opieką i troską. Żyła w warunkach dobrobytu doglądając służby.

Przyznaję, że odczuwałem poważne wyrzuty sumienia, iż przyozyniłem się do zepsucia i "wprowadzenia w świat" przyzwoitej i skromnej młodej dziewczyny. Toteż niezmiernie byłem zdziwiony, gdy udało mi się, w kilkanaście lat później, odnaleźć Alusię, która w dalszym ciągu była zadowolona ze swego losu.

Pracowała w Prezydium Powiatowej Rady Narodowej, w jednym z miasteczek wybrzeża. Trochę utyla, ale jeszcze wypiękniała. Opowiadała o sobie. Ów pan, z majątku ziemskiego w poznańskim, w 1939 roku został zmobilizowany do wojska, wraz z którym przekroczył rumuńską granicę i znalazł się w Anglii. Korespondują ze sobą i obecnie czeka z dnia na dzień na zaproszenie. MA zamiar odwiedzić go,

a może i pozostać z nim na stałe. W każdym razie, wyraża mi wdzięczność, że wyrwałem ją z jej środowiska. Jej narzeczony, z lat pracy u ciotki, listonosz z zawodu, ożenił się z inną kobietą, rozpił się, a teraz bije własną żonę i dzieci. Dzięki mnie uniknęła tak przykrego losu.

Przyznaję, że zaskoczony zostałem tymi wywodami, które mnie jednak nie przekonały. Przypuszczam, że rozmowa Alineczki nie było pozbawione racji, dobre jednak strony nowego jej życia okupione zostały, nieświadomianym przez nią, poniżeniem godności ludzkiej, do czego niestety i ja przyczyniłem się w niemałym stopniu. No cóż, byłem wówczas jeszcze bardzo młody i lekkomyślny.

Pó tej małej dygresji powracam do opisywania swej przeszłości, w chronologicznym porządku wydarzeń.

Zajmując dwuosobowy pokój w domu akademickim, starałem się zamieszkać w nim sam, bez współlokatora. W tym celu wybrałem pokój sąsiadujący ze zbiorową ubikacją. Gdy zjawił się u mnie kandydat na współlokatora, w celu obejrzenia pokoju, przeproszałem go na chwilę, biegałem do ubikacji i spuszczałem po kolei wszystkie maszynki. Odgłosy dobiegały przez ścianę do uszu amatora pokoju i to z reguły wystarczało do zniechęcenia go do zajmowania tego pokoju. W ten sposób przez cały rok akademicki sam zajmowałem cały pokój i nie byłem niczym skrępowany w jego użytkowaniu.

Któregoś dnia zatelefonował do mnie ojciec i polecił mi ubrać się przyzwyczajenie i zgłosić wieczorem do restauracji, przy ulicy Koziej. W restauracji zastałem ojca w towarzystwie przystojnej pani, w wieku trzydziestu kilku lat.

Okazało się, że była to sekretarka jakiegoś dygnitarza państwowego, która obiecała memu ojcu dopilnować terminowego załatwienia jakiejś służbowej sprawy. Ojcu bardzo zależało na należytych załatwieniu tej sprawy, więc zaprosił panią sekretarkę na elegancką kolację. Ja byłem niezbędny do obtanicowywania tej pani. Ojciec przedstawił mi swą towarzyszkę i poprosił o zajęcie miejsca przy stole. Podano butelkę zarrośniętej wódki i wymyślne zimne zakąski.

Gdy zagrała orkiestra, poprosiłem panią do tańca, w czasie którego usłyszałem wykrzyknik "o Jezu, Witold co ty tu robisz?" Zobaczyłem, że obok mnie tańczy Henia, o której już pisałem. Była ona wówczas fortancerką w tym lokalu. Do następnego tańca poprosiłem Henię, po czym podszedłem z nią do naszego stolika i zapoznałem wzajemnie całe towarzystwo.

Mój ojciec znał Henię z opowiadań, więc odniósł się z zainteresowaniem do jej osoby. Tempo picia gwałtownie wzrosło. Zarówno Henia, jak i mój ojciec byli stałymi bywalcami restauracji, mogli więc dużo wypić. Natomiast pani sekretarka

i ja, jako mniej wprawni szybko poczuliśmy się podchmieleni. Ojciec zajął się serdeczną i poufałą rozmową z Henią, ja zaś tańczyłem z panią sekretarką, która w pewnej chwili, siedząc przy stole, ułożyła głowę na rękach, robiąc wrażenie zupełnie oszołomionej nadmiarem wypitego alkoholu. Następnie nasza współtowarzyszka wstała, przeprosiła nas na chwilę i wyszła do toalety.

Po kwadransie, czy dwudziestu minutach, gdy nie wracała poszliśmy z Henią sprawdzić co się z nią dzieje. Była zamknięta od wewnątrz w ubikacji, a na pukanie nie reagowała. Podstawiono mi drabinkę, po której dostałem się do środka, gdzie zastałem naszą znajomą śpiącą na "tronie", z majteczkami w rękę. Otworzyłem ubikację, po czym razem z Henią przenieśliśmy śpiącą do jednego z pustych gabinetów, gdzie ułożyliśmy ją na sofce, po czym powróciliśmy do stolika, gdzie wraz z ojcem rozmawialiśmy, jedliśmy i piliśmy dalej.

Po godzinie ojciec polecił mi sprawdzić co się dzieje z panią sekretarką. Gdy wszedłem do gabinetu zobaczyłem, że delikwentka nadal śpi. Jedna noga opadła na podłogę, przy czym suknia odsłoniła jędrne udo. Byłem mocno podchmielony, a pokusa była silna, wykorzystałem więc alkoholowe oszołomienie pięknej kobiety, po czym wróciłem do swego towarzystwa oznajmiając, że znajoma śpi dalej.

Po godzinie ojciec znów zwrócił się do mnie z prośbą, bym zajrzał do pani sekretarki, co ja skwapliwie uczyniłem. Zostałem ją siedzącą na sofce. Spojrzała na mnie z wyrzutem i groźąc palcem powiedziała, że nie ładnie jest w ten sposób wykorzystywać słabość kobiety, na co ja rzuciłem się na kolana i zacząłem gorąco przeproszać za swoje bezczelne i niecne postępowanie, całując początkowo ręce, a następnie szyję, twarz i usta. Wina została mi darowana.

Wróciliśmy razem do stolika. Wkrótce pożegnaliśmy Henię i odwieźliśmy, z ojcem, panią sekretarkę do jej domu.

Po tygodniu znów zobaczyłem się z ojcem, który nie mógł się nadziwić dlaczego znajoma sekretarka pomimo nieudanej kolacji, załatwiła jaknajlepiej to wszystko, o co ojciec ją prosił.

Innym znów razem otrzymałem telefon od ojca, by natychmiast zjawić się w restauracji "Tivoli" na ulicy Wspólnej, bo pewna piękna kobieta bardzo chce tańczyć. Po przybyciu na miejsce, zastałem swego ojca w towarzystwie fertycznej kobietki. Była to drobna, ciemnooka i ciemnowłosa, dwudziestoseściolatnia męczątka. Nawiliśmy się wesoło do trzeciej w nocy. Gdy nasza towarzyszka przeprosiła nas na chwilę i oddaliła się do toalety, ojciec poinformował mnie, że poznał tę panią przypadkowo w tramwaju. Jej mąż radca prawny, zatrudniony w magistracie brał kąpki, za co został zasądzony na dwa lata więzienia. Żona z pięcioletnim synkiem

pozostała bez środków do życia. Zawarcie znajomości z moim ojcem było jej bardzo na rękę, urządziło też i mego rodzica, który wynajął jej mieszkanie, składające się z pokoju i kuchni, umeblował je iłożył na jej utrzymanie. Ojciec w tym czasie mieszkał w Sandomierzu, budował bowiem w Centralnym Okręgu Przemysłowym hutę szkła. Interesy ojca zmuszały go do częstego odwiedzania Warszawy. Zamiast więc każdorazowo starać się o miejsce w hotelu i stołować się w restauracjach, zamieszkał razem ze swą nową znajomą w wynajętym mieszkaniu, stołując się u niej.

Nad ranem ojciec pożegnał nas, pozostawił mi gotówkę na opłacenie rachunku i udał się na dworzec, wyjeżdżał bowiem do Sandomierza.

Po opuszczeniu restauracji odprowadziłem nową znajomą do domu. Zaproszała mnie do mieszkania, obiecując poczęstować herbatką. Ja jednak nie dałem się skusić, ograniczając się do grzeczności nakazywanych przez tak zwane dobre wychowanie.

Po pewnym czasie czarnula przezwana przeze mnie "Macochą" zadzwoniła, proponując wspólne pójście do kina.

W tym samym czasie otrzymałem list od kolegi, który rozpoczął studia razem ze mną, lecz skończył politechnikę nieco wcześniej i obecnie, już jako inżynier, pracował w Radomiu. Kolega Stasiek zawiadomił mnie, że wpadnie do Warszawy i że chciałby się ze mną zobaczyć, właśnie tego samego dnia, w którym wybierałem się do kina z "Macochą".

Spotkaliśmy się w cukierni i porozmawialiśmy ze sobą, po czym razem udaliśmy się z kolegą na umówioną randkę do kina. "Macocha" uważała, że program jest nieciekawym i zaproponowała byśmy spędzili wieczór u niej. Wobec tego, że tylko nas dwóch, zgodziłem się chętnie.

Po drodze do niej wpadliśmy do kilku sklepów, gdzie "Macocha" zakupiła parę butelek alkoholu i dużą ilość zakąsek. W mieszkaniu wynieśliśmy kółko ze śpiącym synkiem do kuchni, rozłożyliśmy na stole zakupione wiktuały i zabraliśmy się do ucztowania. Po paru kieliszkach Stasiek zaproponował wypicie bruderszaftu z "Macochą", przypieczętowując to ognistym pocałunkiem.

Wkrótce atmosfera stała się gorąca. "Macocha" zachowywała się swobodnie, a nawet prowokacyjnie. Stasiek, nic nie wiedząc o powiązaniach zalotnej gospodyni z moim ojcem, nie widział powodów do wstrzymywania się od jaknajswobodniejszej zabawy, ja zaś próbowałem powstrzymać go od rzytniej atrytywności, lecz bez powodzenia. Widząc co się robi, wziąłem rozbrat z wszelkimi skrupułami i przyłączyłem się do wesolego towarzystwa. Nad ranem opuściliśmy gościnne progi słowiańskiej wdówki.

Około południa zostałem telefonicznie poproszony przez "Macochę" do natychmiastowego przybycia do niej. Zastałem ją w kółku, z mokrym ręcznikiem na głowie. Wyjaśniła mi, że jest chora, po przepiciu się na wczorajszej libacji i że nie pamięta jej przebiegu, ale wydaje jej się, że mój kolega Stasiek zachował się niewłaściwie. Wydaje jej się nawet, że ją raz pocałował, ale nie jest tego pewna, ból głowy poprostu nie pozwala jej się skupić. Uspokoilem zatroskaną kobietkę, że mój kolega jest dobrze wychowanym człowiekiem i z całą pewnością nie pozwolił sobie na żadne poufałości.

Moje stanowcze oświadczenie uspokoiło "Macochę". Ja jednak nie poddałem się jej sugestiom i przy pierwszym widzeniu się z ojcem wyznałem mu całą prawdę, co jednak nie wywarło na nim większego wrażenia. Wkrótce znajomość z "Macochą" urwała się. Przypuszczam, że niektóre moje złe skłonności odziedziczyłem po swym ojcu.

W tym czasie miałem już absolutorium i rozpocząłem pracować zarobkowo, w Zarządzie Miejskim Warszawy. Pracowałem w Biurze Pomiarów w charakterze mierniczego, zarabiając trzysta szesnaście złotych miesięcznie. Stanowiło to sumę, za którą można było skromnie utrzymać się i ubrać wraz z liczną rodziną. Dla samotnego kawalera, taki zarobek pozwalał na nieliczenie się z groszem. To tak, jakby dziś, młody człowiek bez żadnych zobowiązań wobec innych, zarabiał miesięcznie ponad pięć tysięcy złotych.

Wobec tego wynająłem sobie sublokatorski pokój w Śródmieściu i kupiłem małolitrażowy motocykl, który trzymałem w pokoju na pierwszym piętrze, wciągając go codziennie po schodach do mieszkania i spowrotem na ulicę.

Latem co sobota wyjeżdżałem na dłuższe wycieczki, trwające do niedzieli wieczór, a więc na przykład do Częstochowy, do Augustowa, do Gdyni czy Sandomierza, nie licząc już drobniejszych podróży do Puław, Kazimierza, Radomia lub w Góry Świętokrzyskie.

Któregoś dnia jechałem późnym wieczorem do kolegi na imieniny. Na pustej i słabo oświetlonej ulicy, na skrzyżowaniu, wpadł na mnie jadący z dużą szybkością cyklista. Odruchowo odstawiłem nogę, by się podeprzeć i uniknąć wywrócenia, jechałem bowiem bardzo wolno. Rozpęd jednak rowerzysty był tak wielki, że pod wpływem uderzenia, przewróciłem się wraz z motocyklem. Całym ciężarem upadłem na nogę, która się podwinęła. Próba wstania skończyła się ponownym upadkiem. Miałem silnie stłuczone kolano, nie stwierdziłem jednak żadnych śladów skaleczenia, więc po chwili podniosłem motocykl i pojechałem dalej. Rowerzysta również poturbował się mocno i uszkodził rower. Wziąłem udział w uroczystości imieninowej, po czym wróciłem do domu.

Następnego dnia rano obudził mnie silny ból kolana, które spuchło i było wielkości głowy. O chodzeniu nie mogłem nawet marzyć. Okazało się, że mam pękniętą łąkotkę.

Przeleżałem w łóżku cały miesiąc. Nie wytrzymałem nerwowo przymusu leczenia i ostatnie kilka dni zwolnienia lekarskiego wykorzystałem na podróż motocyklem do Krakowa i z powrotem. Naturalnie, chorą nogę musiałem ustawić ręką na podnóżku motocykla, jak również i zapuszczać motor ręką a nie nogą. Kulałem jeszcze jakiś czas, lecz już wkrótce byłem zupełnie zdrow i zapomniałem o całym wydarzeniu.

Naturalnie podróże motocyklem najczęściej odbywałem nie sam, lecz z dziewczyną na tylnym siodełku. Między innymi, upadłem z motocykla wraz ze znajomą panią, która obecnie jest moją żoną.

Pamiętam, jechaliśmy z Kazimierza przez Puławę, gdzie zakupiłem kobiałkę truskawek. W dalszej drodze powrotnej do Warszawy, już po zapadnięciu ciemności, moja współtowarzyszka podróży zaopiekowała się zakupionymi truskawkami, częstując mnie nimi. W równych odstępach czasu wkładała mi je po jednej do ust.

W pewnej chwili zaczął mnie doganiać samochód osobowy. Światła reflektorów oświetlały szosę o nawierzchni z tłuczniem. Poszczególne wystające nieco z nawierzchni części kamieni rzucały długie ruchome cienie, co w konsekwencji uniemożliwiało mi obserwację drogi przed sobą. Widziałem tylko jasną, migającą smugę oświetlonej szosy. W pewnym momencie koło wpadło w jakiś wybój, a może na większy kamień, tego nie wiem, poczułem tylko, że nieoczekiwanie kierownica wyrwała mi się z rąk. Za chwilę na szosie leżały na samym przodzie rozsypane truskawki i pantofle wiszonej przeze mnie panią, nieco z tyłu sama panią, jeszcze bardziej do tyłu ja, a na końcu przewrócony motocykl.

Samochód gwałtownie zbliżał się. Obawiałem się, że może nie zauważyć nas na szosie i przejechać, więc zerwałem się, podbiegłem do motocykla i prędko ściągnąłem go z szosy. Samochód zatrzymał się a jego kierowca zaoferował mi swą pomoc, z której nie skorzystałem, bo ani mnie, ani mojej pasażerce nic się nie stało, poza lekkim zadrapaniem rąk i zakurzeniem garderoby. Motocykl też wyszedł z kraksy bez szwanku. Wiszona jednak przeze mnie panią oburzona była, że po upadku podbiegłem ratować motocykl, a nie jej osobę.

Innym znów razem, pojechałem z tą samą panią do Częstochowy. Główna ulica w tym mieście prowadzi pod samą Jasną Górę. Klasztor od miasta oddziela park, przez który biegnie szeroka aleja, stanowiąca jak gdyby przedłużenie ulicy. Ja byłem przekonany, że ulica, którą jechałem i opisana aleja stanowią

całość, a że teren zaczynał się wznosić nabrałem rozpędu dla łatwiejszego pokonania wzniesienia. Dopiero z odległości kilkudziesięciu metrów zauważyłem, że aleję od ulicy dzieli wysoki stopień krawężnika. Zahamowałem gwałtownie. Opona trąc o jezdnię zapiszczała przeraźliwie, co zwróciło uwagę wszystkich przechodniów, którzy skierowali wzrok w stronę motocykla. Nie zdołałem jednak zatrzymać się przed krawężnikiem. Motocykl mocno podrzuciło, po czym udało mi się go zatrzymać. Obejrzałem się i stwierdziłem, że tylne siodełko jest puste. Zgubiłem swą pasażerkę w chwili przeskakiwania progu.

Jeden tylko raz w życiu wsiadłem na motocykl po kilku kieliszkach wódki. Przejechałem tylko kilka kilometrów. Dopiero po przyjeździe na miejsce zauważyłem, że w motocyklu brak jest jednego podnóżka, a moja noga wisi w powietrzu. Gdzie, kiedy i przy jakich okolicznościach urwałem podnóżek, tego nie wiem do tej chwili.

Któregoś dnia, gdy po pracy wybierałem się motocyklem do domu, woźny poprosił mnie, bym go podwiózł, po drodze, na tylnym siodełku. Uważałem to wówczas za zbytne spoufalenie się i za natręctwo. Zaprzagnąłem, by mu się odechciało raz na zawsze jazdy motocyklem. Ruszyłem więc "z kopyta" i całą drogę przebyłem na pełnym gazie, prześlizgując się pomiędzy tramwajami i samochodami. Gdy zszedłem z pasażera, ten oszupiałym wzrokiem spojrzął na mnie, przestępnął się i bez słowa oddalił.

Pamiętam, jechałem kiedyś, w czasie ulewy, po zatłoczonej ulicy Marszałkowskiej. W pewnej chwili, jadąca przede mną taksówka gwałtownie zahamowała, co zmusiło i mnie do przyhamowania. Motocykl wpadł w poślizg i wyrócił się. Ja po upadku siedziałem na jezdni twarzą do kierunku ruchu z szeroko rozstawionymi nogami, ślizgając się po mokrych kamieniach do przodu. Między moimi rozstawionymi nogami kotłowała się brudna deszczowa woda, a za mną powstał szeroki pas lśniącej czystością jezdni.

Ciekawe, że żadna z opisanych przeze mnie kraks nie spowodowała uszkodzenia motocykla. Raz natomiast, gdy ustawiłem latem motocykl na rozgrzanym asfalcie, po krótkim czasie, motocykl przewrócił się na bok, wskutek czego stłukło się szkło w latarni. Łącznie, w ciągu dwóch sezonów, przejeździłem przeszło dwadzieścia tysięcy kilometrów, co umożliwiło mi poznanie wszystkich ciekawszych zakątków kraju. Motocykl jednak wykorzystywałem przede wszystkim w niedziele i święta.

W dzień powszedni natomiast najbardziej zaabsorbowany byłem pracą w biurze. Na początek umieszczono mnie w małym pokoiku za kreślarnią. Do moich

obowiązków należało zapotrzebowanie ze składnicy niezbędnych planów, wykonanych na dużych planszach aluminiowych, oklejonych kreślarskim papierem, odpowiednio zammerowanych i przechowywanych w dużych kopertach w stojakach. Wydawałem następnie te plansze, za pokwitowaniem, poszczególnym kreślarzom. Poza tym wydawałem ołówki, gumki, tusze i piórka prowadząc ewidencję zużycia materiałów kreślarskich.

W tym czasie szczerze zaprzyjaźniłem się z kilku sympatycznymi kreślarzami. Kierownikiem kreślarni był mój kolega, ze studiów na politechnice, który szybciej ode mnie zdołał uzyskać dyplom inżyniera. Urzędował on w części sali odgródzonej oszkloną ścianą od reszty kreślarni, oddzielającej go od mego pokoiku.

Otóż pewnego razu kierownik poprosił mnie do siebie na poważną rozmowę. Raziło go zbyt spoufalanie się przyszłego inżyniera z byle kreślarzami. Wyjaśniłem, że moje przyjacielskie stosunki dotyczą współżycia towarzyskiego po pracy, zaś w czasie pracy ograniczają się wyłącznie do mówienia sobie na "ty". W życiu towarzyskim moi znajomi kreślarze są bardziej interesującymi ludźmi od kolegi kierownika. Na to urażony kolega odpowiedział: "wybieraj, albo ze mną na ty, albo z nimi". Odrzekłem, że i z nim i z kreślarzami będę nadal utrzymywał przyjacielskie stosunki, zwracając się i do nich i do niego na "ty".

Jeszcze tego samego dnia, okienko w oszklonej ścianie otworzyło się i rozległ się głos kierownika: "panie K. proszę do mnie". Krzyknąłem pełnym głosem "czego chcesz Rysiu?" nastąpiła krótka chwila ciszy, po czym kierownik dał za wygraną i zawołał: "no chodźże prędzej".

Stopniowo zaczęto mi powierzać różne obliczenia, do których powprowadzałem pewne usprawnienia swego pomysłu. Kierownik ofuknął mnie za to i polecił liczyć zgodnie z ustalonym szablonem. Wobec tego zawziętem się i codziennie pozostawałem po pracy na dwie - trzy godziny, powtarzając wykonane obliczenia swoim ulepszonym sposobem. Przy tym notowałem czas. Okazało się, że po wprowadzeniu usprawnień, obliczenia można było wykonać dwa razy szybciej.

Po zebraniu materiału doświadczalnego udałem się do naczelnika wydziału z pominięciem kierownika pracowni i przedstawiłem mu szczegóły i wyniki swoich usprawnień, zaznaczając, że kierownik pracowni polecił mi prowadzić obliczenia w sposób konwencjonalny, bez stosowania moich pomysłów.

W wyniku krótkiej rozmowy, powierzono mi samodzielną pracę obliczeniową, uwalniając od obowiązku zajmowania się wydawaniem ołówków, gumek i t.p. W międzyczasie założyłem się z którymiś z kolegów, że przez trzy dni będę przychodził do pracy we fraku. Wkładałem zwykłe spodnie, miękką kolorową koszulę z krawatem

i do tego zamiast zwykłej marynarki - frak. Przy tym, szedłem w tym stroju ulicą do biura. Na ulicy, nikt nie zwracał uwagi na mój oryginalny strój, natomiast na terenie biura, wywołałem sensację. Pracownicy innych wydziałów przychodzili mnie podziwiać.

Drugiego dnia zostałem wezwany do naczelnika, który polecił mi natychmiast się przebrać. Zrobiłem zatroskaną minę i wyjaśniłem, że tu chodzi o sakład, że pozostał jeszcze tylko jeden dzień chodzenia we fraku, niezbędny do wygrania tego zakładu. Potrafiłem jakoś udobruchać pana naczelnika, który machnął w końcu ręką i już mi nie zabraniał niozego. Ten frak rozstawił mnie w całym biurze, gdzie stałem się popularną postacią, traktowaną zresztą z góry, z dużą dozą pokłania. Już wówczas zauważyłem, że w życiu najlepiej jest błasnować z siebie, bo w ten sposób staje się niepoważnym i niegroźnym dla otoczenia, zyskując jednocześnie popularność, a często i pewną dozę sympatii, bez narażania się komukolwiek.

Wkrótce ściągnąłem do siebie swą matkę, którą wzięłem na utrzymanie. Zamieszkaliśmy razem w tym samym, co i dotychczas, sublokatorskim pokoju, na przeciw sądów, na Lesznie.

W zajmowanym przez nas pokoju grasowały myszy. Kupiłem więc pułapkę i nastawiałem ją na noc. Rano znajdowałem w klatce pułapki żywą mysz. Wówczas otwierałem lufcik w oknie, przystawiałem pułapkę do lufolika i otwierałem ją. Mysz natychmiast wyskakiwała z pułapki i z okna na pierwszym piętrze, popełniając w ten sposób samobójstwo. Upadek myszy na płyty chodnika wąskiego podwórka, w kształcie studni, powodował odgłos przypominający wystrzał. Ponadto ściany pokoju pokrywały tapety, za którymi gnieździły się pluskwy. Budziłem się w nocy, zapalałem światło i spoglądałem na ścianę. Zauważone pluskwy dusiłem palcem, co pozostawiało na tapecie ślady w postaci promieniście rozchodzących się smug rozmazanej krwi.

Gdy gospodarz zobaczył tak udekorowaną ścianę - wściekał się od złości, nie on jednak do mnie lecz ja do niego miałem pretensje, o te pluskwy za tapetami. Mając swą matkę na utrzymaniu, a przy tym pokój w pobliżu miejsca pracy, wolałem raczej walczyć z pluskwami, niż przenieść się do czystszej lecz niewspółmiernie droższego mieszkania.

Wkrótce uzyskałem dyplom. Związana z tym jednak zmiana stanowiska pracy wymagała wypowiedzenia pracy i złożenia podania o przyjęcie mnie na nowych, już jako inżyniera, korzystniejszych warunkach.

W związku z tym, wymówiłem pracę, wykorzystując jednocześnie przysługujący mi urlop wypoczynkowy. Był to koniec lipca 1939 roku. Pierwszego więc sierpnia, wziąłem na tylne siedleko ukochaną przez mnie dziewczynę - moją obecną żonę i wyruszyłem motocyklem w ostatnią już podróż dookoła Polski. Trasa wycieczki wiodła przez: Toruń, Gdynię, Poznań, Katowice, Cieszyń, Zaolzie, Kraków, Przemysł, Lwów i Równe. W ciągu miesiąca przejechaliśmy przeszło tysiąc kilometrów, zwiedzając po drodze co tylko się dało.

W podróż tą wyruszyłem z książeczką oszczędnościową, na której miałem złożone osiemset złotych, a zakończyłem ją w Równem, w dniu trzeciego września, z jedną złotówką na książeczkę. W ten sposób udało mi się pożytecznie wykorzystać oszczędności bez strat spowodowanych wybuchem wojny.

Naturalnie już w drodze do Gdyni zwróciłem uwagę na podminowaną przez naszych saperów szosę, w miejscu wysokiego nasypu, na wkopywane w pośpiechu pale, stanowiące przeszkodę dla czołgów i na rozlokowane po lasach oddziały naszych wojsk.

Podsumowując ten okres, muszę przyznać, że życie moje w owym czasie płynęło na ogół beztrosko, a ja sam postępowałem lekkomyślnie, a zresztą nawet i bezmyślnie. Jedynie w pracy zawodowej osiągnąłem pewne sukcesy, przypuszczalnie wskutek tego, że szczególnie interesowały mnie teoretyczne zagadnienia fachowe, zupełnie oderwane od życia, fascynujące możliwością dalszego rozwijania tych zdolności do matematyki oraz innych związanych z nią dyscyplin naukowych, wymagających umiejętności abstrakcyjnego myślenia i pracy wyobraźni przetrzemej.

Długoletnie i pracowite studia, na politechnice, wyrobiły we mnie takie cechy, jak wytrwałość, cierpliwość i umiejętność samodzielnego myślenia w dziedzinie zagadnień technicznych. Byłem jednak niewyrobiony życiowo i skłonny do impulsywnych i nieprzemyślanych przedsięwzięć. Moje pierwsze, spóźnione, samodzielne kroki w życiu były niezdarne. Brakło mi wytkniętego i sprecyzowanego celu, do którego bym dążył z całą pasją i entuzjazmem młodości. Trwoniłem swój junacki zapał, uganiając się za drobnymi przyjemnościami życiowymi i dogadając sobie. Odrzywałem się jednak stopniowo i bezpowrotnie od środowiska półświatka, w którym tkwiłem za czasów swej wczesnej młodości.

Dalsze lata były dla mnie twardą szkołą życia, wymagającą męskich decyzji i jasnego sprecyzowania swojego stanowiska, wobec toczących się wokół wydarzeń.

MILK, ZŁEGO POCZĄTKI

Wkrótce po rozpoczęciu studiów na politechnice zacząłem spędzać wakacje na wsi, na Wołyniu, w osadzie M. Zaszyczej gościłem u ojca, gdzie gospodynią była druga jego żona, odznaczająca się wprost niebywałym skąpstwem i sknerstwem. Na przykład cukierniczki z cukrem nigdy nie było na stole. Każdorazowo do śniadania, kolacji, czy też po obiedzie, gdy podawano herbatę - pani Eugenia postępując dreptała do swego pokoju, z którego wносиła poszewkę od jaśka napełnioną cukrem, każdemu wydzielając z niej po dwie niepełne łyżeczki, po czym uroczyście odnosiła ten "skarb" do swego pokoju, gdzie sypkała go w szafie na klucz. Gniewało to nas - młodych.

Któregoś dnia, gdy poprosiłem o drugą szklanekę herbaty, pani Eugenia odmówiła mi jej wyjaśniając, że jest bardzo zmęczona i nie może co chwila udawać się po cukier. Następnego dnia kupiłem w sklepiku ćwierć kilo cukru, z którym zasiadłem do stołu, czym wywołałem niezadowolenie swego ojca. "Jeśli jesteś czymś gościem, to powinieneś dostosować się do porządków panujących w goszczącym cię domu i powstrzymać się od niesmacznych demonstracji".

Innym znów razem, któregoś niedzieli, pani Eugenia uroczyście zapowiedziała, że po obiedzie będą lody owocowe. Lodów jednak nie było, bo w ten sposób nie chciały się zamrozić pomimo prawie dwugodzinnego kręcenia ich w maszynie. Wówczas ja i mój braciszek oznajmiłyśmy, że dokonamy cudu i ukręcimy te lody w ciągu dwudziestu minut. Do opornych lodów dodaliśmy dwanaście żóitek ukręconych z cukrem, po czym udało nam się je zamrozić w ciągu kwadransa. Nasz tatuś robił dobrą minę do złej gry.

W gruncie rzeczy jednak, z podobnych drobnych zadrażnień i przykrości nic sobie nie robiliśmy, spędzając czas w lesie z dubeltówką na ramieniu. Polowałem wówczas przeważnie na błotne ptactwo z psem. Gdy przyjechał do nas w odwiedziny znany myśliwy pułkownik hrabia Rzewuski, wyszliśmy razem na łękę po której leniwie ciekła rzeczka zarośnięta sitowiem. Było to ulubione miejsce żerowania dzikich kaczek.

Szliśmy we dwójkę wzdłuż rzeczki. W pewnej chwili z łopotem skrzydeł poderwało się stado krzyżówek. Ustrzeliłem dubлетem dwie sztuki, z których jedna padła martwa na łękę, a druga postrzelona wpadła do wody, gdzie próbowała skryć się w gęstym sitowiu. Chciałem temu zapobiec, więc pobiegłem za nią zranując się po pas w wodę. Dopiero po powrocie na brzeg zorientowałem się, że wskoczyłem do rzeczki w ubraniu i przy okazji zamoczyłem portfel z dokumentami.

pieniężmi oraz zegarek. Przedmioty te natychmiast porozkładałem na słońcu w celu ich osuszenia.

Byłem jednak mimo wszystko niezmiernie dumny z wyników polowania u boku tak znakomitego myśliwego, autora wielu publikacji o myślistwie.

Moją specjalnością było polowanie na bekasy wystawiane przez wyżła. Gdy pies natrafiał na bekasy, skradał się parę kroków, po czym nieruchomieł z wyprostowanym ogonem i podniesioną jedną przednią łapą, z emocji drżał przy tym na całym ciele. Po rozkazie "pil!" pies rzucał się do przodu płosząc bekasa, który leciał zakosami, wciąż zmieniając kierunek lotu.

Sztuka ustrzelania tego małego i smacznego ptaszka polegała na bardzo szybkim oddaniu wystrzału z narkutu, bez celowania, po prostu "na wyszcucie", w kierunku ptaka, często jeszcze zanim kolba dubeltówki dotknęła ramienia.

Uprawiałem po trosze trzy sporty: boks, polowanie i jazdę motocyklem. Wszystkie trzy dyscypliny mają tę wspólną cechę, że wyrabiają szybkość orientacji i w ogóle reakcji na nieoczekiwane bodźce zewnętrzne. Przy tym turystyka motocyklowa i polowanie związane są z przebywaniem na łonie przyrody, podobnie kresztą jak i wykonywanie mego zawodu geodety.

Najbardziej więc w czasie wakacji absorbowały mnie polowania, w których zazwyczaj towarzyszył mi wyżeł. Oprócz wyżła mieliśmy wówczas jeszcze drugiego psa wilczej rasy. Psy te karmiło się resztkami z obiadów, do których dosypywało się mąkę.

W tym właśnie czasie moja matka również przebywała na wsi, gdzie zatrzymała się u swego syna, a więc mego brata Stasia. Mama była przedsiębiorczą kobietą, więc stale czymś się zabawiała. Aktualnym zainteresowaniem matki był wyrób lalek. Główni laleczek wykonywało się ze zmoczonego papieru, układanego w odpowiednio wklęsłe formy gipsowe.

W związku z tym w kuchni stały dwa duże papierowe worki gipsu. Otóż raz szła przez podłogę zamiast mąki, dosypała do żarcia psom gipsu.

Przez parę dni obawialiśmy się, że biedne psy pozdychają. Szczęściem obawy te nie sprawdziły się, jednak nasze podwórko zostało solidnie przez psy wybrukowane ekskrementami w postaci twardych kamyczków.

Bratem kresztą w swojej młodości udział w polowaniu bez udziału dubeltówki, czy psa myśliwskiego, poprzednio, gdy jako uczeń spędzałem wakacje w majątku nad Bawrą.

Któregoś roku rzeczka wylała zalając okoliczne łąki, poprzecinane rowami melioracyjnymi. Po opadnięciu wody ryby schroniły się do miejsc najgłębszych,

gdzie woda najdłużej się utrzymywała, a więc do rowów. Polowanie polegało na tym, że ja z bratem pozdejmowaliśmy spodnie i obuwie i zaopatrzeni w kije weszliśmy do rowu mącąc wodę. Następnie wyszliśmy na łękę przypatrując się uważnie powierzchni wody w rowie. Duża ilość szczupaków, dla nabrania tchu pływała pod samą powierzchnią co powodowało powstawanie drobnych fal sygnalizujących na powierzchni wody ich obecność. Po zauważeniu falowania wody uderzaliśmy w to miejsce kijem po czym wyciągaliśmy z rowu ogłuszoną rybę. W ten sposób "upolowaliśmy" w ciągu kilku godzin około dziesięciu kilogramów sporych szczupaków.

Któregoś dnia szedłem z dubeltówką do lasu. Po drodze mijalem sadsawkę poroślą sitowiem. Spostrzegłem na płytkiej wodzie polano pływające w dziwnej pozycji, jeden bowiem jego koniec był zanurzony więcej, a drugi mniej. Po przyjrzeniu się uświadomiłem sobie, że to co przyjąłem za pływające polano w rzeczywistości jest ogromnym szczupakiem, grzejącym się w słońcu pod samą powierzchnią wody.

Nie namyślając się strzeletem z dubeltówki zabijając go na miejscu. Szczupak ten miał cały metr długości i ważył około jedenastu kilogramów.

Tak więc wakacje upływały nam, to jest mnie i bratu beztrudno. Wieczory jednak dłużyły się wobec czego poszukiwaliśmy towarzystwa dla miłszego ich spędzenia.

Otóż po drugiej stronie torów kolejowych w osadzie M., wśród lasu, stało parę drewnianych baraków zajmowanych przez biura i mieszkania pracowników parcelowanego majątku Państwowego Banku Rolnego. Biuro zatrudniało, na stanowisku księgowego, starego kawalera pana P., bardzo sympatycznego jegomościa, wielkiego amatora zaglądania do kieliszka.

U pana P. gospodarstwo prowadziła jego bratanica, bardzo miła, inteligentna i ocytana panienka, której na imię było Matka.

Takie jakoś utarło, że pana P. nikt nie znał ani z imienia ani z nazwiska choć był on dość popularną postacią, znaną powszechnie jako "stryjek".

Otóż "stryjek" był stałym bawalcem miejscowej gospody, w której stołował się i popijał w wesołym towarzystwie koleżów i przyjaciół, kresztą miał ich wielu bo fundował picie. Stryjek zarabiał zupełnie nieźle, bo aż czterysta złotych miesięcznie, nie posiadał jednak dostatecznej ilości zmian bielizny pościelowej i chodził w zaniedbanym ubraniu. Natomiast na wesołą pogawędkę, przy kieliszku, nigdy nie zbrakło mu ochoty. Toteż pił na kredyt, a gdy nadchodził dzień wypłaty cały swój miesięczny zarobek odnosił właścicielowi gospody. Stryjek miał długie sumiaste wąsy, co przy niakiej i szczupłej postaci nadawało mu trochę śmieszny,

ale bardzo sympatyczny wygląd. Stryjek wytresował koguta, który wszędzie chodził za nim i poskusznie wykonywał jego polecenia, a więc na rozkaz: pisał, przysiadł, podwijał jedną nogę i t.p.

Gospodarstwo jego bratanicy Natki było zasobniejsze. Paniuszka jednak nie lubiła zaprzętać głowy pracą. W związku z tym zorganizowała sobie życie w dość pomysłowy i oryginalny sposób.

Miała na przykład około dwudziestu szklanek, które stopniowo wynmowała z kredensu dla wypicia herbaty. Dopiero gdy zgromadziło się na pieciku dwadzieścia brudnych szklanek, Natka zawiązała rękawy i zabierała się do hurtowego ich mycia.

Obok Natki, w tym samym baraku, tylko przez ścianę, mieszkaly trzy panienki. Były to siostry. Jedna z nich - najstarsza pracowała w biurze banku w charakterze sekretarki i maszynistki w jednej osobie, druga nieco młodszą pracowała jako kasjerka w kolejowej kasie bagażowej, trzecia zaś najmłodsza i najprzystojniejsza zajmowała się gospodarstwem domowym.

Wszystkie trzy siostry były emigrantkami z carskiej Rosji nie posiadały więc żadnego obywatelstwa i legitymowały się międzynarodowymi paszportami "Mansena". W związku z tym ciążył na nich przykry obowiązek okresowego meldowania się na miejscowym posterunku policji, w celu przedłużenia pozwolenia na pobyt w pobliżu granicy ze Związkiem Radzieckim.

Były to siostry. Ojciec - nauczyciel już nie żył. Mimo to matce ich udało się zapewnić im średnie wykształcenie. Ukończyły prywatne gimnazjum w Równem z rosyjskim językiem wykładowym. Razem więc: ja z bratem, stryjek z siostrzenią i sąsiadujące z nimi trzy siostry tworzyły zgrane towarzystwo umilające sobie nawzajem długie wieczory.

Któregoś roku "stryjek" zalał spirytusem wiśni w sporym gąsiorze, po czym każdorazowo odwiedziny upamiętniał kieliszkiem dobrego wiśniaku. Gdy po kilku miesiącach ulewania okazało się już dno gąsiora, ze skurczonymi i pomarszczonymi wiśniami okazało się, że zawartość jego na tym się nie ograniczyła, wśród wisien bowiem leżał, dobrze zakonserwowany, zdechły szczur. Nie wiadomo kiedy i w jaki sposób dostał się on do gąsiora. Wiśnie, wraz ze szczurem, stryjek wyrzucił na podwórze, co spostrzegły kury i rzuciły się żapczywie na żer. Po kilku minutach wszystkie kury były pijane. Śmiałyśmy się do rozpuku, kury bowiem poruszały się w zwolnionym tempie i sataczały, na podobieństwo podchmielonych ludzi.

Ja, jako stały mieszkaniec stolicy, student i syn ogólnie znanego w osadzie M. i poważanego człowieka, w zestawieniu z dobrze ułożonymi i inteligentnymi, lecz skromnymi panienkami z prowincji, korzystałem z poważnego autorytetu uzyskanego na kredyt. W wielu sprawach byłem nieomal wyrocznią, wśród młodych i skromnych panienek. Nic więc dziwnego, że bez wysiłku zdobyłem serce najmłodszej siostry, Żeni.

Była to zgrabna i przystojna, drobna, dwudziestokilku-letnia paniuszka, która i mnie pociągała.

Przesiadywałem więc w gościnie u stryjka, lub sióstr, do późnej nocy. Jak to bywa w małych miejscowościach, wszyscy o wszystkim wiedzieli. Nie wpływało to zbyt dobrze na dotąd nieposzlakowaną opinię panienek.

Któregoś dnia, jeszcze kilka lat przed wybuchem wojny, do osady M. przyjechali na polowanie sanacyjni ministrowie, którzy zatrzymali się na noc w budynkach bankowych. W związku z tym, cała osada została obsadzona liczną ochroną, składającą się ze wzmoconych posterunków policji. Gdy więc około pierwszej w nocy wracałem od panienek do domu - po drodze zaczepił mnie policjant wołając: "stój". Ja jednak szedłem dalej. Policjant podążył za mną, a gdy mijalem oświetlony peron podbiegł do mnie i zapytał dlaczego nie usłuchałem jego wezwania. Odparłem, że przypuszczałem, iż woła na psa, a nie na człowieka, bo zwrócił się z zawołaniem w niezbyt odpowiedniej formie. Na to niezadowolony policjant zapytał mnie ze srogą miną kim jestem i dokąd idę. Gdy wymieniłem mu swe nazwisko - natychmiast zasalutował, grzecznie mnie przeprosił i odszedł.

Wdodecznie został uprzedzony, że tu taki to, a taki zwykle późno wraca do domu; jest to więc normalnym zjawiskiem, które nie powinno wywołać niepokoju, ani też wzbudzić jakichkolwiek podejrzeń. Opisany incydent jest dowodem tego, jak dobrze znane były w osadzie zwyczaje i obyczaje bliźnich.

Ojciec spytał mnie kiedyś, czy ja właściwie przyjechałem na wakacje do niego, czy też do "panienek z banku". Gdy przyjechałem na najbliższe ferie świąteczne i noworoczne, pozostałem w osadzie M. aż do początku następnego roku akademickiego, tracąc w ten sposób cały semestr studiów.

W miarę upływu czasu czułem, że coraz to bardziej ciągnie mnie do prze-miłej Żeni, a po paru latach już wiedziałem, że wpadłem z kreśsem i jestem beznadziejnie zakochany. Zarówno jednak mój ojciec jak też i matka Żeni patrzyli nieprzychylnym okiem na tę wzajemną miłość. Ojciec uważał, że nie jest to dla mnie odpowiednia partia, że powinienem wziąć posadną pannę. Natomiast moja ciocia uważała, że niedopuszczalną myśl o związku z Rosjanką, tak święta jeszcze była w tym czasie niechęć do narodów, których rządy brały udział w rozbiorach Polski.

który wyptał Żenię o szczegóły, po czym w asyście woźnego wszedł do mego pokoju i wyjął z szuflady znajdujący się tam jej dowód osobisty, co umożliwiło zorganizowanie noclegu w hotelu.

Obwozikiem Żenię motocyklem po całej Polsce, zwiedzając wspólnie wszystkie ciekawsze zakątki kultury i miejscowości. W pewnym momencie Żenia zwróciła się do mnie z prośbą bym z nią serwał, bo sama tego nie potrafi uczynić, a dalsze wspólne ciągłe widywanie się i przebywanie razem umożliwia jej wyjście zamek.

Na to ja odpowiedziałem, że ja również nie jestem zdolny do serwowania, kresztą po co mielibyśmy to robić, gdy nam ze sobą jest tak dobrze, a bezlitosne życie kiedyś samo nas rozdzieli. Gdy zaczął pracować nie będę już mógł spędzać dwóch ostatnich miesięcy w osadzie M., ona zaś również może wkrótce opuścić tę osadę, co automatycznie przerwie możliwości spotkań.

Stało się jednak inaczej, bo gdy ja zacząłem pracować a Żenia przeniosła się do matki do Równego, to pomimo wszystko spotykaliśmy się nadal.

Urlopy spędzałem bądź w osadzie M. i wówczas po drodze wpadałem do rodziny Żeni do Równego, bądź też w czasie urlopu przyjeżdżałem po nią motocyklem i zabierałem ją ze sobą w podróż turystyczną na przykład w góry do Zakopanego, bądź do Czorsztyna.

Gdy uniezależniłem się materialnie od ojca, wówczas tym bardziej nie śmiałem sprzeciwić się jego woli, jakże bym bowiem wyglądał we własnych oczach, gdybym był mu posłuszny tylko tak długo, jak długo potrzebowałem jego pomocy i opieki. Natomiast gdy wyznałem Żeni, że chętnie bym się z nią ożenił, lecz mój ojciec nie chce się na to zgodzić, zaskoczony byłem jej odpowiedzią, w której wyznała, że nie chce wychodzić za mnie samą dotąd bowiem dopóki nie jestem małżeństwem pewna jest, że widuje się z nią z własnej nieprzymuszonej woli, po ślubie natomiast nigdy nie miałaby pewności, czy w swym postępowaniu kieruje się uczuciem miłości, czy też poczuciem narzuconego mi obowiązku przez małżeństwo.

Dopiero po wkroczeniu wojsk radzieckich i po upaństwowieniu majątku ośmieliłem się, w rozmowie ze swym ojcem, powrócić do tematu swego małżeństwa i wówczas bez trudu uzyskałem błogosławieństwo ojca.

Wyglądało to uroczyście, kresztą bardzo mi zależało na tym, by podkreślić z całym naciskiem brak jakiegokolwiek zastrzeżeń ze strony mojej rodziny, do małżeństwa z Żenią. Ukłękliśmy obydwój przed ojcem, który położył ręce na naszych głowach i palnął krótką a uroczą mowę.

Chwila ta jednak nastąpiła dopiero w jedenaście lat po naszym zapoznaniu się z obecną moją żoną. Na dzień ślubu wybraliśmy dwa kolejne dni świąteczne. Żenia bowiem w tym czasie pracowała w Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w pobliskim mieście Równem. Wszystkie wstępne formalności były już pozatwierdzone, skromne przyjęcie weselne przygotowane, a proboszcz uprzedzony - narzeczona jednak nie przyjechała ani w ustalonym dniu, ani też dnia następnego.

Jak się później okazało powodem było przepełnienie pociągów. Nie pomogło jej nawet nocowanie na dworcu. Przyjechała natomiast, bez uprzedzenia, w następnym tygodniu.

Była to zima 1940 roku. Wynajęliśmy sanie, którymi udaliśmy się do wsi parafialnej. Pojechałem ja z Żenią oraz mój brat Staś. Kościół był pusty. Na dworze panował dwudziestostopniowy mróz, natomiast w kościele było dużo cieplej, lecz również temperatura na pewno poniżej zera. W czasie uroczystości zaślubin obecni byli delikwenci, to znaczy ja z Żenią, Staś i przygodny furman, który nas przywiózł - jako świadkowie oraz ksiądz i organista przygrywający na organach.

Nastąpiły kolejno: zmiana wyznania Żeni z prawosławnego na katolickie, spowiedź i komunia Święta, a następnie ślub, po którym udaliśmy się na plebanię i wypiliśmy z księdzem po kieliszeczku na rozgrzewkę, po czym wróciliśmy sankami do domu ojca, gdzie czekała na nas zaprowizowane na poczekaniu przyjęcie weselne.

Wieczorem tego samego dnia udaliśmy się do Równego do rodziny Żeni, gdzie powtórzyła się weselna libacja w szczupłym gronie matki, wuja i rodzeństwa mej żony. W dwa tygodnie później prawo udzielania ślubów przekazane zostało przez księży władzom świeckim.

Zmiana wyznania Żeni była konsekwencją nienadążania wyślowego za zachodzącymi zmianami pojęć, poglądów, zwyczajów i obyczajów. Dla mnie osobiście wiara i wyznanie mej żony były najzupełniej obojętne. Powodowaliśmy się chęcią uniknięcia zbędnych komentarzy, przewidywaliśmy bowiem, że będziemy przebywać i żyć w społeczeństwie katolickim, nie chcieliśmy więc wyróżniać się cokolwiek od innych członków tego społeczeństwa. Kresztą nie tylko wyznanie dzieliło nas wówczas pomimo obopólnej miłości.

Żenia w chwili poznania mnie czuła się Rosjanką i była raczej szowinistycznie i wrogo usposobiona do Polaków. Jednak, z biegiem lat, różnice te zatarły się zupełnie i obecnie nie mają żadnego znaczenia we wspólnym zgodnym pożytku.

Zarówno jednak cały przebieg naszego jedenastoletniego "narzeczeństwa", jak też i dalsze nasze wspólne losy, zawierają w sobie potężny ładunek romantyzmu. W każdym razie ja to w ten sposób odczuwam.

U podstaw trwałości naszego małżeństwa i uczuć jest daleko posunięta wzajemna tolerancja dotycząca jaskrawych różnic upodobań i zainteresowań wynikających z zupełnie odmiennych warunków naszego wychowania w różnych środowiskach. Mocno cementującą okrywką na pewno jest właściwy dobór seksualny i odpowiedni dobór usposobień, polegający raczej na przeciwieństwie, niż na podobieństwie.

Jestem w gorącej wodzie kąpany, aktywnie ustosunkowuję się do wszelkich zachodzących wydarzeń. Natomiast żona moja ma usposobienie spokojne, dużo cierpliwości i wobec tych samych wydarzeń wykazuje poprostu niezrozumiałe opanowanie, spokój a nawet obojętność.

Czytałem kiedyś rozprawkę Previda, w której autor dowodzi, że każdy człowiek niezależnie od płci posiada w swej psychice elementy zarówno męskie, jak też i kobiece. Są mężczyźni mniej lub bardziej męscy tak, jak i kobiety bywają mniej lub bardziej kobiece.

Według wyhuczzonej przez autora teorii, małżeństwo wówczas jest trwałe i szczęśliwe, gdy suma pierwiastka męskiego i kobiecego łącznie dają jednego stuprocentowego mężczyznę i jedną stuprocentową kobietę. Ta teoria przemawia do mojej wyobraźni.

Ja wykazuję w swym życiu wiele samodzielności i inicjatywy, podświadomie więc w swym otoczeniu poszukiwałem bezkrotnej kobitki wymagającej otoczenia jej troską i opieką.

Obwózem po całej Polsce skromnej, prowincjonalnej dziewczyny, pokazanie stolicy wraz z jej operą, teatrami i eleganckimi lokalami całkowicie zaspokajało mój instynktowy pociąg do opiekowania się nieporadną i trochę oszołomioną kochaną istotą, dając mi tym samym szerokie pole do inicjatywy i wyżycia się. Jednocześnie, wspólnie przeżyte przygody w ciągu wielu lat, wiązały nas uczuciowo, powodując pogłębianie się przyjaźni i wzajemnej życzliwości. Nie zawiedliśmy się na sobie w trudnych chwilach życiowych. Ot choćby taka decyzja mej żony dzielenie ze mną losu administracyjnego przesiedlenia, w nieznaną, w głąb Związku Radzieckiego, powzięta w ciągu pięciu minut dowiodła mi, że jest to osoba, na którą wszędzie i zawsze mogę liczyć.

Przekonałem się, że żona jest przyzwyczajona całkowicie posiadającym tak krewną, jak ja własne twarde zasady życiowe, co wzbudziło i utrwaliło we mnie

szacunek do jej osoby. Dziś patrzymy z przyzwyczajeniem oka na nasze stą-

Moja rodzina ma charakter patriarchalny i daleka jest od nowoczesności. Jestem obecnie jedynym żywicielem czterosobowej rodziny i jedynym jej członkiem pracującym zarobkowo. Nie biorę jednak żadnego udziału w trudach prowadzenia gospodarstwa domowego, w którym zarówno decyzje, jak i obowiązki należą wyłącznie do kobiet.

PRZEŁOMOWE WYDARZENIA LOSOWE

Mój ojciec w 1924 roku uzyskał zgodę matki na rozwód i wstąpił w związek małżeński z panią, z którą razem mieszkał już od dwunastu lat. Nie przestał jednak nadal żyć na matki i nasze utrzymanie. Drugą swą żonę ulokował w osadzie M., na Wołyniu, gdzie zajmowała zakupioną przez ojca willę z ogródkiem.

Po sąsiedsku mieszkał mój brat Staś w typowym drewnianym wiejskim domku. Przerwał on studia na Uniwersytecie Warszawskim, po roku nauki, po czym przeniósł się na stałe do osady M. Pomimo braku wyższego wykształcenia, miał dużą ogładę i wyrobienie towarzyskie. Był wysokim i szczupłym czarnookim młodzieńcem, dobrze grał na gitarze i śpiewał przyjemnym głosem smętne romanse cygańskie, toteż miał powodzenie u kobiet.

W tejże osadzie posiadał własny domek emerytowany urzędnik - Urzędu Wojewódzkiego w Lucku, w którym mieszkał ze swą dorosłą córką. Zięciem był oficer służby zawodowej, przebywający stale w jednostce poza osadą M. Mój brat zawzięcie i z powodzeniem flirtował z przystojną "ekomianą wdówką".

Rok przed wybuchem wojny odwiedziła ją koleżanka Ania, dyplomantka Wyższej Szkoły Handlowej w Warszawie, córka właściciela jednej z poważniejszych księgarni warszawskich. W ciągu kilku dni Ania poznała mego braciszka, który wywarł na niej silne wrażenie. Nic więc dziwnego, że bez oporu dała namówić się na udział w polowaniu. Staś i Ania zaopatrzyli się w dubeltówki i w koc, po czym z wieczora wyruszyli na skraj pobliskiego lasu, gdzie urządzili zasadzkę na dziki. Noc była chłodna, a czas dłużył się. Więc przytulili się do siebie i owinęli kocem. Nad ranem, powrócili co prawda bez dzika, ale za to zakochani w sobie wzajemnie. Po miesiącu odbył się w Katedrze warszawskiej ich ślub, po którym powrócili do osady M. zabierając ze sobą teściową.

W kilka dni po wybuchu wojny, cała nasza rodzina zebrała się w tej osadzie, położonej daleko od terenów walk frontowych. Zostałem powołany przez organa policji do służby porządkowej. Ubrojony w rewolwer, z białą - czerwoną opaską na rękę, brałem udział w różnych akcjach porządkowych. Wyznaczono mnie, między innymi, do dyżuru przy wojskowym pociągu towarowym, załadowanym lekko rannymi żołnierzami.

Pociąg ten stał w lesie w pobliżu stacji kolejowej. Moim zadaniem było nie dopuszczenie do pociągu ludności cywilnej. W pewnej chwili zauważyliśmy nad sobą lecące na bardzo dużej wysokości dwa samoloty. Ludność w panice rozbiegła się, kryjąc gdzie kto mógł. Ja przechodziłem się dalej, wcale nie osując zagrożenia.

Wkrótce potem rozmawiając z rannymi żołnierzami, nieoczekiwanie dla siebie, spostrzegłem, że wzdłuż toru nadlatują bardzo nisko nad ziemią dwa samoloty. Maszyny posuwały się nad samym lasem, a rozpiętość ich skrzydeł była większa od szerokości torowiska. Krzyknąłem przeraźliwie, możliwie jak najgłośniej: "uwaga, samoloty", po czym biegiem skierowałem się do rosnącego obok lasu. Nie zdążyłem jednak dopaść lasu, więc padłem na ziemię. Dla umożliwienia sobie obserwowania, tego co nastąpi, obróciłem się na wznak. Byłem bez marynarki, w śnieżnobiałej koszuli, która na tle trawy stanowiła doskonały cel. Szybko więc rwałem garściami trawę, obok siebie, wypiąc ją na swą koszulę, w celu zamaskowania się.

Samoloty ostrzeliwały transport z karabinów maszynowych i zrzucały lekkie bomby lotnicze. Kule gwizdały w powietrzu i ścinały gałązki i liście z drzew. Zauważyłem, że wskutek dużej szybkości samolotu, kule padały w sporych od siebie odstępach. Nastąpiło kilka detonacji, wywołanych pobliskimi wybuchami bomb lotniczych. Wszystko to trwało tylko kilka sekund. Na szczęście odeszło się bez ofiar. Dla mnie opisany nalot stanowił chrzest bojowy.

Okazało się, że biegnąc w popłochu zgubiłem rewolwer, który zresztą odnalazłem, w trawie, bez trudu. Od wybuchów powstał pożar lasu, który wkrótce ugasiiliśmy wspólnymi siłami.

Wybuchy bomb lotniczych pozostawiały po sobie bardzo płytkie zagłębienia w ziemi, szyny jednak podmuchem zostały wygięte, uniemożliwiając tym poruszanie się po nich pociągów. Szyny były podziurawione odłamkami bomb.

Nie wyobrażałem sobie, przed tym, by odłamki rozpryskiwały się pod tak małym kątem do powierzchni terenu, ani też że posiadają taką siłę, by przebić na wylot szynę kolejową. Możliwe, że odegrała tu pewną rolę wysoka temperatura odłamków.

Natychmiast, po niespodziewanym nalocie, wojsko wykopało okragłe doły w ziemi, obsadzając je ciężkimi karabinami maszynowymi, obsługiwanymi przez trzech żołnierzy każdy. Wokół dworca kolejowego, ustawiono łącznie trzy gniazda karabinów maszynowych. Po paru dniach, ku memu zdziwieniu, obrona dworca została zlikwidowana. Karabiny, wraz z obsługą, wycofano, a cała jednostka wojskowa, stacjonowana w osadzie, odmaszerowała w niewiadomym kierunku. Ciepłota przy tym ludności, by zabrała zapasy pościeli, bielizny i prowiantu, z magazynu wojskowego. Ja również poszedłem do budynku koszarowego i wziąłem sobie koc, wełniany, kilka par ciepłych kałoseńców, doskonałe ciemnozielone szaliki wełniane i prasowaną kawę z cukrem.

Wycofujący się oddział wojska rozdał ludności kilkadziesiąt karabinów z odpowiednim zapasem amunicji. W międzyczasie policja skonfiskowała wszystkie lampowe odbiorniki radiowe. Po wojsku wycofała się i policja.

Natychmiast poszedłem na opuszczony posterunek, gdzie znalazłem trzy ręczne granaty obronne z zapalnikami. Zabrałem te granaty ze sobą, a następnie ukryłem je pod drewnianym mostkiem, prowadzącym przed sąsiadujący z nami budynek. Leżą one tam przypuszczalnie do tego czasu.

Odkryłem również radio, uprzednio skonfiskowane bratu. Następnego dnia, z jednego ze stojących na stacji pociągów, wyładował się jakiś oddział wojskowy, uzbrojony w małe działka przeciwpancerne i również gdzieś odmaszerował. Wówczas to, zwróciła się do mego ojca delegacja ludności osady, prosząc o zorganizowanie samoobrony, przed ewentualnym napadem band ukraińskich.

Byliśmy w trudnej sytuacji. Na granicy bowiem ze Związkiem Radzieckim, odległej o około trzydziestu kilometrów, znajdowały się świeżo wybudowane forty i umocnienia. Wąskotorowa kolejka łączyła te fortyfikacje z koleją. Stacja M. była stacją przekładunkową. W rejonie osady stał cały pociąg wąskotorówki, załadowany ręczną bronią, amunicją i innym sprzętem wojskowym. Zachodziła więc obawa, by nieodpowiedzialny element nie opanował tego terenu w celu uzbrojenia się.

Ojciec zorganizował ochotniczą straż porządkową składającą się z kilkunastu mieszkańców osady. Między innymi, ja i mój brat, również należeliśmy do tej straży. Wyznaczona była kolejność dyżurów wartowniczych, pilnujących pociągu z amunicją i bronią, oraz patrolujących osadę w dzień i w nocy. Z oddali dało się słyszeć głuchy pomruk artylerii, czy nalotu. Byliśmy przekonani, że toczy się gdzieś w pobliżu poważna bitwa. Później okazało się, że były to prosto wybuchy amunicji, zgromadzonej w jednym z transportów kolejowych, a następnie zbombardowanej, przez lotnictwo niemieckie.

W tym właśnie czasie, przybyło do osady wielu uciekinierów i pracowników różnych instytucji, ewakuowanych z terenów zagrożonych. Wśród nich znalazł się kolega akademicki mego ojca, ze swą żoną, chronicznie chory na serce. W czasie jednego z nalotów zastał i umarł. Żona dostała pomieszczenia zysków, mimo to jednak, zdołała dobrać do nas, wioząc na wynajętej furze zwłoki swego męża. Ojciec mój sprawił zmarłemu pogrzeb. Przed tym jednak w noc poprzedzającą, uroczystości pogrzebowe, gdy ciało pozostawało jeszcze na wozie, na dworze - kot odgrył nieboszczykowi nos. Wiele zachodu kosztowało nas umieszczenie ciała w trumnie, bez surówka czyjejkolwiek uwagi na brak nosa u zmarłego.

Wkrótce z przerażeniem dowiedzieliśmy się z radia, że wojska radzieckie przekroczyły granicę. Wobec tego jednak, że miejscowość M. leżała na linii fortyfikacji, wojska radzieckie ominęły ten odcinek granicy.

Powstała kłopotliwa sytuacja, polegająca na braku legalnej władzy w osiedlu i na tymczasowym sprawowaniu tej władzy, przez straż porządkową, z moim ojcem na czele. Wśród ludności osiedla, zorganizował się "komitet rewolucyjny", na czele którego stanął robotnik, który za czasów sanacji więziony był przez dwa lata, za przekonania i działalność komunistyczną. Straż porządkowa zmieniła biało - czerwone opaski na czerwone i podporządkowała się powstałemu komitetowi.

Ojciec mój był lubiany i szanowany przez okoliczną ludność, która go znała od wielu lat, jako właściciela majątku leśnego, graniczącego z osiedlem M. Nic więc dziwnego, że ojciec również wszedł w skład "komitetu rewolucyjnego", jako jego przewodniczący.

Ojciec mój był podpułkownikiem rezerwy, wobec czego zwracano się do niego zwrotem "panie pułkowniku". Osiedle za radą mego ojca wysłało delegację do pobliskiego miasta, do władz wojskowych, z prośbą o objęcie władzy i przyśkanie kogoś upoważnionego, w celu przekazania pilnowanego pociągu ze sprzętem wojskowym.

Po dwóch tygodniach, do osiedla wjechały trzy samochody wojska radzieckiego, z oficerem politycznym na czele.

Pamiętam, zainteresowanie i wrażenie jakie wywołał na nas przelot trzech wojskowych samolotów radzieckich, poprzedzający wkroczenie wojsk. Samoloty leciały bardzo nisko i stosunkowo wolno, zrzucając ulotki. Początkowo byliśmy przekonani, że są to samoloty niemieckie. Wszyscy członkowie naszej rodziny ukryli się w piwnicy znajdującej się na podwórku, ja zaś zacząłem się z dubeltówką, z zamiarem zastrzelenia jednego z pilotów lecących samolotów. Postacie bowiem pilotów były wyraźnie widoczne.

W ostatniej chwili spostrzegłem, że nie są to samoloty niemieckie, lecz radzieckie. Nie wiedzieliśmy wówczas, czy wojska radzieckie wkroczyły w naszej obronie przed Niemcami, czy też jako ich sprzymierzeńcy. Dopiero z rozrzuconych broszur zorientowaliśmy się, że doraźnie mieszkańcom osiedla nic nie grozi ze strony nowej władzy.

Objęjący jednak tę władzę, oddział wojskowy widocznie nie miał tej pewności, że nic mu nie grozi z naszej strony. Na czele bowiem kolumny samochodowej jechał czerwony samochód, straży pożarnej, wioząc żołnierzy, trzymających

bron w gotowości do strzału. Gdy oficer polityczny dowiedział się, że przewodniczącym "komitetu rewolucyjnego" jest "pan pułkownik" - miejscowy obywatel ziemski - po prostu nie mógł wyjść z okupienia. Władza została przekazana wojsku, a mój ojciec oddał swego "Wisa", którego stale nosił przy sobie i zajął się sprawami osobistymi i swoją licznie zebraną rodziną. Skonfiskowano nam samochód osobowy, sześciocyndrowy "Piat" i mój motocykl.

Jeden z podoficerów siadł na motocykl i na moich oczach, tak długo jeździł nim w kółko po podwórku, pierwszym biegiem na pełnym gazie, aż po kilku godzinach, motor się zatarł, pomimo zowalizowania cylindra już od dawna wymagającego przeszlifowania.

Próbowaliśmy się dostosować do nowych przesłanków i nowych czasów. Brat zaczął pracować, jako robotnik fizyczny, przy ładowaniu wagonów. Ja uzyskałem pracę, jako brygadier zespołu kamieniarzy, układających nawierzchnię budującej się szosy. Codziennie chodziłem pieszo do miejsca pracy, oddalonego o dziesięć kilometrów i wracałem do domu późnym wieczorem. W praktyce pełniłem obowiązki technika obsługującego budowaną szosę. Przy pomocy teodolitu i niwelatora, wytyczałem kółkami trasę przebiegu przyszłej szosy, ustalając jej profil podłużny i poprzeczny, na podstawie dokumentacji projektowej. Nasz ojciec siedział w domu, nie wysuwając nosa z mieszkania. Obliczył, że ze sprzedaży ruchomości, może utrzymać rodzinę, nie pracując, przez kilka lat. (Miał wówczas sześćdziesiąt ostrych lat).

Wróćcie do naszych domów podjechała ciężarówka, z której wyskoczyli żołnierze, z bagnietami na karabinach i otoczyli je. Do mieszkania wszedł oficer z dwoma żołnierzami, aresztował mego ojca i brata po czym wywiózł ich do Włodzimierza Wołyńskiego.

Ze mną, ów oficer radzieckiego urzędu bezpieczeństwa, odbył krótką rozmowę, oznajmiając mi, że jest dobrze poinformowany o tym, że jestem członkiem pracy, a nie burżujem, w związku z tym prosi tylko, bym oddał mu posiadaną broń i zapewnia mnie, że mogę sobie żyć spokojnie. Przy okazji odebrał mi bagnietki, szczyryk i kieszonkową latarkę elektryczną, podobnie, jak ja swego czasu, przy rozbrajaniu niemieckiego kolejarza.

Po dwóch tygodniach zwolniono brata, a po sześciu - ojca. Znajomy komunistą często nas odwiedzał, gwarząc serdecznie z moim ojcem, przy kieliszku ódki. Został on wyznaczony, czy wybrany na stanowisko sołtysa.

Oznajmił on nam, w wielkiej tajemnicy, że władze sporządzają spis służby śnieżnej, prawdopodobnie w celu wywiezienia na Syberię. Obawiał się, że w drugim

rzucie, przyjdzie kolej na naszą rodzinę. W związku z tym, w najbliższym czasie udałem się do Sokala, znajdującego się w bezpośredniej bliskości granicy z terenami Polski, okupowanymi przez Niemców. Dowiedziałem się tam szczegółowo o możliwościach i sposobie nielegalnego przekroczenia tej granicy. Umówiłem się nawet z przewodnikiem, trudniącym się przeprowadzaniem przez granicę. Zorientowałem się, że można zabrać ze sobą jedynie lekkie ręczne bagaże.

Po powrocie do domu, odbyła się narada rodzinna, na której zapadła decyzja, że nigdzie nie ruszamy i pozostaniemy na miejscu. Dla mego ojca decyzja ta okazała się fatalną.

W tym czasie moja bratowa była w siódmym miesiącu ciąży. Wybrała się z bratem do Lwowa dowiedzieć się o możliwości dostania się do kliniki położniczej. Pociągi chodziły bardzo nieregularnie. Wagony osobowe miały powybijane szyby okienne i pozdzierane obicia z miękkich siedzeń w drugiej klasie. Poza tym były zatłoczone handlarzami zbiorowo uprawiającymi szmugiel. W drodze tłum tak mocno ścisnął bratową, że nastąpiło poronienie. Karetka pogotowia zabrała ją z pociągu do szpitala.

Po kilku dniach bratowa powróciła do zdrowia. Po opuszczeniu szpitala zatrzymała się wraz ze swym mężem, to jest z moim bratem we Lwowie. Zakupili w "Orbisie" bilety do osady M. W dniu zamierzonego powrotu, z rana, gdy bratowa schyliła się nad miednią, by się umyć - nagle straciła przytomność i niespodziewanie umarła w ciągu kilkunastu sekund. Powodem śmierci było zaccbowanie skrzepem arterii wieńcowej serca.

Zrozpaczony brat pochował swą żonę na cmentarzu Łyczakowskim, po czym wrócił do domu, gdzie energicznie zajął się sprzedażą pozostałych po żonie ubrań, a następnie za zebrane w ten sposób pieniądze pojechał wraz ze mną do Lwowa, gdzie zajął się ekshumacją zwłok swej żony.

Jako pracownik kolejowy /robotnik zatrudniony przy załadunkach i wyładunkach wagonów/, otrzymał od miejscowych władz osiedla odpowiednie pojęające zaświadczenie, co ułatwiło mu dokonanie niezbędnych formalności.

W czasie naszego pobytu we Lwowie trwała wyprzedaż wódek i likierów znanej firmy Baczewskiero. Przy tym pozostała dawna cena około dziesięciu złotych za litrową butelkę. Była to wyjątkowa okazja - wartość bowiem złotówki gwałtownie zmalała, więc zakupiliśmy około dziesięciu litrów wódek i likierów.

Działo się to w okresie zimy, na przełomie 1939 i 1940 roku. Trumna ze zwłokami została wydobyta z grobu i zalutowana w metalowej trumnie, którą z ko-

Lei umieszczono w drewnianej skrzyni. Otrzymaliśmy do dyspozycji cały wagon towarowy, na środku którego umieściliśmy trumnę ze zwłokami, a sami zajęliśmy miejsca obok, jako eskorta. W drodze na otarcie łez wypiliśmy jedną z litrowych butelek gatunkowej wódki.

Pocieszałem brata, jak tylko umiałem. Spełnienie woli zmarłej żony, która często powtarzała, że chciałaby być pochowana na wsi, na cmentarzu przy parafialnym, starym kościele - i szereg kłopotów związanych z tym przedsięwzięciem - trochę uspokoiło jego rozpacz po stracie żony.

Na dworcu kolejowym oczekiwała nas reszta rodziny, uprzedzona depeszą o terminie naszego przyjazdu. Wśród zebranych brakło ojca. Okazało się, że parę dni temu, snów został on ponownie aresztowany, przy czym zapytywano również i o nas.

Cmentarz odległy był około dziesięciu kilometrów od dworca kolejowego. Przekładaliśmy ciało nieboszczki z wagonu na furmankę, odwieźliśmy na cmentarz i tam w asyście księdza pogrzebaliśmy. Sami byliśmy grabarzami.

Po powrocie do domu szybko zebrałem zmianę bieliży i najniezbędniejsze drobiazgi do plecaka i wyjechałem z osady M. do pobliskiego miasta Równe, do rodziny swej żony.

Po kilku dniach otrzymałem depezę od brata następującej treści: "Wyjeżdżamy. Stać". Domyśliłem się, że nasza rodzina jest administracyjnie przesiedlana, więc natychmiast zdecydowałem się solidarnie dzielić z nią los, niezależnie od tego czy będzie dobry, czy zły. Moja żona bez wahania zgłosiła gotowość wyjazdu wraz ze mną.

Najbliższym pociągiem udaliśmy się z żoną do osady M., gdzie zastaliśmy otwarte i opuszczone, częściowo "rozzabrowane" mieszkania brata oraz drugiej żony mego ojca. Zaczęliśmy się pakować, zabieraliśmy ze sobą wszelkie najniezbędniejsze rzeczy, nie oglądając się na to, czy stanowią one własność moją, czy brata.

W pewnej chwili do mieszkania wszedł milicjant, zapytując co tu robimy. "Jak to co robimy? Wyjeżdżamy! Przecież naszą rodzinę przesiedlają". "A jak cię zwadź?" Wydeniłem swe imię i nazwisko. "A kim jest ta obywatelka?" "Moją żoną". "Wie kłamiesz?". "Skąd, mówię prawdę". Wówczas milicjant zajrzał do jakichś dokumentów i oznajmił, że nas w spisie nie ma. "No to dopisz!" No i dopisał, po czym sprowadził furmankę i załadował nas, wraz z podręcznym bagażem, do wagonu towarowego, stojącego na bocznicy i pilnowanego przez wartownika z bagnetem na karabanie.

Jakaż była uciecha, gdy załadowano nas do wagonu. Wywożonych było liczne grono. Z naszej rodziny wyjeżdżało łącznie sześć osób: ja, mój brat, moja żona, moja matka, druga żona naszego ojca i teściowa mego brata. Były więc wśród nas trzy młode osoby /ja, żona i brat/ i trzy panie w wieku szesnastu-śięćciu paru lat i to takie panie, które w ciągu swego życia nigdy nie robiły, wyręczając się służbą.

Okoliczna ludność, w ciągu doby postoju wagonu na bocznicy, naznosiła nam mnóstwo prowiantu. Kubki świeżych jajek, zabezpieczonych trocinami od stłuczenia się, placki ze słodkiego ciasta, pieczone kury, wiele bochenków chleba i t.p. zapasów żywności - stanowiły one widomą oznakę sympatii ludności.

Był to już trzeci transport. Pierwszym wywieziono straż leśną. Ciekawe, że gdy dokonywano spisu straży leśnej, jeden z emerytowanych już naszych gajowych zgłosił się przypuszczając, że spis związany jest z zaopiekowaniem się i z pomocą materialną. Został on wciągnięty na listę i wywieziony wraz z innymi leśniczymi i gajowymi. Byli to na ogół biedni i prości ludzie, czym więc zawinił, że ich wysiedlono?

W drugiej turze wyjechali amatorzy przesiedlenia na tereny okupowane przez Niemców, którzy zgłaszali się sami na wyjazd. Wywieźli ich jednak, nie na zachód do centralnych terenów Polski, lecz na wschód do Azji.

Mój brat był przygotowany na przesiedlenie. Normalnie pozwalano zabrać ze sobą chyba po dwadzieścia kilo bagażu na osobę. Przy ładowaniu ciepłego ubrania mówiono: "tego nie bierz, jedziesz do ciepłych krajów". Dla uniknięcia podobnych ograniczeń, gdy o piątej nad ranem zapukano do drzwi i salecno pakować się ogłaszając, że rodzina przewidziana jest do przesiedlenia, Stać postawił na stół litr dobrej wódki i odpowiednią zagryzkę, sapraszając przybyłych milicjantów do wypicia z nim "strzeżennego", a w tym czasie kobiety pakowały się niczym nie krępowane.

Następnie braciśzek obdarował jednego milicjanta rowerem, a drugiego pięknym sztucercem, dając im zaświadczenia na piśmie opatrzone pieczęcią i podpisem, że przedmioty te sprzedał okaziołom zaświadczeń. Skutek był taki, że udało się zabrać bardzo dużo cennych i potrzebnych rzeczy.

Jechaliśmy więc dobrze zaopatrzeni na drogę. Ponadto, dopiero w wagonie dowiedziałem się od brata, że zarówno on, jak też i nasz ojciec, po pierwszym aresztowaniu, zostali wypuszczeni na wolność pod warunkiem współpracy z władzami.

Bratu memu polecono opracowanie tematu "Nastroje, ludzie, organizacje". Stał zabrakł się energicznie do roboty i opisał szczegółowo panujące wówczas nastroje, bolączki i nadzieje mieszkańców osady, nie wymieniając jednak nazwisk. Natomiast nasz ojciec uchylał się od wymuszonego na nim zobowiązania, tłumacząc się złym stanem zdrowia. Gdy brat oddawał w milicji swój elaborat, zwrócono mu uwagę, że brak jest charakterystyki poszczególnych mieszkańców. W odpowiedzi na ten zarzut wyjaśnił, że nie chce być donosicielem, ani konfidentem.

Podobne uchylanie się od otrzymanych w areszcie zaleceń skończyło się smutno: ojciec został ponownie aresztowany, a brat wraz z rodziną wysiedlony.

W tym miejscu uważam za swój obowiązek opisać krótko smutny życiorys mego ojca. Ojciec mój Wiktor urodził się w drugiej połowie zeszłego stulecia w majątku ziemskim "Weszczukusy", w okolicy Berdyczowa, na Podolu. Wraz ze starszą od siebie o dwa lata siostrą został osierocony we wczesnym dzieciństwie. Sieroty wychowywane były przez wujostwo. Gdy ojciec był uczniem siódmej klasy gimnazjum - zakończone zostało postępowanie spadkowe, przy czym majątek ziemski dostał się w ręce innych krewnych, a ojciec mój został spłacony. Nie wiem w jaki sposób i dlaczego, należność otrzymał nie opiekun nieletniego chłopca, lecz on sam. Skutek był taki, że Wiktor przerwał naukę, kupił sobie dubeltówkę i szturca i wyjechał na przeciąg dwóch lat na Ural, gdzie żył beztrudko, polując i świadcząc zalesions, piękne, górskie okolice.

Gdy odziedziczona gotówka zaczęła się wyczerpywać, młodzieniec wrócił w rodzinne strony i zabrakł się do nauki, a że był zdolny, więc udało mu się uzyskać maturę, jako eksterniście, bez uczęszczania do siódmej i ósmej klasy gimnazjum. Następnie przeniósł się do Petersburga, gdzie dostał się na wyższą techniczną uczelnię do tak zwanego "Instytutu Cywilnych Inżynierów". Wykazywał wiele inicjatywy. Zorganizował kursy studenckie, na których za odpowiednią opłatą, urządzał zbiorowe wykłady, poduczając na nich swych bogatszych i leńszych kolegów uczelnianych. Gdy dorobił się paruset rubli, kupił kilka koni, klusaków, którymi w dwukółce jeździł po bulwarach miejskich.

Po pewnym czasie kupił samochód, który sam prowadził. W owych czasach to jest około 1900 roku, samochody na ulicach miast wywoływały ogólną sensację.

W tym też czasie poznał moją matkę, która była mężatką żyjącą w separacji ze swym mężem. Po kilku latach wspólnego pożycia urodził się ja, a następnie mój brat. W parę lat później matka moja uzyskała rozwód z pierwszym swym mężem i wyszła sama z ojca. Wówczas zostaliśmy formalnie usynowieni. Zarówno więc

ja, jak też i mój brat jesteśmy zalegalizowanymi dziećmi nieprawego łoża. Może tym należy tłumaczyć szczęście, jakie sprzyjało mi i nadal sprzyja w życiu.

Jeszcze jako student ojciec mój pracował w zakładzie dla ślepych, nie wiem jednak w jakim charakterze. Po uzyskaniu przez ojca dyplomu inżyniera, rodzice moi przenieśli się na stałe do Łodzi, gdzie ojciec objął stanowisko architekta miejskiego. W kilka lat później zakochał się w innej kobiecie, którą sprowadził z Kijowa do siebie do Łodzi. Nam kupił domek w Skierzniewicach, który opisałem na początku swych wspomnień. Po wybuchu pierwszej wojny światowej wstąpił ochotniczo do wojska rosyjskiego, biorąc udział w walkach frontowych z Niemcami.

Służył w stopniu podporucznika w kolumnie samochodowej. W czasie Rewolucji Październikowej, wraz z innymi oficerami, miał być sądzony przez sąd ludowy. Rozprawa odbywała się w gmachu cyrku wypełnionym po brzegi przez żołnierzy.

Grupa życzliwych ojcu żołnierzy, z tej samej co i on jednostki wojskowej wystąpiła o przekazanie ojca w ich ręce, mają bowiem z nim rachunki. Szturchając i wymyślając wyprowadzili ojca z gmachu, po czym zamknęli w komórcie koszar. Po krótkim czasie ktoś otworzył komórkę umożliwiając ojcu ucieczkę. Wówczas ojciec zapisał się do korpusu generała Dowbora Muśnickiego. Po rozbrojeniu korpusu powrócił do kraju, po czym zajął się sprowadzeniem swej rodziny na teren Polski. Od 1918 r. do 1924 roku ojciec służył w wojsku polskim. Jednak jako były Dowborczyk, źle był widziany przez ogół "Piłsudczyków" panujących się w owym czasie w sferach wojskowych.

Swoją karierę wojskową zaczął od stopnia podporucznika. Zajmował jednak wysokie stanowisko szefa Kwaterunku Wojskowego Dowództwa Okręgu Korpusu w Łodzi. Specjalnością kwaterunku było budownictwo wojskowe, a mój ojciec jako inżynier architekt nadawał się do pracy tego typu.

Był krótki okres czasu, gdy ojciec mój jeździł na inspekcje i na odbiory robót budowlanych w stopniu podporucznika, w asyście adjutanta w stopniu pułkownika. Powodowało to pomyłki, wszyscy bowiem brali adjutanta za szefa, a prawdziwego szefa za jego adjutanta. Nic więc dziwnego, że w krótkim czasie awansował i uzyskał stopień podpułkownika.

W 1921 roku władze wojskowe "nakłoniły" ojca do pobrania się z penią, z którą do tego czasu żył bez ślubu.

W 1924 roku ojciec mój porzucił służbę wojskową i założył prywatne przedsiębiorstwo budowlane, które otrzymywało z przetargu roboty w Szafostwie Kwaterunku Wojskowego, w którym miał wielu znajomych z czasów służby wojskowej.

Wspólnikiem mego ojca był sympatyczny pan, właściciel cegielni, "ciuchci" i kilkudziesięciu kilometrów torów wąskotorowej kolejki. Spółka prosperowała znakomicie. Pierwszym poważniejszym zakupem mego ojca był powóz i para koni z demobilu.

Wkrótce sprzedał powóz i konie, dołożył nieco pieniędzy i stał się współwłaścicielem dwadziestohektarowego gospodarstwa pod Łodzią. Po pewnym czasie ojciec spłacił wspólników i stał się wyłącznym właścicielem, po czym sprzedał gospodarstwo i kupił za te pieniądze zupełnie zrujnowany mająteczek o powierzchni około stu hektarów, położony nad rzeczką Rawką między Rawą Mazowiecką a Skierniewicami. Wszystkie budynki były zburzone w wyniku działań wojennych. Dotychczasowa właścicielka mieszkała w ocalałej piwnicy. Cały teren przekopany był szeregiem okopów i zarośnięty młodziakiem brzoźowym sięgającym do kolan. Nic więc dziwnego, że nieruchomość, będąca w tak opłakanym stanie, można było nabyć stosunkowo bardzo tanio. Na dodatek ojciec rozmawiając w zamieszkałej piwnicy z dotychczasową właścicielką nieruchomości, wśród nielicznych mebli, rozpoznał dwa fotele pożyczone od nas ze Skierniewic. Od słowa do słowa i okazało się, że użytkowniczką foteli jest daleką kuzynką ojca. Ukłاتیło to kupić majątku.

Wkrótce zakupione zostały konie, a las przeorany. Przy pomocy własnego przedsiębiorstwa wybudowany został komplet budynków z gruzobetonu, krytych dachówką lub eternitem. Budynek mieszkalny posiadał posadzkę, łazienkę, lokalne, centralne ogrzewanie i t.p. luksusowe urządzenia wewnątrz. Na zewnątrz był to malutki jednopiętrowy pałacyk, z gankiem, kolumnami, balkonami i wieżyczkami. Przed budynkiem urządzono duży okrągły klomb zasadzony różami, a otoczony szeroką drogą dla zajeżdżających powozów. W stajni były cztery konie robocze, dwa wyjazdowe i rasowy ogier do konnej jazdy.

Po doprowadzeniu nieruchomości do kwitnącego stanu, ojciec mój zamienił ją na dwie kamienice czynszowe w Poznaniu, po czym, w ciągu roku, jeździł po całym kraju poszukując czegoś odpowiedniego do nabycia. Ojczulek bowiem dał sobie słowo, że musi odzyskać lekkoomyślnie stracony w młodości majątek otrzymany w spadku.

Wkrótce też kamienice zostały sprzedane, a za uzyskany etąd kapitał zakupiony został niepodzielny udział w jednej szóstej części dużego majątku leśnego na Wołyniu.

Stało się to możliwe tylko dzięki temu, że sprawy tego majątku były bardzo zawikłane. Współwłaścicielem ojca była grupa Żydów, występująca pod firmą swego wspólnika, sędziego Sądu Najwyższego. Drugim współwłaścicielem była

obywatelka radziecka, bez zgody której nie można było przedsięwziąć żadnych transakcji i zmian hipotecznych.

Hipoteka była obciążona zaległymi należnościami podatkowymi. Trzeci wspólnik mieszkał w majątku. Był to Rosjanin, były właściciel szeregu majątków, które jednak pozostały po radzieckiej stronie granicy. Ocalała tylko ta jedna najmniejsza i najbiedniejsza nieruchomość ziemska.

W sosnowym lesie przeważały kopalniaki, mniejsze partie lasu liściastego stanowiła osika nadająca się na papierówkę. Ziemi ornej prawie nie było. Ziemie majątkowe pokryte lasem tworzyły szachownicę z terenami rolnymi aż trzech wsi.

W czasie tak zwanej "swobody", to jest po zajęciu tych terenów przez Czerwoną Armię, w latach 1919 i 1920, ludność wsi zajęła część terenów majątkowych, wycinając drzewa i rozszerzając enklawy własnych gruntów kosztem terenów majątkowych. W końcowym wyniku nikt nie potrafił ustalić pierwotnych granic działek rolnych, z czego wynikł spór o ziemię, którą użytkowali gospodarze rolni, pozostawiając dziedzicowi opłacanie podatków.

Wobec całkowitego braku służby leśnej, szerzyła się bezkarnie defraudacja leśna. Mieszkańcy wsi jawnie jeździli do lasu po drzewo na opał bądź na budulec, jak po swoje.

Z przytoczonych względów, udało się memu ojcu kosztem dwóch kamienic zostać współwłaścicielem majątku, o powierzchni pięćdziesięciu kilometrów kwadratowych.

Po ośmiu latach ciężkiej pracy ojciec mój doprowadził wszystkie sprawy majątkowe do porządku. Dokonana została komasacja. Gospodarze z sąsiadujących wsi nadal użytkowali poletka położone w lesie, płacąc jednak niewielki czynsz dzierżawny ściągany nie dla zysku, lecz dla udokumentowania własności ziemi.

Wspólnicy zostali rozdzieleni. Zorganizowano straż leśną i defraudacja ustała. Początkowa wrogość wsi stopniowo zmieniła się w przyjaźń.

Włóczęganie zwracali się do ojca z prośbami o rady w zawikłanych sprawach natury prawnej i w sprawach związanych z prowadzeniem gospodarstw. W wyniku podziału pozostało nam przeszło dwa tysiące hektarów ziemi, z czego tylko dwieście hektarów stanowiły rola i pastwiska, reszta była porośnięta lasem. Nie było żadnych budynków na terenie majątku. Był to okres odmawiania sobie wszystkiego.

Zajmowanie się majątkiem uniemożliwiło memu ojcu wykonywanie pracy zarobkowej, a majątek nie tylko nie dawał żadnego dochodu, lecz wręcz przeciwnie

- wymagał etatowych wkładów inwestycyjnych i gotówki na opłacenie dziesięciu gajowych. Przy tym las był pod ochroną, nie wolno więc było dokonywać wyrębów.

Dopiero w związku z komasacją i podziałem można było wyciąć pewne partie lasu na pokrycie wydatków.

W tym okresie czasu ojciec mój poważnie się zadłużył, ponadto musiał pozbyć się wszelkich kosztowności. Dopiero po doprowadzeniu majątku do porządku osadził w nim administratora, a sam podjął się kierownictwa budowy huty szkła pod Sandomierzem. Został dyrektorem technicznym huty z wynagrodzeniem miesięcznym dwa tysiące złotych.

Gdy wkroczyły wojska radzieckie w 1939 roku, ojciec był poprostu zachwycony ogromną zmianą na korzyść, w porównaniu z wspomnianym przez siebie obrazem niezdiscyplinowanych, nieumundurowanych i zaniedbanych oddziałów z końca pierwszej wojny światowej i okresu rewolucji. Ojciec mój był z przekonania demokratą. Zawsze traktował z życzliwością zależnych od siebie prostych ludzi. Zawsze powtarzał, że nie jest niczym zasługą, że się urodził w pamiętanej warstwie społecznej i wobec tego ludzi należy traktować, jak braci.

Po drugim aresztowaniu ojca ludność okolicznych wsi złożyła do władz petycję opatrzoną około dwustu podpisami, zapewniając w niej, że nie był on wyzyskiwaczem i że należy go zwolnić. Jednak ta zbiorowa prośba nie odniosła zamierzonego skutku. Ojciec mój został przesłany do obozu w Starobielsku, gdzie nie był jednak zmuszony do pracy, prawdopodobnie ze względu na swój zaawansowany wiek.

Wkrótce przeniesiono go do obozu w Katyniu, gdzie zginął wraz z innymi współtowarzyszami niedoli. "Nazywa się trudno", był to przecież okres wojny, która pochłonęła miliony niewinnych ofiar.

Przykro mi jednak, że tamci Polacy z Katynia, takie same ofiary morderstwa, jak męczennicy z innych koncentracyjnych obozów śmierci, tylko dlatego, że przypisuje się im poglądy polityczne wrogie idei socjalizmu, napiętnowani są klątwą milczenia.

Na pewno wśród nich również nie brakło dobrych patriotów i ludzi światłych, tak jak mój ojciec, przychylnie usposobionych do zachodzących zmian polityczno - społecznych. Jakież są przesłanki, by na przykład lekarzy, nauczycieli czy prywatnych urzędników, oficerów rezerwy, zmobilizowanych do wojska w 1939 r. osądzać o sympatii do faszyzmu, czy sąsiedzi? A czy w Oświęcimiu, lub w Treblince, nie przebywała pewna ilość osób osadzona tam za przeróżne "machlojki" i nadużycia gospodarcze, a więc nie zasługujących na traktowanie ich na równi z bohaterami walki z faszyzmem?

Znam wielu dobrych obywateli Polski Ludowej, zajmujących dziś odpowiedzialne stanowiska, a wywodzących się ze środowiska przedwojennej inteligencji, a nawet rekrutujących się z grona dawnych "piłsudczyków".

Ojciec mój był takim samym dobrym Polakiem i taką samą niewinną ofiarą wojny, jak wielu, wielu innych. Poza tym na marne poszły długoletnie wyrzeczenia, praca i energia włożona przez ojca w dorobienie się nieruchomości ziemskiej i uporządkowanie jej tylko po to, by w końcu została upaństwowiona, bez jakiegokolwiek odszkodowania.

Dla mnie, historia wysiłków i osiągnięć mego ojca była pierwszą poważną lekcją poglądową pouczającą, że nie należy zbyt wiele wagi przypisywać dobrom materialnym stanowiącym naszą prywatną własność. Nie warto tracić czasu i energii na gromadzenie zasobów materialnych, powyżej granic ustalonych potrzebami życia codziennego swoimi i swoich bliskich, na wysokości uwarunkowanej ogólnym poziomem zamożności społeczeństwa, tradycjami środowiska i poziomem kultury osobistej.

" BIAŁE NIEDŹWIEDZIE "

Po rozejrzeniu się w wagonie stwierdziłem, że ze znajomych mi osób oprócz naszej rodziny jedzie również i ów emerytowany urzędnik z córką, za której pośrednictwem mój brat poznał zmarłą żonę Anię. Wywożeni byli jako rodzina zawodowego oficera.

Pozostali współtowarzysze podróży byli nieznanymi mi osobiście członkami rodzin policjantów lub osadników wojskowych, rolnicy ukraińskiej bądź białoruskiej narodowości, których członkowie rodzin byli soktysami i t.p.

Po dobrej postoi dołączono nasz wagon do zbiorowego pociągu, który odszedł w kierunku Równego, gdzie na dworsec przyszła rodzina mojej żony, która przyniosła tobołek z jej osobistymi rzeczami i jeszcze pewien zapas wiktuałów na drogę.

Pociąg ruszył do dawnej granicy polsko-radzieckiej, na której przeładowano nasz transport do pociągu szerokotorowego. Do pięćdziesięciotonowego, krytego wagonu towarowego załadowano łącznie osiemdziesiąt dwie osoby, było więc ciasno. W wagonie na obydwóch jego końcach i w środku pozostawiono trzy miejsca w kształcie kwadratów, w których ułożono bagaże i po których można się było poruszać, pomiędzy zaś nimi ustawione były dwa rzędy półek z grubych desek, służących za miejsca do spania. Na jednych półkach ulokowały się rodziny polskie, a na drugich białoruskie i ukraińskie. W zasadzie wszyscy w ciągu całych dni wylegiwali się na półkach, wstając tylko od czasu do czasu dla rozprostowania nóg i rozruszenia kości.

Taka organizacja jazdy podyktowana została brakiem dostatecznej ilości wolnego miejsca. Na środku wagonu znajdował się żeliwny piecyk i dziura w podłodze pełniąca rolę ubikacji. Panie zawiesiły perkalową firankę zasłaniającą to miejsce przed wzrokiem podróżnych. Jednak odgłosów wydobywających się zza firanki nie dało się zagłuszyć, co sprawiało mężczyznom niejaką uciechę, a panie wprowadzało w zakłopotanie.

Drzwi wejściowe zostały zaryglowane, a każdego wagonu pilnował wojskowy wartownik z karabinem w ręku. Trzy razy na dobę drzwi się otwierały i z wagonu wychodziły dwie, trzy osoby, na zmianę coraz to inne, z kubkami po prowiant oraz po zimną i gorącą wodę. Otrzymywaliśmy zazwyczaj jakąś kupa i razowy chleb. Wrzątek służył na herbatę. Nie dbaliśmy o jedzenie, którego duże zapasy wzięliśmy ze sobą, wady jednak na ogół brakło, co uniemożliwiało nam przyzwyczajone życie się.

Panie krępowały się rozebrać przy mężczyznach w celu umycia się. Nic więc dziwnego, że już po paru dniach podróży poczułem, że coś mnie gryzie, zdjąłem więc z siebie koszulę i zabiłem gryzącą mnie wesz. Była to pierwsza, lecz nie ostatnia wesz w moim życiu. Panie były zgorzzone moim postępkami, wołały bowiem drapać się cichaczem niż przyznać, że je oblażył wszy.

W drodze zaszło parę wydarzeń, które utkwiły mi dobrze w pamięci. Wszyscy wiedzieli, że ja z żenią stanowimy młode małżeństwo, dla którego ta podróż jest podróżą poślubną. To też dokuczano nam niemilosiernie, gdy w nocy zarwała się deska pod nami uderzając boleśnie kogoś leżącego na niższej półce do spania.

Druga żona mego ojca była rozpieszczoną starszą kobietą, która bardzo dbała o swe zdrowie. Przyzwyczajona była korzystać z nocnika, a następnie oglądać jego zawartość. Pewnego razu, gdy weszła za firankę po pewnym czasie firanka zaczęła się gwałtownie wydymać, po czym wykonała się z niej wypięta goła pupa. Wszyscy buchnęli wesołym śmiechem, po czym "błada twarz" znów schowała się za firankę. Najbardziej dokuczał nam w drodze brak wentylacji, dziura bowiem w podłodze za firaneczką stale była zajęta.

Nie wiedzieliśmy dokąd nas wiozą. Prosiłem jednak w duchu Boga, by wywieziono nas jaknajdalej. Przypuszczałem bowiem, że im na większym znajdziemy się bezludziu i im dalej od jakiegokolwiek władzy, tym więcej będziemy mieli swobody w swych poczynaniach.

Na razie jechaliśmy w kierunku wschodnim po terenie europejskiej części Związku Radzieckiego. Gdy znajdowaliśmy się na postoiu gdzieś w rejonie Moskwy, wyrzuciliśmy przez dziurę w podłodze - sporą ilość skórek od chleba oraz zaplesniałych kawałków chleba. Ku ogólnemu zaskoczeniu i przerażeniu wyrzucone kawałki natychmiast zostały rozchwyte przez jakieś ręce ludzkie. Możliwe, że ktoś zebrał odpadki żywności na przykład dla świń, my jednak przez wiele lat karmieni propagandą antyradziecką byliśmy przekonani, że jest to widomy znak skrajnego głodu, na który i my wkrótce będziemy skazani. Mieliśmy duży zapas dobrego jedzenia, więc przykre wrażenie szybko minęło.

Nasza podróż trwała już tydzień. Przez małe okienko widziałem, że jedzie przez góry Uralu. Po następnym tygodniu jazdy zatrzymaliśmy się w szarym polu. Otworzone wagony i włączono nas z nich. Zdziwiło nas, że choć była to już połowa kwietnia, na dworkach panował mroźny mraz a cały teren jak okiem sięgnąć pokryty był grubą warstwą śniegu.

Do pociągu podjeżdżały samochody ciężarowe, na które załadowywano po kilka rodzin wraz z ich podręcznym bagażem. Naszą rodzinę wiozły dwa samochody, a to z względu na wyjątkowo dużą ilość zabranych przez nas rzeczy. Samochodami jechaliśmy

przeszło dwie godziny, po czym zostaliśmy wraz ze swymi tobożami wysadzeni na szerokiej drodze w kolchozie. Oczom naszym przedstawił się widok niecodzienny.

Wzdłuż drogi szerokości około sześćdziesięciu metrów stały chaty z gliny. Budynki każdej zagrody tworzyły czworobok wewnątrz którego było małe podwórko pokryte płaskim słomianym dachem podpieranym słupkami drewnianymi. W większości domów słomiane pokrycia dachów były pozdejmowane a belkowanie wiązań dachowych odsłonięte. W całym osiedlu nie było ani jednego murowanego lub drewnianego budynku, nie było też budynków piętrowych, ale co dziwniejsze brakło płotów i drzew. Za wsią widoczna była rozległa zagnieźzona płaszczyna bez drzew i krzaków. W pobliżu nie widać było żadnej wsi, ani zabudowań. Wokół nas zebrało się sporo gapiów. Kierowca samochodu krzyknął do nas "a teraz żyćcie sobie swobodnie" i odjechał.

Naradziliśmy się z bratem co robić dalej. W końcu uradziliśmy, że pojedziemy od chaty do chaty w poszukiwaniu sakwaterowania. Bez trudu znaleźliśmy chętnych do przyjęcia nas. Ze względu na dużą liczebność rodziny rozdzieliliśmy się na dwie grupy: w jednej był mój brat z teściową i z drugą żoną ojca, a w drugiej ja ze swą żoną i matką. Jakiś młodzieniec zaoferował nam swoją pomoc przy niesieniu rzeczy do kwater. Ku naszemu zdziwieniu przemówił do nas po polsku. W drodze ostrzegł mnie, żebym się wystrzegał swej gospodyni, bo jest to znana działaczka społeczna i osoba partyjna, wrogo usposobiona do polskich burżujów.

Zajęliśmy izbę, w której zamieszkaliśmy razem z gospodarzem, jego żoną kierowniczką sklepu i ich dorosłą córką. Umówiliśmy się, że za kąt w mieszkaniu będziemy płacić ubraniami, przy czym wysokość należności ustalimy po obejrzeniu przez gospodarzy posiadanych przez nas ubrań, sukien i bielizny.

Stopniowo wyjaśniły się wszystkie poprzednio dziwiące mnie fakty i okoliczności.

Coś najbliższy trzcosowy lasek znajdował się od nas w odległości przeszło stu kilometrów i stąd brak drzewa budowlanego, brak płotów i drzewa opałowego. Większość mieszkańców wsi - to Polacy przesiedleni tu w 1936 roku z granicy z Polską, a więc ze wsi w rejonie Mińska, Kijowa, Żytomierza i innych. Poza tym mieszkańcami tych okolic Północnego Kazachstanu są koreańscy przesiedleni administracyjnie z nad granicy radziecko - koreańskiej, nacjonaliści ukraińscy i tubylcze koczownicze szczyepy pasterskie kirgizów, mahometanckiego wyznania.

Najmniej w tych okolicach było Rosjan. Ilość partyjnych kolchoźników była minimalna. W naszym kolchozie "Klewiermoje" na osiemdziesiąt rodzin były tylko trzy osoby partyjne, wszystkie trzy rosyjskiej narodowości. Byli to: przewodniczący kolchozu, dojarka - przodownica pracy i kierowniczka sklepu wiejskiego,

u której zamieszkaliśmy. Powierzchnia zagospodarowana przez nasz kolchoz liczyła około dwunastu tysięcy hektarów stepu częściowo eksploatowanego w charakterze ziemi uprawnej, częściowo zaś jako pastwisko, czy łąka.

Rzecz naturalna, że przy konieczności obsłużenia przez jedną rodzinę przeciętnie około osiemdziesięciu hektarów gruntu ornego i drugie tyle łąk, pomimo bardzo daleko posuniętej mechanizacji i ogromnego wysiłku kolchoźników prowadzono na ogół prymitywną gospodarkę. Nieosiągalnym ideałem było uzyskanie stu pudów, czyli szesnastu centnarów jarej pszenicy z hektara. Niewystarczający zapas siana spowodowany brakiem rąk robotniczych, zmusił do zdjęcia słomianych pokryć dachów w celu uzupełnienia paszy dla bydła, które na przednówku dokarmiano sianką z tej słomy.

Na jesieni dachy pokryto świeżą słomą. W wielkiej mierze do ekstensywnej gospodarki przyczyniały się bardzo niesprzyjające warunki klimatyczne. W tej okolicy Azji wiosna i jesień trwały po dwa - trzy tygodnie, upalne i suche lato - trzy miesiące od połowy czerwca do połowy września, a przez resztę roku panowała sroga zima. Przeciętnie mrozy utrzymywały się na poziomie -20 do -30°C z wyjątkiem dwóch kilkudniowych okresowych mrozów w ciągu roku dochodzących do -60°C. W okresie tych mrozów, gdy się splunęło - ślina spadała na ziemię z trzaskiem, zdążyła bowiem zamienić się w drodze do ziemi w sople lodu.

Pozostały okres zimy był bardzo dokuczliwy, pomimo bowiem stosunkowo małych mrozów stale wiały silne jednokierunkowe wiatry. Taka pogoda trudniejsza jest do zniesienia od silnych mrozów w dni bezwietrzne. W marcu, kwietniu i maju bardzo często występowały kilkudniowe zawieje śnieżne. W czasie podobnej zawiei, gęsty śnieg, pod wpływem silnego wiatru sypał prawie poziomo. Wodoczość wówczas ograniczała się do jednego metra. Znane były liczne przypadki wyjścia w czasie zawiei z chałupy do najbliższego sąsiada, zbłądzenia po drodze i zamrażnięcia na śmierć, po kilkudniowym błakaniu się po stepie.

Jeśli na przykład podobna zawieja zniecka zastała w drodze kogoś jadącego saniami, wówczas dla ratowania życia, podróżny przewracał sanie na bok, zaskaniając się nimi od strony wiatru i chroniąc za nimi konie, czy woły. Wkrótce opór stawiany wiatrowi przez sanie powodował powstanie zasy śnieżnej, która zasypywała i pokrywała powłoką śniegu schronionych za nią tworząc ochronę przed wiatrem i mrozem, pozwalając przeczekać burzę śnieżną.

Cały step zimą pokrywał śnieg głębokości co najmniej jednego metra. Po kilku dniach, zimny wiatr powodował utworzenie się na powierzchni śniegu skorupy lodowej, tak grubej i mocnej, że można było po niej, nie tylko swobodnie chodzić, lecz również, jeździć saniami zaprzęganymi w woły czy konie, bez obawy przebicia jej i zagrzebania się w śniegu.

Wobec braku drzewa i węgla, do palenia w piecach używano słomy, wikliny, wiązanej w tym celu w małe pęczki i zbieranych w ciągu całego lata, wysuszonych placków krowiego nawozu. Wyrabiano też coś w rodzaju naszego torfu. Nawóz zmieszany ze podściółką dla bydła, zbierano i układano w duże przyzmy w kształcie stogów, które w ciągu wiosny, posypywano śniegiem lub obficie polewano wodą. Następowala fermentacja - a wewnątrz takiego stogu temperatura wzrastała do kilkudziesięciu stopni. Następnie, już po ociepleniu się, należało w ciągu jednego dnia rozrzucić nawóz, tworząc z niego okrągły płaski placek, który polewano się wodą, po czym miesiło się go, pędząc po nim bydło, które kopytami ugniatało go. Gdy materiał na przyszły opał był już tak urobiony, że kopyta zapadały się, aż do ziemi, wówczas należało bosymi nogami udsptać powierzchnię tak, by tworzyła równą płaszczyznę.

Po dwóch, trzech dniach schnięcia cięło się taki ogromny placek ostrym szpadlem na kwadratowe kostki o wymiarach szerokości szpadla. Grubość kostek nie przekraczała dziesięciu centymetrów. Po następnych kilku dniach pocięte kostki odwracało się na drugą stronę, po czym po obeschnięciu ustawiało się "na sztorc" i w końcu układało się z nich przewiewne przyzmy, dla ostatecznego ich osuszenia.

Taki opał zwany kiziakiem nie palił się płomieniem, lecz tlił się czerwonym żarem, utrzymującym przez długi czas wysoką temperaturę, pozostawiał jednak po sobie około 30 % popiołu. Był to wartościowy opał, palenie bowiem słomą bądź wikliną, czy suchymi białkami słonecznika i piołunu, wymagało stałego podsycaenia ognia nowymi porcjami opału i zużywało wprost niesamowite jego ilości.

Zresztą w czasie zimy zabudowania chronione były przed mrozem przez śnieg, który z reguły zasypywał całą wieś.

Bardzo oryginalnie i niecodziennie wyglądała taka zasypana wioska. Na równinie stepu już z daleka można było zauważyć kilkumetrowej wysokości szeroce wały śnieżne, po grzbiecie którego biegła zazwyczaj wyjeżdżona droga. Wszystkie budynki, zasypane śniegiem wraz z dachami, łączyły się z drogą ścieżkami, biegnącymi wąskimi i głębokimi parowami, wykopanymi w ubitym śniegu. Parowy te wyprowadzały ścieżki na powierzchnię drogi, zagłębiając się coraz to bardziej, w miarę oddalania się od drogi, w kierunku wejścia do budynków.

Drzwi wejściowe z reguły otwierały się do wewnątrz, a każde mieszkanie zaopatrzone było w kilka łopat, służących do odgrzebywania śniegu po zwichi. Gdy po roku zamieszkałem w własnoręcznie zbudowanej chatce, w czasie zimy, idąc górą krowa przebiła kopytem dach tej chatki, będący równocześnie sufitem izby mieszkalnej.

Wśród zamieszkującej te okolice ludności Koreańczycy odznaczali się największą przedsiębiorczością i inteligencją. Spośród Koreańczyków rekrutowała się większość weterynarzy, agronomów i innych fachowców. Natomiast autochtoni Kirgizi stanowili najbardziej zacofany odłam tamtejszego społeczeństwa. Mieli oni zorganizowane własne kołchozy specjalizujące się w hodowli owiec. Kołchozy te miały przywilej polegający na prawie trzymania koni. Inne kołchozy, jako siły pociągowej, używały wołów.

Naturalnie wszystkie kołchozy zaopatrzone były w samochody ciężarowe, a ich przewodniczący w motocykle, główny jednak ciężar transportu spoczywał na żywej sile pociągowej, a więc na wołach.

Kirgizi jednak posługiwali się wyłącznie końmi. Ulubiony ich napój przygotowywany był z kobyłego mleka i zwany kumyssem. Kumys powstawał przez napełnienie kobyłym mlekiem dużych skórzanych worków i przez dodanie niewielkiej ilości soku żołądkowego cieląt, powodującego fermentację mleka. Im dłużej był okres fermentacji tym kumys był kwaśniejszy i tym więcej zawierał alkoholu.

Z wyglądu przypominał on nieco serwatkę, był przyjemny w smaku i uderzał do głowy jak dobre wino. Kirgizi latem mieszkali w jurtach, to jest w dużych okrągłych namiotach, budowanych ze szkieletów drewnianych pokrytych skórą baraniami. Jurty u góry zakończone były kopulastą, na podobieństwo cerkwi prawosławnych. U samej góry pokrycia znajdował się otwór służący za ujście dla dymu, wewnątrz bowiem jurty, na samym jej środku, zazwyczaj paliło się ognisko.

Jurty ustawiane były w stepie, a zarieszkawali je pasterze dozorujący stad owiec. We wsi Kirgizi oficjalnie zwani Kazachami mieli chaty wewnątrz których tylko około jednego metra kwadratowego podkosi było na poziomie drzwi. Cała reszta wnętrza podniesiona była o dwa stopnie i zaopatrzona w podłogę z cegieł. Pod całą tą podłogą przebiegały kanały przechodzące od pieca do komina ogrzewając ją intensywnie. W celu uzyskania dobrego ciągu w piecach, tak zawilej konstrukcji, zazwyczaj kominy wypuszczano co najmniej dwa metry ponad dachy chat.

Naturalnie natychmiast po wejściu do mieszkania Kirgiza należało zdjąć obuwie, pozostawiając je przy drzwiach w niskiej części podłogi.

Murowana podłoga pokryta była wełnianymi matami i poduszkami służącymi mieszkańcom do siedzenia. W kącie zwykle stał składany z dwóch identycznych połówek okrągły stół na nogach wysokości zaledwie około 30 centymetrów. Kirgiz

nosili przez cały rok duże, skórzane, futrzane czapy, które przykrywały im nie tylko głowy, lecz również uszy i karki.

Mężczyźni nosili brody, przy czym elegancja polegała na wyskubywaniu włosów z brody. Im szpicbrodka była dłuższa i rzadsza tym lepiej. Do ciekawych obyczajów tych ludzi należało tolerowanie zarostu u kobiet wyłącznie na głowie. We wszystkich innych miejscach zarost był starannie wygality. Natomiast mężczyźni przy siusianiu klękali na obydwie kolana. Zwyczaj ten przypuszczalnie powstał stąd, że na bezdrzewnym i równinnym stepie jedynym sposobem częściowego ukrycia się było ukłęknięcie w wysokiej trawie stepu.

Wszyscy Kirgizi niezależnie od płci nosili przy sobie nieduże buteleczki z wodą, religijny bowiem rytuał kazał każdorazowo po wypróżnieniu obmywać dolne partie ciała, co czyniono było raczej symbolicznie, buteleczka bowiem wody wystarczała na długi okres czasu.

Przysmakiem Kirgizów był tak zwany kędziuch, to jest 20 cm szerokości ciężki i twardy ogon barani.

Jeśli jednak chodzi o zaskakujące zwyczaje, to celowali w nich Koreańcy, którzy na przykład hodowali i tuczili psy, po to by je później zabić, ugotować i zjeść jako przysmak.

Poczęstowany kiedyś zostałem przez Koreańczyka sałatką w occie. W słoju oprócz liści sałaty i małych cebulek znajdowała się zakiszona zielona żabka, podobno dla dodania pikantnego smaku sałatce.

Mieszkańcy innych narodowości nie odróżniali się zwyczajami i obyczajami od mieszkańców Europy, chyba tylko tym, że nie znali chleba, jadal bowiem wyłącznie pszenne bułki, pulchne i białe, zrobione z 70 % mąki, to znaczy z takiej mąki która po przejściu przez jedwabne sita pozostawiała aż 30 % otrębów.

Spowodowane to było kaprysmi pogody. Lniej więcej raz na osiem lat nie spodziewanie nastawał mokry rok powodując wielokrotne zwiększenie plonów, w wyniku czego każda kołchozowa rodzina otrzymywała za swą pracę tyle pszenicy, że w celu jej zrzęzynowania, należało opróżnić jedną izbę chaty i zasypać ją pszenicą aż do wysokości sufitu. Wyjazd do miasta praktycznie był niemożliwy, a wszyscy sąsiedzi, a także wszyscy mieszkańcy okolicznych kołchozów otrzymywali podobne, niesamowicie duże ilości pszenicy, więc stwarzała się sytuacja dużej podaży, przy minimalnym popycie i przez to cena i wartość pszenicy obniżały się gwałtownie. Ludność karmiła pszenicą świnie i kury, a sama odżywiała się białutkimi bułkami i szeregiem innych produktów zwierzęcych występujących w obfitości.

W pożywieniu jednak brakło tak zasadniczych produktów jak kartofli, owoców, cukru i drożdży.

Ze względu na konieczność nawożenia gleby pod kartofle /nawóz służył na opał/ oraz na pracochłonne okopywanie a następnie wykopki, z braku wystarczającej ilości sił roboczych, kartofle sadzono w bardzo ograniczonej ilości.

Jakiegokolwiek drzewa owocowe wymarzyby w srogim klimacie północnego Kazachstanu, a że z dystrybucją nie było najlepiej, co jest zupełnie naturalne przy tak wielkich odległościach kołchozów od miast i od kolei, więc brakło wszystkich tych produktów spożywczych, których hodowli nie prowadzono na miejscu. Tak samo kiepsko przedstawiała się sprawa zaopatrzenia w szklane czy fajansowe naczynia.

Herbatę na przykład z reguły pilo się z puszek po konserwach. Za duże blaszane pudełko po landrynach otrzymaliśmy pięć kilogramów masła. Z nabyciem odzieży również były poważne trudności, toteż powymienialiśmy część swoich używanych już ubrań na pszenicę, otrzymując bez trudu dwa centnary pszenicy za jeden garnitur męski. Za kobiece łaszki również można było otrzymać duże ilości produktów spożywczych. Natomiast za oryginalny wełniany perski dywan ofiarowano nam pięć jajek.

Do charakterystycznych ciekawostek należał handel zamienny, gotówką bowiem, z dala od źródeł dostaw jakichkolwiek dóbr materialnych, była raczej nieużyteczna.

Wszyscy miejscowi, przez cały rok, niezależnie od jego pory, chodzili w butach filcowych świetnie chroniących nogi od mrozu. Buty takie zwane walonkami posiadały wysokie filcowe holewy, nie były jednak niczym podbite, tak że stapało się bezpośrednio filcowym spodem po śniegu.

Ci, ~~którzy~~ których nie stać było na podobne ciepłe obuwie, obwiązywali nogi grubą warstwą zużytych worków, po czym wychodzili na dwór i polewali nogi wodą, która prawie natychmiast zamarzała. Lód i worki tworzyły warstwę izolacyjną chroniącą nogi od zmarznięcia.

Latem nosiło się koreańskie kierpce z surowej skóry ściąganej rzemieńcem, bądź obuwie wykonane z części zużytej opony samochodowej służącej za podeszwę i zarzętej z przodu w ten sposób, by osłaniała palce u nóg, a następnie umocowanej w tym położeniu przy pomocy drutu.

Kołchoźnicy ubierali się w spodnie i marynarki uszyte z grubego i ostrego wełnianego samodziału. Zakupione od polskich przesiedleńców ubrania miały charakter odzieży odświętnej, wyjściowej.

Ilość zabranych ze sobą rzeczy umożliwiła dalej naszej rodzinie utrzymanie się przy życiu, z wymiany jej na materiały, produkty i usługi niezbędne do egzystencji, w ciągu co najmniej całego roku.

Należało jednak szybko przystąpić do pracy, w celu trwałego zapewnienia sobie zarobków. Wobec tego natychmiast po zakwaterowaniu się zgłosiliśmy się w trójkę, to znaczy ja, moja żona i mój brat, do roboty w kołchozie.

Początkowo przewodniczący kołchozu usposobiony był do nas wręcz wrogo. Zatrudnił więc nas "polskich panów" przy oczyszczaniu obory kołchozowej z nawozu krowiego. Z obory na wiosnę zdjęte było pokrycie dachu, wskutek czego do wnętrza dostała się duża ilość śniegu, który roztopił się i zmieszał z nawozem tworząc rzadką papkę. Obora mieściła około dwustu pięćdziesięciu krów i wołów, było więc sporo ciężkiej i brudnej roboty. Należało na bosaka z zakasanyimi nogawkami spodni brodzić po rzadkiej i śmierdzącej mazi ładując ją widkami, bądź szufkami na fury, którymi była wywożona z obory.

Naturalnie do tej pracy przystąpiliśmy dopiero po ociepleniu. Opisywana robota trwała około tygodnia, po którym przystąpiliśmy do innych zajęć w charakterze robotników rolnych.

Po pewnym czasie, gdy buhaj pobódkł jednego z pastuchów, łamiąc mu parę żeber, dostąpiłem zaszczytu wyznaczenia mnie na stanowisko pastucha.

Stada pilnowało łącznie trzech pastuchów, z których główny jeździł konno, a dwaj jego pomocnicy chodzili pieszo. Stado na noc wyganiało się na odległość kilku kilometrów od obory na dziewiczy step, gdzie pasło się aż do rana. Jednym z pieszych pomocników głównego pastucha byłem właśnie ja.

Była to bardzo intratna praca, bo oprócz bydła kołchozowego paśliśmy również i mniejsze nieco stadko bydła stanowiącego własność kołchozników, za co każdy pastuch otrzymywał po pół litra mleka na dobę za każdą krowę. W sumie przypadało na mnie w udziale około piętnastu litrów mleka dziennie.

Obowiązki jednak pastucha, tak dużego stada nie były łatwe. Trzeba było pilnować, by żadna sztuka nie oddaliła się od stada, które rozproszone było na sporym obszarze stepu. Kalatał się człowiek w ciągu nocy pokrzykując na bydło i wymachując batem.

Nie chciało mi się jednak ganiać za bydłem, tak jak to robili młodzi chłopcy. Mniej więc biegałem nadrabiając to głośniejszym pokrzykiwaniem i strzelaniem z bata. Nie spodobało się to buhajowi. Zauważyłem z niepokojem, że buhaj stale trzyma się brzegu stada od tej strony, z której ja się znajduję. Następnego

już dnia zauważyłem, że buhaj spogląda na mnie przekrwionymi oczami, kopiąc przy tym ziemię przednią nogą i pochylając rogaty swój łeb.

Na wszelki wypadek uzbroiłem się w lekki toporek, który zatknąłem sobie za wysoką holerę obuwia. W końcu zdenerwowało mnie zachowanie się zwierzęcia, więc poprosiłem głównego pastucha, by popędził w moim kierunku buhaja, którego wówczas poczęstuję kilku mocnymi uderzeniami bata.

Gdy pastuch wykonał moją prośbę, byk pobiegł w moim kierunku, lecz zamiast mnie minąć pochylił łeb i poszarżował prosto na mnie. Zamachnąłem się batem, lecz już nie zdążyłem go uderzyć, bowiem rozwścieczone bydlę przebiło mi rękaw płaszcz swym rogiem pociągając mnie za sobą. Przebiegłem parę kroków, aż czepiony róg biegnącego buhaja, po czym rękaw puścił a ja straciłem równowagę i upadłem na ziemię. Buhaj natychmiast zawrócił i znów mnie zaatakował nisko pochyloną głową. Leżałem na wznak, więc szybko podkurczyłem nogi pod siebie, a następnie próbowałem, kopaniem nogami po groźnym łbie byka, odpędzić go od siebie.

Na nic to się jednak nie zdało. Róg zaczepił za spodnie i rozdarł je na tyłku na długości około pół metra, ciała jednak nie zadrasnął. Buhaj przykląkł na przednie kolana i zaczął mnie gniesć łbem. Widząc, że to już nie przelewki zdecydowanym ruchem wyciągnąłem zza holerki siekierkę i uderzyłem nią z całych sił między rogi.

Wszystko to dokonało się w bardzo krótkim czasie kilku sekund. Czas był jednak wystarczający na pomyślenie, że za rozcięcie głowy byka siekierką grozi mi odpowiedzialność i że wobec tego należy bić obuchem. Miałem zamiar tak długo powtarzać uderzenia, aż obronię się od napastnika. Po pierwszym więc uderzeniu szybko zamachnąłem się powtórnie, drugi jednak raz już nie musiałem uderzać. Buhaj po otrzymaniu ciosu obuszkiem między rogi, czy też między ślepią, zaryczał ochrypłym głosem, potrząsnął łbem i szybko się cofnął.

Incydent był zlikwidowany a moje żebra uratowane. Najbardziej jednak dokuczali mi komary, które prze rozdarte spodnie dobrały mi się do ciała i to w miejscu nienawykłym do wystawiania na pokusę komarom. W ten więc haniebny sposób po tygodniu skończyła się moja rola pastucha.

Uważałem, że żadna praca nie hańbi, zwłaszcza zaś w tak wyjątkowych okolicznościach życiowych powinienem chwycić się każdej możliwości zarobku, ponieważ bowiem zapas ubrań i bielizny bardzo szybko topniał, co groziło głodem.

Co prawda pracowaliśmy w kołchozie, nie znaleźliśmy jednak wysokości zarobków, które były obliczane i wypłacane dopiero w końcu roku kalendarzowego. Wobec tego imaliśmy się najrozmaitszych dorywczych zajęć.

Wozilem wraz z bratem kołchoźnikom mąkę do młyna. Taką pracę polegała na załadunku na wóz drabiniasty około tony pszenicy, w osiemdziesięciu kilogramowych workach, wyładunku jej w młynie i przeniesieniu na wagę, wyczekaniu swojej kolejki i zasypaniu pszenicy do przemiału. Następnie należało podstawić worki pod otwór, z którego sypała się mąka i ubijać ją w workach specjalnym tłuczkiem, żeby się jej więcej zmieściło, następnie przenieść worki na wagę, a z wagi na wóz. Należało też podobną procedurę wykonać z otrębami.

Po rozładunku wozu i zanieśieniu worków do komórki kołchoźnika praca była skończona. Zajęcie to było wyczerpujące, zarówno ze względu na dużą ilość manipulacji ciężkimi workami pszenicy, czy mąki, jak też i na to, że trwała przeciętnie około pełnej doby, bez możliwości zmużenia oka.

W nagrodę za taką pracę otrzymywaliśmy od trzydziestu do pięćdziesięciu kilogramów pszennej mąki najwyższej jakości.

Trudniłem się również zarzynaniem świń stanowiących prywatną własność poszczególnych kołchoźników. Praca polegała na zabiciu świni, a następnie na ostrożnym zdjęciu z niej skóry, którą właściciel zobowiązany był za wynagrodzeniem przekazać do punktu skupu. Trudność polegała na takim oddzieleniu przy pomocy ostrego noża skóry od zrosniętej z nią słoniny, by jaknajmniej słoniny pozostało na skórze, a jednocześnie, by skóra nie została przecięta nożem.

Takie zdjęcie jednej skóry zabierało około sześciu godzin pracy. Po ściągnięciu skóry należało usunąć wnętrzności, a tuszę porąbać na części. Za taką pracę otrzymywałem kilka kilogramów mięsa i słoniny.

Raz poleciono mi zarznąć kołchozową krowę. Poprosiłem, by mi pozwolono z wnętrzności krowy zabrać coś w rodzaju żołądka, czyli tak zwany kędziuch - jest to wór, w którym krowa gromadzi zjedzoną paszę, po to by później zwracać do pyłka i stopniowo przesuwać ją dalej i dopiero kierować, już do właściwego żołądka w celu strawienia.

Przy sposobności, wyciąłem duży, kilkukilogramowy kawałek mięsa i wepchałem go do wnętrza odłożonego "żołądka" pełnego przeżutej trawy, sprawiającej wrażenie krowiego łajna.

"Żołądek" ten wzięłem w celu sporządzenia z niego "flaków po warszawsku". Była to pierwsza kradzież w moim życiu, pierwsza, lecz nie ostatnia. Po chwili zobaczyłem, że zarżnięta krowa ma ślicznie wyglądające, obrosnięte łojem nerki. Skusiłem się i wepchałem jedną nerkę do wnętrza "żołądka". Magazynier dobrze się rozzejrzał, czy czasem gdzieś nie odłożyłem nerki, po czym wobec nieznamienia jej, ani wśród mięsa, ani też wśród skóry, kiszek i innych odpadów,

głośno wyraził swoje zdziwienie, jakże ta krowa mogła żyć tylko z jedną nerką. Ja z obojętną miną zarzuciłem wyproszony "flak" na ramię i odniosłem go do siebie razem z jego cenną zawartością.

Gdy weterynarz przybył do kołchozu w celu wykastrowania młodych byczków, natychmiast zgłosiłem się do pomocy. Łapałem i przewracałem cielaki, a wycięte gruczoły gromadziłem w kubły.

Uzbierałem pełne wiadro, które następnie przyniosłem do domu, gdzie żona sporządziła nam z tego smaczne danie według koreańskiego przepisu.

Mój brat przywiózł ze sobą pieprz, bobkowy liść, majeranek i podobne przyprawy, które wykorzystywał do robienia wędlin z wieprzowiny, za co otrzymywał część tych wyrobów.

Po krótkim czasie wynajęliśmy nieduży pusty jednoizbowy, przeznaczony na szopę budynek, do którego sprowadziliśmy się znów całą rodziną w komplecie /naturalnie bez ojca, który został uprzednio aresztowany/. Wkrótce zbrakło nam cukru i zapalek. Co dzień żona udawała się do sąsiadów, skąd przynosiła na blaszanej tacy kawałek rozżarzonego kiziatka, który wkładało się do pieca lub pod płytę, przykrywało skórą, po czym dmuchało się nań tak długo, aż skóra buchnęła ogniem. Umówiliśmy się, że wobec trudnej sytuacji życiowej zakładamy wspólnotę rodzinną. Wszystkie zapracowane pieniądze, czy też produkty przekazywane były do wspólnego użytku wszystkich domowników. Wszelkie jednak przedmioty posiadające jakąkolwiek wartość wymienną przeznaczone były do zamiany na produkty żywnościowe, przeze mnie lub mego brata - bez konieczności uzyskania na to zgody ich właściciela, czy właścicielki. Wszystkie przedmioty, a przede wszystkim ubranie, traktowane przez nas były jako wspólna własność.

Toteż zdziwiłem się którejs nocy, gdy po przypadkowym obudzeniu się, ze strony gdzie spała druga żona mego ojca, pani Żenia - usłyszałem wyraźne odgłosy pożywiania się. Rano sprawdziłem berłóg zajmowany przez tą panią i wykryłem, że pod poduszką leży cały zapas wiktualów, takich na jakie nie pozwalaliśmy sobie, a więc: maselko, serek i t.p.

Wobec tego dokonaliśmy z bratem rewizji bagażu tej pani i wykryliśmy w nim poważne zapasy zapalek, cukru i innych rzeczy, których dokuczliwy brak odczuwaliśmy już od dłuższego czasu. Zarekwirowaliśmy wszystko na rzecz wspólnoty rodzinnej. Wówczas pani Żenia zaprotestowała twierdząc, że są to jej prywatne rzeczy, do których reszta współlokatorów nie ma żadnego prawa. Zaproponowaliśmy tej pani zabranie wszystkich swoich rzeczy i wyniesienia się od nas na własne gospodarstwo, na co ona z kolei nie wyraziła zgody.

Wobec braku jakichkolwiek mebli dla każdego lokatora szopy zbudowaliśmy uprzednio prowizoryczne łóżka, w tym celu wbiliśmy w glinianą podłogę po cztery kołki drewniane, na które poukładaliśmy i przybiliśmy z trudem zdobyte stare drzwi lub inne bezużyteczne już drewniane płaskie przedmioty, które następnie pokryte zostały warstwą słomy i pościelą.

Pani Żenia leżała na swym "łóżku". Chcąc zmusić ją do wyprowadzenia się od nas wziąłem do ręki ręcznik, podszedłem do niej i zacząłem ją okładać razem z ręcznikiem. W obronie własnej krzycząc pani ta skurczyła się unosząc nogi w górę. Wówczas ściągnąłem z jednej ze stóp bambosze i odrzuciłem go w drugi koniec pokoju. Pani zerwała się i pobiegła po swój bambosze, a ja skorzystałem z okazji i jednym ruchem zrzuciłem całą pościel na podłogę, po czym zniszczyłem łóżko rąbiąc je siekierą. Następnie spakowaliśmy z bratem wszystkie rzeczy tej pani i wynieśliśmy je za próg domu.

W ten sposób zmusiliśmy tę kobietę do całkowitego oddzielenia się od nas i dalszego życia wyłącznie w oparciu o własne siły i duży zapas cennych rzeczy.

Byliśmy wszyscy do głębi oburzeni egoizmem tej pani i brakiem solidarności z resztą towarzyszy niedoli. Jednak oddanie wszystkich rzeczy, stanowiących jej własność, poważnie osłabiło nasze możliwości łatwego przetrwania początkowego, ciężkiego okresu dostosowywania się do odmiennych i nieznanym warunków życia w obcym nam środowisku.

Zaniepokojenie nasze dalszym losem jeszcze bardziej wzrosło, gdy w końcu roku rozliczono się z nami za pracę w kołchozie. Od połowy kwietnia do końca sezonu prac polowych wyrobiliśmy łącznie w akordzie ponad trzysta sześćdziesiąt dniówek obliczeniowych, za które kołchoźnicy otrzymywali po dwa kilogramy pszenicy.

Nam jednak wypłacono równowartość w gotówce według cen skupu, nie byliśmy bowiem członkami kołchozu. Odliczono przy tym z należności koszty wyżywienia nas w czasie prac polowych z dala od mieszkań.

Ze uzyskane więc pieniądze zakupiliśmy dwa pudry, to jest trzydzieści dwa kilo mąki pszennej, płacąc za nią po cenie rynkowej. Ciężki więc trud trzech osób wynagrodzony został w sposób symboliczny.

Mapisaliśmy odwołanie do towarzysza Kalinina do Moskwy, pozostało ono jednak bez odpowiedzi. Zrozumieliśmy, że na pracę w kołchozie nie możemy liczyć, jako na źródło utrzymania.

W związku z tym, z daleko większą energią niż dotąd, staraliśmy się o zarobek uzyskiwany za usługi czynione kołchoźnikom, unikając jednocześnie pracy w kołchozie, która absorbując nasz czas uniemożliwiała wykonywanie pracy zarobkowej.

A więc od wiosny następnego roku zorganizowaliśmy z innymi przesiedlonymi - ośmiuosobową brygadę pracy, która za wynagrodzeniem i za obfity poczęstunek, produkowała kiziatki. Jeszcze w czasie zimy zabrałem się do wyrobu tak zwanych "kopciadek", to jest małych lampek naftowych zastępujących świece.

Oświetlenie chat było naftowe. Jednak z powodu częstego tłuczenia się szklanych kloszy, cylindrów i zbiorników, przy równoczesnych brakach w dystrybucji większość chat oświetlana była przy pomocy prymitywnych urządzeń na ropę naftową. Najczęściej rolę lampy spełniała np. łuska z pocisku przeciwlotniczego napełniona ropą, w której zanurzony był knot skręcony z bawełnianych nitki i utrzymywany w pożądanym zanurzeniu, przez zgniecenie łuski u góry. Taka "lampa", bez cylindra i możliwości regulowania wielkości płomienia, kopciła niemilosierdzie.

Ja począłem wyrabiać małe lampki z regulacją płomienia. W tym celu z blachy wziętej z pustej puszki po paście do obuwia, na dużym gwoździu, wykonywałem dwie cylindryczne rurki o takich średnicach, by jedna mieściła się w drugiej. Następnie od szpulki po niciach odcinałem jeden rozszerzający się jej koniec, a wąską część tak strugałem, by nią zatkać, jak korkiem niewielką buteleczkę, na przykład po atramencie. Do dziurki od szpulki wsadzałem blaszaną rurkę o mniejszej średnicy, tak by sporo wystawała nad szpulka. Przez szpulkę i rurkę przebiegał knot jednym końcem zanurzony w buteleczce, a drugim wystający nieco z rurki, na którą nakładałem drugą rurkę blaszaną o większej średnicy oprawioną w drewniany kołnierzyk uzyskany z odciętej części szpulki. Po zapaleniu lampki należało ruchem grubym skracać lub wydłużać blaszaną rurkę, trzymając ją za drewniany kołnierzyk, co powodowało malenie, względnie zwiększenie się wielkości płomienia do pożądanego rozmiaru dostatecznie dużego płomienia dla oświetlenia izby, lecz jeszcze nie powodującego filowanie i kopcenie.

Ze wykonanie opisanej lampki z dostarczonego mi materiału brałem jedno jajko kurze. Moja matka chodziła od chaty do chaty wróżąc z kart za poczęstunek.

Władze kołchozowe wywierały na nas nacisk, nakłaniając do pracy w kołchozie. Praca ta jednak opłacała się tylko pod warunkiem możliwości skra-

dzenia czegoś przy sposobności. Ja więc i mój brat zgłosiliśmy się do wiania pszenicy na ręcznej wialni. Naszym obowiązkiem było kręcenie korb napędowych mechanizmu wialni. W częstych przerwach na palenie siadaliśmy na kupkach ziarna pszenicy, którą niepostrzeżenie sypaliśmy sobie garściami do rozporków w spodniach. W ten sposób do domu wracaliśmy z butami i spodniami załadowanymi ziarnem, które po rozebraniu się wytrząsaliśmy do worka.

Po tygodniu pracy przy wialni mieliśmy uzbierane pół worka pszenicy. Postępowaliśmy w ten sposób nie tylko my, lecz również i inni. Wkrótce przyłapano jedną z polskich kobiet na tej kradzieży i skierowano sprawę do sądu, który skazał ją na dziesięć lat obozu pracy. Odstraszyło to nas od drobnych kradzieży. Jeśli mieliśmy ryzykować dostaniem się do obozu pracy, to należało wiedzieć za co się narażamy i zorganizować coś poważniejszego, względnie wstrzymać się całkowicie od kradzieży.

Na nasze szczęście, właśnie w tym czasie, zwrócił się do mnie pewien kołchoźnik, prosząc bym się podjął przeniesienia jego glinianych zabudowań na inne miejsce we wsi. Nauczył mnie jak to się robi. Należało przy pomocy zużytego noża od kosiarki pokroić gliniane ściany budynków na ezereg części, tworzących kolumny równej szerokości, a następnie połupać ostrym szpadlem te kolumny na duże bloki, z których po przewieszeniu ich na oznaczone nowe miejsce, należało postawić ściany nowego budynku.

Zgodziłem się na propozycję zastrzegając, że brat będzie mi pomagał, żona będzie nosić wodę i przygotowywać zaprawę z rzadkiej gliny, a matka będzie nam gotować, cała zaś brygada pozostanie, przez czas budowy, na pełnym utrzymaniu zamawiającego. Jako wynagrodzenie, za rozebranie trzech budynków, przewieszenie i postawienie z tego jednego dużego nowego budynku, uzyskaliśmy pozwolenie zamieszkania w nim w ciągu całego roku. Kołchoźnik interesował się jak długo potrwa robota, na co ja mu wyjaśniłem, że ważne jest, jak długo będzie stać nowowytbudowany domek, a nie jak długo będzie stawiary.

Po miesiącu pracy przenieśliśmy się na rok do nowego budynku, tym razem już nie szopy, lecz mieszkalnego, składającego się z trzech izb.

Zaproponowaliśmy zamieszkanie w nim znajomej, przystojnej, trzydziestoletniej panience, wraz z jej starą matką, która dotąd mieszkała kątem u kołchoźnika. Zimą w czasie tęgich mrozów kołchoźnik zabierał do chaty gęsi, cielaka i kilka jagniąt, które paskudziły na podłogę, wraz z raczkującymi dziećmi gospodarza.

Stąd już od dłuższego czasu trwał w nieco może zbyt zażyłych stosunkach z tą panienką, wobec czego po sprowadzeniu się do wspólnego mieszkania, już bez

skrępowania współżył z nią, jak z żoną. W ten sposób znów nasza wspólnota rodzinna powiększyła się o dwie osoby, przy czym do pracy było już nas dwóch i dwie młode i silne kobiety.

AKLIMATYZACJA

Gdy przenosiłem na nowe miejsce budynki, nie zależało mi, broń Boże, na pośpiechu. Przecież, przez okres zatrudnienia cała prawie rodzina miała zapewnione utrzymanie.

Studia na politechnice wymagały dokładnej pracy i wyrobiły we mnie trochę pedanterii. Poza tym, jak się o tym przekonałem, ja zwykle nie doceniałem własnych możliwości i z tego względu starałem się wykonać powierzoną mi pracę jak najstarszej.

Najpierw więc, z możliwie dużą precyzją, wytyczyłem kontury przyszłego budynku, sprawdzając, przy pomocy przekątnych, zachowanie wzajemnej prostokątności przyszłych ścian. Następnie wykopałem rowek i rozpocząłem układanie ścian z dużych glinianych sześciątów, które uprzednio uzyskałem z pocięcia ścian rozbieranych budynków. Cegła taka ważyła około 30 kilogramów.

Po ułożeniu jednej warstwy zbliżonej wysokości "cegieł", podnosiłem je i każdą tak wyrównywałem od spodu, przy pomocy ostrego szpadla, by leżała bez luzów, całą swą podstawą przylegając do ziemi. Następnie ułożyłem je z powrotem i zrównywałem tak, by górna powierzchnia całej warstwy tworzyła jedną płaszczyznę.

Z kolei układałem następną warstwę potężnych cegieł, naturalnie w taki sposób, by pionowe płaszczyzny styków mijały się w poszczególnych warstwach i znów powtarzałem manipulację ściśle dopasowywania i wyrównania powierzchni. Za zaprawę murarską służyła mi rzadka glina. Wobec dobrego przylegania, warstwy zaprawy były bardzo równe i cienkie, co w rezultacie powodowało równomierne osiadanie przy wysychaniu i pozwalało na uniknięcie wypaczeń poszczególnych ścian, w odróżnieniu od stawianych dotąd budynków z gliny. Po miesiącu gdy ściany budynku były gotowe, wyglądały bardzo efektownie, równiutkie jak pudełko od zapalek.

Dach zbudowałem w sposób bardzo prymitywny, na wzór innych w tej okolicy. Pomiędzy szczytowymi ścianami przebiegała wzdłuż budynku gruba belka z okorowanego okrągłaka brzoźowego, podparta w środku swej długości słupkiem drewnianym. O belkę opierały się krokwie w postaci cienkich żerdzi ułożonych w odstępach około 30 cm od siebie. Pochylenie dachu było nieznaczne, deszcze bowiem w ciągu lata padały bardzo rzadko.

Krokwie pokryłem warstwą łyży, układanej w poprzek, a następnie, poczynając od najniższej położonej części dachu, układałem darninę, trawę do spodu, również warstwami poziomymi, dbając o dobre wiązanie, to znaczy o to, by styki poszczególnych kawałków nie leżały jedno nad drugim lecz by się mijały.

Taka warstwa darni miała przeszło 30 cm grubości. Zarówno ściany, wewnątrz i zewnątrz, jak też i dach pokryłem cienką warstwą gliny mieszanej pół na pół z wozem konskim, znów zgodnie z powszechnie stosowanym sposobem tynkowania, a następnie pobielilem rzadkim roztworem białej glinki.

Końchoźnicy z całej wsi przychodzili podziwiać efekt mej pracy i jednogłośnie orzekli, że jestem wybitnym fachowcem w tej dziedzinie.

Rzeczywiście budynek mojej roboty wyróżniał się spośród innych równością powierzchni ścian i starannym wykończeniem całości. Gospodarz postawił nam wódek i był zadowolony z mego dzieła.

Wkrótce posypały się jak z rękawa dalsze zamówienia na stawianie nowych budynków. Różnica w pracy polegała na tym, że uprzednio należało wykonać "saman" to znaczy wykopać okrągły dół średnicy trzech - czterech metrów i głębokości około pół metra, napełnić go gliną, dosypać sporo plew i dolać kilka beczek wody, po przepędzać po nim woła lub krowę tak długo, aż zrobi się z tego plastyczny materiał do wyrobu surowych cegieł. Cegła tak zwana "samanem" w kształcie prostokąta ścianu o podstawie kwadratowej i wymiarach $20 \times 20 \times 50$ cm³ - wykonywana była przy pomocy drewnianej formy, a następnie suszona na słońcu.

Piece stawiało się z cegieł normalnych rozmiarów wykonanych z surowej gliny. Stolarkę dostarczał przysły właściciel budynku.

Dopiero budowanie glinianych chat, które wkrótce opanowałem całkowicie, przynosiło mi dochód pozwalający utrzymać się wraz z liczną rodziną. Trudność jednak polegała na tym, że sezon budowlany trwał tylko cztery miesiące w ciągu roku, a jeść i pić trzeba było przez okrągły rok. Należało pomyśleć o nadrobieniu braków.

Zgłosiłem się więc do kołchozu ofiarowując swoje usługi przy transporcie dostaw pszenicy do punktu skupu. Pszenicę woziło się wozami zaprzęgniętymi w parę wołów, nie w workach, lecz zasypaną luzem. Siedemdziesięciokilometrową odległość woły pokonywały w ciągu dwóch dni. Droga powrotna zajmowała następne dwa dni.

Wóz przed jego załadowaniem ważono, a następnie ważono go powtórnie, już po załadowaniu pszenicy. Dyszel umocowany był na metalowej osi pozwalającej mi na ruch w kierunku pionowym, natomiast poziome pokręcenie dyszla pociągało za sobą przednie koła i powodowało skręcanie wozu.

Zaopatrzyłem się w małą siekierkę i spory klin drewniany, który bezpośrednio przed wjazdem na wagę z załadowanym wozem wbijałem siekierkę w obudowę dyszla; na jego osi, przycinając go tym do dołu, co poprzez jarzmo przenosiło część ciężaru wozu na karki wołów. Gdy wóz wjeżdżał na wagę, woły stały poza nią i część ciężaru wozu ciskała nie wagę, lecz ziemię, poprzez przednie nogi wołów.

Teraz należało zgadnąć ile należy odsypać z wozu pszenicy, by przy odbiorze waga zgodziła się z zamotowaną po załadowaniu.

Miałem przy sobie worek, do którego po wyjeździe ze wsi, nasypałem około sześćdziesięciu kilogramów pszenicy. Worek odniosłem kilkanaście kroków od drogi i ukryłem w gęstej trawie, znacząc to miejsce czerwoną wstążeczką zawiązaną na suchym badylu piołunu. Wyglądało to z drogi, jak gdyby rósł tam czerwony kwiatek.

Po przyjeździe do punktu skupu wjechałem wozem na wagę. W czasie ważenia magazynier spojrzał na mnie podejrzliwie po czym oddalił się. Przeżyłem dużo strachu, obawiałem się bowiem, że magazynier poszedł po milicjanta, bo zauważył niedobór pszenicy. Po chwili jednak magazynier wrócił i odsypał około dwudziestu kilogramów pszenicy do przyniesionego przez siebie woreczka. Zorientowałem się, że ja zbyt mało odsypałem.

Przy następnym kursie odsypałem około osiemdziesięciu kilogramów i wówczas waga przy odbiorze zgodziła się. Każdorazowo, po powrocie do domu udawałem się w nocy, z wypożyczonym dwukołowym wózkiem w step i przywoziłem do domu worek pszenicy, którą wyppychałem do ruskiego pieca w mieszkaniu.

Taki piec to cały gmach, przy czym właściwe palenisko i miejsce na pieczenie chleba zajmuje stosunkowo mało miejsca, a całość zapełnia prawie pół izby kuchennej. Na takim piecu śmiało może spać liczna rodzina.

Budowałem go sam z tą myślą, by mógł mi służyć za śpichlerz. W związku z tym u góry pozostawiłem kilka otworów wietrzniowych, zaopatrzonych w kraty druciane, a u spodu jedną cegłę bez zaprawy, by można ją było łatwo wyjąć. Do wnętrza pieca znalazło się około dziesięciu centnarów "zdobytej" pszenicy. Po usunięciu cegły u spodu wysypywało się parę garści ziarna, a gdy się je zebrało wówczas na to miejsce wysypywała się następna niewielka porcja. Zatkanie dziury cegłą sprawiło pewną trudność, lecz dawało się wykonać. Naturalnie tę część pieca natychmiast bieliliem gliną, po wyschnięciu której trudno było zauważyć, że cegła może być usuwana.

Dla odwrócenia uwagi i odsunięcia jakichkolwiek podejrzeń zwróciłem się do przewodniczącego kołchozu z gorącą prośbą o zapomogę w postaci kilkudziesięciu kilogramów maki lub pszenicy.

Po kilku dniach natręczywych próśb otrzymałem na odczepnego dwa pudry, to jest trzydzieści dwa kilogramy pszenicy, za co zobowiązałem się do pracy w kołchozie. Przeszedłem przez całą wieś z uradowaną miną chwając się, że udało mi się wyprosić pomoc. Każdy więc wiedział, że u mnie z jedzeniem jest kručzo i nikomu nie przyszła do głowy możliwość posiadania przez mnie jakichś zapasów żywności.

Teraz miałem następny problem do rozwiązania. Zadałem sobie pytanie w jaki sposób pszenicę zamienić na mąkę, bez zwrócenia czyjejkolwiek uwagi?

O wiewieniu do młyna nie było mowy. Okazało się jednak, że to nie jest żaden problem. W ciągu bowiem zimy w nocy wychodziliśmy na podwórze z kocem, na który z wysokości około dwóch metrów sypaliśmy garściami pszenicę. Silny wiatr spełniał rolę wiałni. Następnie tak oczyszczone ziarno męło się na zwykłej ręcznej maszynie do mielenia kawy, czy pieprzu.

Mieląc, każdą porcję przepuszczało się dwukrotnie przez maszynkę, uzyskując w ten sposób około ośmiu kilogramów gruboziarnistej "krupczatki" w ciągu dnia pracy. Poza tym zakupiłem w sklepiku całą skrzynkę "moskiewskiej" wódki, a po pół roku, gdy z bliżej nie wyjaśnionych przyczyn przez dłuższy czas nie dostarczano wódki - wówczas cały swój zapas powymieniałem kolejno na masło, jaja i inne produkty, przy czym stale odstępowałem "ostatnią butelkę".

Dawno już minęły te czasy, gdy odnoszono się wrogo do przesiedlonych i gdy na przykład przewodniczący kołchozu namawiał ustawionych w kolejce do sklepu, by nas z niej wyrzuciono. Wówczas uratowała nas tylko stanowcza postawa. Cparliśmy się bowiem z bratem o siebie plecami stając w pozycji bokserkiej i zawołaliśmy: "a no, niech ktoś spróbuje nas ruszyć!", no i nikt nas nie usunął z kolejki.

Obecnie żyliśmy w dobrej komitywie z mieszkańcami wsi, a nawet i z przewodniczącym kołchozu. Nigdy chyba nie zapomnę mojej z nim rozmowy, jeszcze na początku naszego pobytu w kołchozie.

Zwróciłem się wówczas z prośbą o zatrudnienie mnie w charakterze pracownika umysłowego, w zarządzie kołchozu, na co on przeegzaminował mnie z płodozmianną. Egzaminu jednak nie zdałem, mówiłem bowiem o kolejności hodowli różnych roślin, co okazało się zupełnie nierealne, w danych bowiem warunkach klimatycznych, nadmiaru ziemi i braku rąk roboczych, stosowano uprawę jarej pszenicy w ciągu trzech kolejnych lat, bez jakiegokolwiek nawożenia, po czym wyeksploatowany obszar ziemi pozostawiano na pięć do ośmiu lat odłogiem dla wypoczynku. Teren uprzednio uprawiany szybko zarastał trawą i był nadal eksploatowany jako pastwisko dla bydła.

Nie orientowałem się w tych zagadnieniach co skompromitowało mnie z krete-
sem w oczach przewodniczącego kołchozu, który zresztą po pewnym czasie zaczął się odnosić do mnie i w ogóle do wszystkich przesiedlonych w 1940 r. z szacunkiem i zrozumieniem naszej ciężkiej sytuacji, a nawet z pewną dozą sympatii.

W międzyczasie nastąpił napad hitlerowców na Związek Radziecki. W miarę cofania się czerwonej armii, kołchoźnicy wpadli w panikę. W rozmowach ze mną wyjaśniał, że obawiają się rozwiązania kołchozu, gospodarowanie bowiem indywidualne, na własne

ziemi, wymaga poważnego wysiłku zarówno fizycznego, jak też i myślowego, gdy życie w kółchozie jakoś tam płynie, na ogół beztrudnie i bez zbyteknych wysiłków, spogląda się tylko, czy dłużej jeszcze do zachodu słońca i do końca dnia roboczego. Do podobnych zwierzeń zazwyczaj dochodziło dopiero po wypiciu paru kieliszków "moskiewskiej" wódki.

W chwili wybuchu wojny wszystkich Niemców zamieszkujących Autonomiczną Niemiecką Republikę nad Wołgą, natychmiast przesiedlono do Azji. Część z nich trafiła i do naszego kółchozu. Automatycznie przesiedleńcy z 1940 roku stali się "swoi", a wrogami nie byli już "polscy panowie", lecz Niemcy. Zresztą kolejno wkrótce i na nich spoglądano łaskawym okiem, gdy nadszedł nowy transport przesiedleńców tej części ludności Kaukazu, która zdradziła swą sympatię do szybko zbliżających się Niemców.

Z nami natomiast, po układzie z rządem emigracyjnym Generała Władysława Sikorskiego, zaczęto się liczyć. W tym właśnie czasie organizowała się tak zwana "Armia Sikorskiego", do której został zmobilizowany mój brat Staś, był on bowiem plutonowym podchorążym, mnie natomiast z kategorią D "pospolite ruszenie bez broni" odprawiono do domu.

Nieco wcześniej zmobilizowano młodych i silnych ludzi obojga płci do "armii pracy", wywożąc dokądś na jakieś roboty. W związku z tym postaraliśmy się z żoną zabezpieczyć przed ewentualnym rozdzieleniem nas i przed dalszą tułaczką. Toteż wkrótce żona moja zaszła w ciążę, co chroniło ją przed przymusowymi robotami i wywozem. Mężczyźni natomiast otrzymali wezwanie do stawienia się w placówce wojskowej odległej od kółchozu około stu kilometrów, w celu zmobilizowania ich do tak zwanej "armii pracy", to jest prawdopodobnie czegoś w rodzaju obecnych młodzieżowych "hufców pracy". Wezwania otrzymało ogółem przesiedlonych z terenów Zachodniej Ukrainy.

Chcieliśmy się uchylić od mobilizacji, w związku z czym rozmyślnie nie stawiliśmy się do pracy w kółchozie przez parę dni z rzędu, po czym z buntowniczymi minami poszliśmy do przewodniczącego kółchozu żądać furmanki dla odwiezienia nas do placówki wojskowej.

Naturalnie przewodniczący nam odmówił, wobec czego nie stawiliśmy się na wezwanie. Po tygodniu przyjechał do kółchozu milicjant i przeprowadził dochodzenie w tej sprawie.

Winnym wszystkim okazał się przewodniczący kółchozu, my jednak powtórnie otrzymaliśmy wezwanie do stawienia się. Tym razem otrzymaliśmy brodek lokomoty i opiekuna, który dostarczył nas do budynku placówki wojskowej. Panował tam niesamo-

wity tłok. Korzystając z tego postaliśmy około dwóch godzin w kolejce tak jednak, by nie dojść do okienka, po czym wróciliśmy do oczekującego nas "opiekuna" zapewniając, że nas zarejestrowano i że możemy wracać.

W tydzień po powrocie znów zjawił się milicjant. Wyjaśniliśmy z głupawymi minami, że my o niczym nie wiemy, że owszem jeździliśmy do tej miejscowości, gdzie mieści się placówka rekrutująca, lecz nie jako wezwani, bo żadnych zawiadomień, czy też wezwań nie otrzymaliśmy, czego najlepszym dowodem jest brak pokwitowań ich doręczenia i odbioru. Milicjant zagroził nam srogą odpowiedzialnością, ale ostatecznie odjechał i nie stało nam się nic złego.

Dla mnie jest to oczywistym dowodem liczenia się z amestionowanymi przesiedleńcami w związku z działalnością Generała Sikorskiego.

Po dwóch tygodniach znów otrzymaliśmy wezwania, których nie chcieliśmy przyjąć. Wezwania więc roznosili po dwie osoby, pozostawiając je nam w mieszkaniach i spisując jednocześnie jednostronne oświadczenia o ich doręczeniu. Znów pojechaliśmy pod eskortą kółchoznika, który dopilnował naszego stawienia się przed oblicze zresztą nie władz wojskowych, lecz prosto osoby upoważnionej do kontraktowania chętnych i transportu ich do obozu pracy.

Zostaliśmy zapisani, ogoleni i wysłani do łaźni, po czym załadowano nas do wagonu pociągu towarowego, z którego przed jego odjazdem wszyscy zdokładaliśmy się chytkiem wymknąć.

Wróciliśmy pieszo do domów, zawiadamiając przewodniczącego kółchozu, że wyjazd został odłożony. Więcej już nas nie próbowano wywieźć na żadne przymusowe roboty.

Jak z tego widać obchodzono się z nami bardzo łagodnie, a my wyczuwając to rozbistwiliśmy się do ostatnich granic. Wyobrażam sobie, jak odmiennie podobna sytuacja wyglądałaby na terenach okupowanych przez Niemców.

Wyjeżdżając wraz z rodziną do Azji powodowałem się częściowo solidarnością z wywożonymi bliskimi mi ludźmi, częściowo zaś młodzieńczą chęcią przygód i poznanie świata, nigdy jednak nie przypuszczałem, że wyjazd ten ochroni całą moją rodzinę od okropności wojny i pozwoli spokojnie choć w nader prymitywnych warunkach - przetrwać do jej zakończenia, mnie zaś pozbawi wątpliwej przyjemności działania - przetrwać do jej zakończenia, mnie zaś pozbawi wątpliwej przyjemności działania losów Polaków pod okupacją niemiecką i ryzyka dostania się do obozu zagłady bądź innych poważnych represji. Ja bowiem natychmiast po przyjeździe do kółchozu zgłosiłem się do władz powiatowych zawiadamiając, że wraz z żoną przyjechalśmy tutaj ochotniczo. Po sprawdzeniu wezwano mnie i namalano do przyjęcia radzieckiego obywatelstwa, na co ja jednak nie wyraziłem zgody. Miałem wraz z żoną prawo swobodnego

poruszenia się po terenie całej Kazachskiej Republiki, ośmiokrotnie większej od Polski w jej przedwojennych granicach.

Inaczej przedstawiała się sprawa z pozostałymi przesiedleńcami, którzy nie mieli prawa bez zgody władz opuścić kołchozu, w którym zostali osiedleni. Nikt zresztą nie zabiegał o zmianę miejsca pobytu, a ja też nie skorzystałem z prawa swobodnego poruszenia się po terenie republiki.

W kołchozie należało pracować. Określone zostało pewne minimum pracy wynoszące osiemdziesiąt roboczodniówek w ciągu roku. Chcąc mieć wolny czas na prace zarobkowe, zorganizowałem własną ośmiuosobową brygadę i podjąłem się akordowo za te osiemdziesiąt dniówek przebudować łąnię.

W ciągu jednego tygodnia praca została wykonana. Rozliczyłem się z członkami brygady obdarowując ich koszulami, kapeluszem, krawatami i innymi podobnymi przedmiotami zgodnie z ich życzeniem. Przy sposobności zdobyłem drewniane drzwi wraz z futryną, które mi były potrzebne w związku z budową własnego domku.

Z oknem miałem poważniejszy kłopot. Udało mi się jednak zdobyć za kilka butelek wódki, od jednego z kołchoźników, jakieś prawdopodobnie pochodzące z kradzieży okno oszklone szeregiem drobnych szybek.

Najpierw z jakiejś okazji podarowałem przewodniczącemu kołchozu ładną koszulę i jaskrawy krawat, a po pewnym czasie zwróciłem się o wody z pługiem, po otrzymaniu których przeorałem kawałek stepu. Następnie wykopałem duży dół w ziemi głębokości jednego metra i dwudziestu centymetrów.

Wewnątrz tego dołu od spodu zacząłem układać z darni metrowej grubości ściany budynku; pomiędzy tymi ścianami pozostała przestrzeń przyszłej izby mieszkalnej o wymiarach 2.40 m x 4.20 m. Darni układałem warstwami na przemian jedną kierunkiem płatów darni wzdłuż ścian, a następną prostopadle do tego kierunku, tworząc w ten sposób mocne wiązanie. Ściany wyciągnąłem nad powierzchnię terenu z jednej strony do wysokości 60 cm, a z drugiej 1 m 20 cm. Następnie ułożyłem krokwie od ściany do ściany i wykonałem pokrycie dachu też z darni.

Cały budynek z trzech stron zasypałem ziemią wykopaną z dołu. W ten sposób utworzył się pagórek z jednej strony ścięty i zaopatrzony w leżące okno, którego spód znajdował się zaledwie 20 cm nad powierzchnią terenu. Do niskich drzwi wejściowych prowadziły schody wykopane w ziemi i prowadzące z powierzchni do progu znajdującego się o 1 m i 20 cm niżej. Schody wzmocniłem kółkami oplecionymi wikliną i zaopatrzyłem w daszek, który stanowił przedłużenie dachu budynku - ziemianki.

Całe pomieszczenie usytuowane zostało swoją długością w kierunku panujących

wiatrów, który to kierunek ustaliłem uprzednio w czasie zimy w dość prosty sposób. Wbiłem w ziemię kołek, za którym gromadził się wąski pasek nieco wyższego śniegu. W ciągu zimy utworzył się wachlarz takich pasków wyznaczających kierunki wiatrów, dający pęk, skraje którego tworzyły między sobą kąt wielkości zaledwie około 20°. Ziemianka więc stała na końcu wsi ukosem do drogi, z oknem oraz wejściem odwróconymi od drogi.

Obok ziemianki wykopałem w ziemi obszerny dół i pokryłem go żerdziami, wikliną a następnie grubą warstwą ziemi. Dół ten służył mi za piwnicę do przechowywania kartofli i jarzyn. Pozbawiony bowiem darni kawałek stepu poszerzyłem jeszcze przekopując go szpadem i w ten sposób uzyskałem dla swego użytku 15 arów gruntu ornego, na którym zasiałem grubo obierane łupiny z kiełkujących na wiosnę kartofli oraz pewną ilość drobnych kartofli. Naturalnie kartofle sadziłem "pod łopatkę", wykopując w równych odstępach dołki, do których wrzucałem łupiny, bądź kartofle. O żadnym nawożeniu, okopywaniu, czy redzeniu nie było nawet mowy. Mimo to wyrosły mi drobne kartofle, z których najmniejsze przeznaczyłem do zjedzenia, a najładniejsze do posadzenia w następnym roku. Część ogródka przeznaczyłem na buraki i marchew.

Zakupiliśmy prosię, która po pół roku dostarczyła nam mięsa własnej hodowli. Posiadaliśmy sześć kur, które mieszkały wspólnie z nami.

W ten sposób, po półtorarocznym pobycie, stałem się "gospodarzem na własnym śmieciach". W tym właśnie ~~xx~~ okresie któregoś dnia podjechał motocyklem przewodniczący kołchozu i przywitał mnie słowami: "dzień dobry towarzyszu", na co ja odpowiedziałem, że nie jestem "towarzyszem". "A kimże ty jesteś?" zapytał przewodniczący, "jestem polskim panem" dąparłem z poważną miną. "Wobec tego dzień dobry polaki panie" - powiedział przybyły i rozpoczął ze mną przyjazną rozmowę, wykazując duże zainteresowanie niecodziennym wyglądem mego mieszkania.

Przy jego budowie przede wszystkim dbałem o to, by było ono możliwie ciepłe. W tym celu częściowo wkopałem je do ziemi i obsypałem z trzech stron ziemią, ustawiłem szczytem do wiatrów i zbudowałem bardzo ciekawy piec własnego pomysłu. Sklepiony piec do chleba umieściłem na poziomie podłogi.

Dla ułatwienia posługiwania się piecem, wykopałem przed nim w podłodze wąską i dość długie zagłębienie zaopatrzone w kilka stopni do zejścia. Zagłębienie to normalnie przykryte było kilkoma krótkimi deskami i otwierane tylko w czasie pieczenia chleba. Nad piecem mieściło się palenisko i płyta do gotowania stawy. Z pieca chlebowego dym i rozżarzone powietrze przechodziły pod płytę umożliwiając gotowanie przy okazji pieczenie chleba. Z płyty szły przewody do ścianki pełniącej rolę pieca do ogrzewania pomieszczenia.

Tak więc przy okazji gotowania obiadu nagrzewała się ścianka utrzymująca ciepło przez dłuższy czas. Całość wykonałem z surowej cegły własnej produkcji.

Piec ten przychodzili podziwiać sąsiedzi. Spełniał on dobrze swoją rolę zapewniając ciepło w izbie przy niewielkim zużyciu trudnego do zdobycia opału. Zresztą zagłębienie w podłodze spełniało jeszcze pewną poufną rolę. Obok niego bowiem w klepisku podłogi zakopałem dwudziestolitrowe naczynie, w którym przechowywałem kradzioną ropę naftową - przedmiot dyskretnego handlu wymiennego. Po to, by zaopatrzyć się w ropę z zakopanego naczynia, należało w dole, służącym do ukatwienia obsługi pieca, ustawić butelkę i przy pomocy rurki gumowej przelać ropę na zasadzie naczynia połączonych, co wymagało, by butelka zajmowała położenie niższe od zbiorniczka ropy unieruchomionego i zamaskowanego w podłodze.

Jak to wyraźnie widać z opisu mego życia, w tym czasie kradłem gdzie ię dązo i co się dązo.

Uważam za konieczne wyjaśnić motywy takiego postępowania. Przede wszystkim postawiony zostałem w sytuacji przymusowej, w której pomimo wysiłków i pracy nie miałem możliwości zarobić na życie dla siebie i swoich bliskich.

Wobec szybkiego topnienia sporego zresztą zapasu ubrań i bielizny, wykonana których stanowiła dla nas przez cały rok jedyne źródło utrzymania, musiałem się inacz wszelkich sposobów utrzymania siebie i swojej rodziny przy życiu. Na tym jednak nie miałem wówczas żadnych skrupułów, czułem się bowiem oszukany okradziony, gdy kołchoz za naszą ciężką pracę wypłacił wprost śmiesznie znikome nagrodzenie nie stojące w żadnym stosunku do nakładu wysiłków i trudu z naszej strony. Zresztą pod tym względem nie byłem odosobniony.

Wśród kołchoźników utarło się przekonanie, że kradzież mienia prywatnego jest godna najwyższego potępienia, natomiast mienia społecznego nie kradnie się, tylko się je "organizuje" dla siebie.

Zresztą moje prymitywne metody indywidualnej kradzieży nie miały tego znaczenia organizacyjnego, który cechował systematyczną kradzież zbiorową. Jednym z nich ówczesnych znajomych pracowałem w mieście w cukrowni. Co dzień w czasie pracy napełniała cukrem woreczek jednokilogramowy, który następnie nawiązywałem i kryjąc go nakł białcie. Brygadierka tego nie zauważała. Przy wyjściu z cukrowni wszystkie robotnice podlegały rewizji, woreczka jednak nigdy nie wzięto.

W drodze z cukrowni do mieszkania czaili się milicjanci rewizyjnie przywłaśnie spotkanych pracowników, mojej znajomej jednak nigdy nie zatrzymali.

Po przyjeździe do domu pani ta połowę przyniesionego cukru odsypywała dla siebie, przeznaczając go na pokątny handel zamienny, połowę zaś dzieliła sprawiedliwie na równe części dla brygadierki, dla pracowników rewizyjnych przy opuszczaniu cukrowni, dla kilku milicjantów i dla swej gospodyni.

Każda z zainteresowanych osób otrzymywała swój niewielki udział od szeregu kradnących, co w sumie dawało już pokaźny dodatkowy dochód. Natomiast kradnąca czuła się względnie bezpieczna miała bowiem wielu współników, którzy w obronie własnej gotowi byli ją bronić przed zarzutem kradzieży i przed odpowiedzialnością.

Nie należy zapominać, że zarówno pracownicy poszczególnych instytucji, jak też i urzędnicy, choć nie byli przesiedleni, ani zesłani, to jednak najczęściej przenoszani byli w tamte rejony dalekiej prowincji na pewno nie w nagrodę, lecz karnie za różne przewinienia, zbierał się więc element nieodznaczający się, ani ideowością, ani też skrupułami.

Nie należy też zapominać, że działo się to około trzydziestu lat temu w okresie błędów, wypaczeń i kultu jednostki. Wydaje się, że my, to znaczy Naród Polski, przeżywamy obecnie analogiczny okres. Zdaje mi się, że jest to skutek równoległego uspołecznienia środków produkcji, rozbudowy przemysłu i idącej za tym wędrowki ludności wiejskiej do miast, z upowszechnieniem oświaty i kultury.

Należałoby, moim skromnym zdaniem, w ten sposób wprowadzić postęp, by rozpocząć od odpowiedniego wychowania szerokiej mas ludności i od wpojenia jej poczucia troski i odpowiedzialności za dobro społeczne, a dopiero w drugiej kolejności realizować ekonomiczną przebudowę kraju.

Na Kazachstanie w naszym kołchozie ludzie byli uczuleni na niedolę innych i chętni do niesienia im pomocy. Te sympatyczne cechy ich charakterów wyrobił wspólny ich los przesiedleńców na bezludne stepy i konieczność życia w trudnych i surowych warunkach klimatycznych środkowej Azji, w panującym tam klimacie wybitnie kontynentalnym z jego silnymi i mroźnymi wiatrami w okresie zimy spowodowanymi brakiem lasów w równinym terenie stepów.

Kołchoźnicy ci to bardzo gościnni i szczerzy ludzie, umiejący wesoło się bawić pomimo wszelkich trudności, prymitywu i surowości ich życia.

Na jedną z zabaw zostałem zaproszony z żoną. Panujący zwyczaj polegał na tym, że wszyscy obecni siedzieli pod ścianami wokół miejsca przeznaczanego na tańce. Jeden z obecnych wychodził na środek sali i pod dźwięki szybkich taktów muzyki tańczył w przebraniach kozaka, czy coś w tym rodzaju. Po pewnym czasie tancerz upartywał wśród siedzących jedną z młodych kobiet i podchodził do niej kłaniając się.

wówczas ta osoba wstawiała i rozpoczynała solowy występ, a on zajmował jej miejsce. ten sposób popisywano się kolejno co raz to innymi figurami tańca.

Przeraziłem się nie na żarty, gdy jedna z tańczących podeszła do mnie i kłoniła się. Uratował mnie szybki refleks wyrobiony uprzednio uprawianiem boksu polowaniem. Wstałem i w takt kozaka zacząłem tańczyć czerlestonea.

Wszyscy mnie podziwiali, takiej bowiem figury kozaka nikt tu nie znał. A tej samej zabawie spostrzegłem, że córka dawnej naszej gospodyni ma na sobie kienkę przystrojoną koronkowym kołnierzykiem mojej żony, który nam zginął w czasie zajmowania mieszkania rodziców tej panny. Zerwałem więc publicznie z rozbalonej dziewczyny kołnierzyk, a ta zawstydzona opuściła zabawę czując na sobie stępiający ją wzrok świadków przykrego zajścia.

Cbecni na zabawie mężczyźni popijali wódkę, po czym stawali się daleko rzadziej rozmowni niż zazwyczaj. Przy sposobności podobnej szczerzej rozmowy "pod chą" można było dowiedzieć się wielu różnych interesujących wiadomości dotyczących życia w kołchozie.

16 A więc pewien traktorzysta dopóki był trzeźwy przechwalał się, że jest zodownikiem pracy, a gdy dobrze sobie podpik wówczas w poufnej rozmowie podzielił się ze mną sekretem zdobycia przedownictwa i przechodniego proporczyka.

Zatrudniony przy orce, po odjechaniu od drogi na odległość kilkuset metrów, trzymał traktor i ustawiał pług w ten sposób, by orać na głębokość zaledwie 10 cm i wówczas włączał trzeci bieg wyprzedzając swych konkurentów do tytułu zodownika pracy. Pole miało szerokość około trzech kilometrów, było więc wiele miejsca i czasu na przyspieszenie wykonania zadania. Naturalnie, gdy zbliżał się do drogi, od strony której mógł się spodziewać brygadiera, kontrolującego jego pracę, wówczas znów na chwilę zatrzymywał traktor, zagłębiał pług na dwadzieścia metrów i dalej ruszał już pierwszym biegiem.

Gdy nieco później wysłano nas do odległego lasu w celu przygotowania drzewopałowego, wówczas wzorując się na traktorzyście również próbowałem, w sposób zupełnie uczciwy, ułatwić sobie pracę. Brygada składała się z trzech osób, dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Zadaniem brygady było ścinanie, przy pomocy ręcznej piły, brzoź o średnicy pnia 20 do 30 cm, pocięcie pnia brzozy na jednowetrowe kaski, poodcinanie gałęzi i ułożenie ich w jednym miejscu, a następnie ustawienie ich ze ściętego drzewa. Normą dzienną było wykonanie dziesięciu przestrzennych brzoź sześciennych sążni drzewa opałowego, co nie było zadaniem łatwym. Co wieczór kierano wykonaną pracę i pokrapiano przyjęte sążnie wapnem.

Po kilku dniach ciężkiej pracy, w której najbardziej dokuczały nam liczne komary, bez pośpiechu dopikowywaliśmy po kilka metrów sześciennych drzewa dziennie, po czym przenosiliśmy przyjęte już uprzednio sążnie drzewa na inne miejsca układając je tak, by pokropione wapnem polana znalazły się na spodzie, dopełniając w ten sposób brakujące do normy dziennej ilości przygotowanego opału.

W drodze powrotnej mijaliśmy kołchoz, w którym osiedlono kilkadziesiąt prostytutek wywiezionych z Brześcia nad Bugiem. "Panie" te otoczyły nas zwartym kołem prosząc o papierosy w sposób raczej nieparlamentarny.

Po powrocie do kołchozu Klewiernoje polecono mi kopanie w gliniś dołu, o głębokości dwóch metrów i o wymiarach cztery metry długości na cztery szerokości. Była to ciężka praca akordowa.

Należało odsłonić ziemię zdzierając z niej kożuch bujnej trawy, a następnie warstwę po warstwie kruszyć łomem bądź kilofem zeschniętą glinę. Dopiero na głębokości około pół metra glina stawała się wilgotna a przez to i miększa, a więc łatwiejsza do kopania. Za wykopanie całego dołu zaliczono mi 32 roboczodniówki, kosztowało mnie to jednak wiele wysiłku.

Gdy do dołu wskoczył na chwilę brygadier na krótką rozmowę ze mną, to następnie, chcąc wydostać się z powrotem na powierzchnię, najpierw wezdeł nogami na szpadel jednym końcem mocno wbity w ścianę dołu, a drugim oparty na moim brzuchu i podtrzymywany przeze mnie. Gdy brygadier odbił się nogami od szpadla, trzonek ucisnął mi mocno pachwinę.

Następnego dnia stwierdziłem, że mi napuchł gruczoł w pachwinie. Gdy sobie palcami badałem wielkość gruczołu, wówczas ku memu zdziwieniu w pewnym momencie pod wpływem ucisku napuchnięty gruczoł zniknął bez śladu. Jak się to później okazało nie był to żadem gruczoł, lecz po prostu nabawiłem się raptury pachwinowej, co zmusiło mnie do noszenia specjalnego pasa zaopatrzonego w silną sprężynę i główkę skórzaną uciskającą pachwinę.

Po dwóch latach noszenia tego pasa pozbyłem się raptury bez zabiegu operacyjnego. Wykopany przeze mnie dół posłużył do zakwaszenia na kiszonkę liści sianeczników i kukurydzy, których uprawa w kołchozie miała charakter eksperymentalny. Kiszonki jednak nie zostały w charakterze paszy.

W następnym sezonie odsłonięto ją i sprawdzono, że jeszcze nadaje się do użytku, wobec tego nie otrzymałem polecenia wykopania nowego dołu. Natomiast po dwóch zimach kiszonka zepsuła się i ohydnie śmierdziała. Polecono mi usunąć ją z dołu, który miał być napełniony świeżymi liśćmi.

Zgodziłem się jednak pod tym warunkiem, że znów zaliczą mi akordowo 32 roboczodniówki za wykonanie tego zadania. Uzyskałem na to zgodę, więc przełamalem obrzydzenie i w ciągu dwóch dni oczyściłem przy pomocy wideł i niewielkim wysiłkiem cały dół.

Zależało mi bowiem bardzo na tym, by każdego roku jak najszybciej odpracować te minimum osiemdziesiąt roboczodniówek akordu w kołchozie i zabrać się energicznie do pracy zarobkowej na prywatne zlecenia kołchoźników.

Należało przecież zarobić na całą długą zimę, stanowiącą okres przymusowej bezczynności. Zimno paraliżowało całe życie. Wysunąć nosa poza izbę nikt nie chciał. Niezbędny wyjątek stanowiło udanie się w step do najbliższego stogu po słomę na opał, każdy jednak starał się o zgromadzenie przy chacie zapasu opału na całą zimę.

Pomimo opalania, we wszystkich izbach przez okres zimy panowała temperatura około +5°C. Cały sufit i ściany, od góry do wysokości jednego metra od podłogi, pokrywał szron. Na oknach szron sięgał czterech centymetrów grubości.

Jedynym ratunkiem od zima stanowiła ciepła, tłusta strawa i picie niesamowitych po prostu ilości herbaty. Wobec braku zarówno herbaty jak też i cukru, zazwyczaj piko się zastępczo po prostu wrzątek. Z przygotowaniem i przechowywaniem zapasów żywności w okresie zimy nie było kłopotów.

W jesieni brało się pół worka pszennej mąki, z której przygotowywało się rozwałkowane ciasto na pierożki. Następnie z mięsa całego tłustego barana, z dodatkiem dużej ilości łożu baraniego i czosnku, sporządzało się nadzienie do pierożków. Praca trwała około dwóch dni, a jej wynikiem był cały duży worek surowych pierożów, które wynosiło się na podwórze, gdzie wkrótce zamrzadły.

Następnie w ciągu całej zimy sięgało się do worka i siekierką odszczepiało garść pierożków, które włożone do wody po półgodzinnym odtajaniu gotowało się. Ja potrafiłem zjeść za jednym zamachem, aż sto takich smakowitych pierożków. Niezależnie od tego całą tuszę baranią wieszano się na dworze na kilka godzin, po czym trzymało się ją w zimnym miejscu. W razie potrzeby mięsa na obiad należało siekierką odrębnie kawałek. Przy tym dookoła rozpryskiwały się drzazgi mięsa na podobieństwo drzazg przy rąbaniu drzewa.

Wobec całkowitego braku cukru przygotowywało się z jesieni marmoladę z mieszaniny buraków, marchwi i dyni. Poza tym wielkim powodzeniem cieszyło się danie zwane "zaklejgębą". Gotowało się kartofle, po czym zarypywało się je, nie odlewając wody, dwiema garściami mąki pszennej umprzednio na sucho przysmażonej na patelni, nie mieszając jej z kartoflami. Po dalszych dziesięciu minutach gotowania należało całą mieszaninę kartofli, wody i mąki dokładnie utłuc, przy pomocy

walką, po czym roztopiało się tłuszcz, na przykład sadło wieprzowe. Należało maczać dużą łyżkę w gorącym tłuszczu i z przygotowanej masy oddzielać kawałki rzucając je na talerz, przy czym każdorazowo należało łyżkę zanurzać w tłuszczu, by danie nie przyklepało się do niej. Następnie w ten sposób sformowane kluski obficie polewano się tłuszczem i skwarkami. Po posileniu się "zaklejgębą" przez bardzo długi okres czasu wcale nie odczuwało się głodu, przy czym danie to było smaczne.

Jedną z moich specjalności był wypiek chleba, którego podejmowałem się nie tylko dla siebie, lecz również i dla kołchoźników. Oddawałem tyle kilogramów wypieczonego chleba ile otrzymywałem mąki na ten chleb, resztę stanowiącą 25 do 30% zatrzymywałem sobie za robotę.

Wobec braku drożdży, których zakup stanowił poważny problem, radziło się w ten sposób, że zaparzało się wrzątkiem wysuszony chmiel, po czym do ciepłego jeszcze naparu dodawało się drożdży. Następowala fermentacja, po której dosypywało się mąkę i po zmieszaniu uzyskiwało się rzadkie ciasto, które rozkładało się cienką warstwą na ręcznikach i wysuszało. Grudki takiego ciasta pełniły następnie rolę drożdży, było ich jednak dużo więcej niż oryginalnych drożdży użytych dla wyrobu tej ich namiastki.

Gdy do rozczynu na chleb dodało się trochę tłuczonych gotowanych kartofli, wówczas chleb był nieco mniej pulchny i utrzymywał się w stanie świeżym, nie czerniejąc przez dłuższy czas. Z żytniej natomiast mąki, którą zaprawiało się drożdżami lub ich namiastką, a po zakisnięciu zaparzało się wrzątkiem, można było ugotować zupę o smaku zupy owocowej.

Z wymienionych smacznych dań korzystałem wraz ze swą matką i żoną. Brat bowiem wywędrował już do Iraku z Armią Andersa, teściowa zaś jego, bardzo miła starsza pani, wyprowadziła się i zamieszkała u kołchoźnika, Polaka z pochodzenia.

Pomagaliśmy jej dostarczając kartofle, mąkę, skoninę i zapasy innych produktów oraz opiekowaliśmy się nią w miarę sił i możliwości. Natomiast druga żona mego ojca chciała, egoistyczna i skąpa kobieta - jedyna chyba osoba, do której czułem w swym życiu niechęć graniczącą z nienawiścią, bardzo szybko pozbyła się swych liczących zapasów utraci, po czym żyła w skrajnej nędzy.

Zdobycie różnych niezbędnych do życia przedmiotów i żywności wymagało szeregu skomplikowanych zabiegów, do których między innymi należało odwiedzenie targów na świeżym powietrzu w miejscowości odległej od naszego kołchozu o 37 kilometrów drogi, którą należało przebyć piezo, w ohydnie strygu.

Ja na przykład te parę perskich dywanów, za które oferowano mi na miejscu po pięć jajek, sprzedałem za kilkaset kilogramów pszennej mąki Kirgizom w ich

kołchozie odległym od naszego o około 20 kilometrów, skąd trzeba było przewieźć ją wózkami ręcznymi do siebie.

Do podobnych czynności pani ta nie była zdolna, wobec czego wszystko musiała nabywać na miejscu za bardzo wysoką cenę wymienną. Zwróciła się wówczas do nas z prośbą o powrót do naszej wspólnoty rodzimnej, ja jednak stanowczo odmówiłem. Obydwie panie, to jest teściowa brata i druga żona naszego ojca wkrótce umarły w wieku sześćdziesięciu paru lat.

W tym samym czasie otrzymaliśmy odpowiedzi z dziesięciu różnych przedstawicielstw poselstwa polskiego w ZSRR, w których donoszono nam, że nie wiedzą nic o naszym ojcu. Nieco później przypadkowo spotkałem pewnego Polaka, który przebywał razem z naszym ojcem w obozie w Starobielsku. Opowiedział on, że ojciec był pełen optymizmu i wiary w pomyślne dla siebie zakończenie perypetii wojennych i że następnie został przesłany do obozu w Katyniu.

W ostatecznym więc rozrachunku z ogólnej liczby ośmiu osób naszej rodziny wojnę przeżyły cztery osoby, co stanowi równe 50 %.

CIEŻKA PRÓBA

Wkrótce po rozpoczęciu się działań wojennych na terenie Związku Radzieckiego, wszyscy administracyjnie przesiedleni zdolni do pracy fizycznej postrzymywali z Prezydium Gminnej Rady Narodowej urzędowe karty mobilizujące ich do pracy w kołchozie, pod rygorem odpowiedzialności karno-administracyjnej za uchylenie się od pracy. Wkrótce jednak nastąpiło porozumienie z Rządem Sikorskiego w Londynie, skutkiem którego ogłoszona została amnestia i wszyscy przesiedleńcy z terenów Zachodniej Ukrainy, czyli dawnych Kresów Wschodnich stali się pełnoprawnymi obywatelami traktowanymi na równi z pozostałymi mieszkańcami kołchozów i sowchozów t.j. PGR zachowując przy tym obywatelstwo polskie.

Praca w kołchozie nie zapewniała zarobku a jedynie wyżywienie w czasie jej wykonywania, a my podniesieni na duchu ogłoszoną amnestią chcieliśmy utrzymać za swą pracę także wynagrodzenia, które by zapewniło nam możliwość utrzymania się przy życiu wraz z naszymi rodzinami. Wobec tego pertraktowaliśmy z przewodniczącym kołchozu proponując mu bądź zapisanie nas i naszych rodzin do kołchozu, co pociągnęłoby za sobą wypłatę zarobku w naturze, bądź też podpisanie z nami umowy zapewniającej nam godziwe zarobki.

Przewodniczący jednak wyjaśnił, że nie ma prawa przyjąć do kołchozu obcokrajowców, wobec czego przedtem powinniśmy się wystarać o przyznanie nam radzieckiego obywatelstwa, co dla przesiedleńców ukraińskiej i białoruskiej narodowości nie będzie trudne, natomiast dla Polaków i Żydów wymagałoby pewnych starań i zachodów.

Nikt jednak z nas nie kwapił się ze zmianą obywatelstwa. Jakikolwiek umowy i targi o wysokość wynagrodzenia przewodniczący odrzucał z góry, jako burżuazyjne wymysły i powoływał się na zarządzenie mobilizujące nas do pracy w kołchozie.

Wobec takiej postawy przewodniczącego - odwołałem się do Prezydium miejscowej Gminnej Rady Narodowej, a gdy to nie poskutkowało wówczas kolejno do Prez. Pow. Rady Narodowej, Wojewódzkiej Rady Narodowej a w końcu do Najwyższej Rady Związkowej Kazachskiej Republiki w Alma-Atie, odległej od naszego kołchozu o około 2 000 kilometrów. W odwołaniach pisałem, że jako polski obywatel nie podlegam jurysdykcji administracyjnych władz obcego państwa, że przepisy mobilizujące do wojska, czy do pracy mogą dotyczyć wyłącznie obywateli kraju, nigdy zaś obcokrajowców.

Po miesiącu uzyskałem odpowiedź na kredowym papierze z emblematami państwowymi, w której wyjaśniano mi, że wszyscy obywatele, przebywający na terenie Związku Radzieckiego, obowiązani są do podporządkowania się wszelkim zarządzeniom władz administracyjnych.

Nie zrasika mnie jednak ta negatywna odpowiedź, więc po krótkim namyśle napisałem pismo do powiatowej prokuratury ze zwięzłym zapytaniem jaka ustawa i który jej paragraf upoważnia gminne władze do mobilizacji do pracy w kolchozie obywateli polskich przesiedlonych na te tereny z Zachodniej Ukrainy. Po miesiącu otrzymałem urzędowe wezwanie, by stawić się do prokuratury. Praktycznym wówczas wiele obaw i strachu nie wiedziałem bowiem, czy wezwanie ma jakis związek z moim pismem, czy też może z przywłaszczeniem mienia spółkowskiego.

Palen obaw i niepokoju udałem się do znajdującej się w odległej miejscowości prokuratury, gdzie z ulgą dowiedziałem się, że chodzi tu o moje pismo w sprawie mobilizacji do prac w kolchozie.

Prokurator w rozmowie na ostery oczy wyjaśnił mi, że nie ma żadnej takiej ustawy, ani też rozporządzenia rządowego upoważniającego do mobilizacji do pracy polskich obywateli i że wszelkie peckynania tego typu stanowią nadużycie władzy. Jednocześnie prokurator wyjaśnił mi, że Związek Radziecki jest zaangażowany w ciężkie szmagania z hitlerowcami, a ja jako obywatel nie zostałem powołany do służby w Armii Czerwonej i siedzę sobie spokojnie na dalekim zapleczu jedząc chleb gospodarczy, jest więc moim moralnym obowiązkiem udzielenie pomocy w szmaganiach z najeźdźcą w sposób pośredni przez pracę w kolchozie.

Ponadto prokurator poprosił mnie, abym udzielone mi informacje potraktował jako poufne. Podziękowałem grzecznie za wyjaśnienie i wróciłem do swego kolchozu.

W kilka dni później zebrałem wszystkich zdolnych do pracy przesiedlonych współtowarzyszy i opowiedziałem im o tym czego dowiedziałem się od prokuratora. Skutek nie dał na siebie długo czekać - następnego bowiem dnia nikt z przesiedlonych nie stawiał się do pracy w kolchozie.

Po paru dniach przyjechał do wsi jakiś powiatowy działacz społeczny w celu zaangażowania nas do pracy. Zarządzono ogólne zebranie w świetlicy kolchozu, na którym ów działacz, bijąc pięścią w stół, groził srogimi represyjami na wykryciu się od pracy. Naturalnie następnego dnia wszyscy z wyjątkiem mnie poszli do pracy, ja natomiast pozostałem w domu.

W pewnej chwili spostrzegłem, że droga jedzie ów groźny działacz bryką zaprzęzoną w konia. Wówczas szybko wyniosłem koc i poduszkę przed budynek, położyłem się na kocu i udawałem, że bestrosko czytam książkę, sarkając przy tym jednym okiem na mijającą mnie bryczkę.

Delegat z powiatu zatrzymał się, a następnie przywołał mnie do siebie pytając dlaczego nie jestem w pracy. Na to ja go z kolei zapytałem, czy on czytał dzieła Lenina i czy wie co tam jest napisane na 321 stronie? Jeśli nie pamięta to ja mu chętnie przypomnę. Dość już nam polecy panowie wygrałali pięściami. Towarzysz Lenin obeszernie uzasadnił konieczność uświadamiania obywateli o ich obowiązkach i wystrzegania się metod gróźb i represji. Świadomy obywatel powinien pracować z własnego impulsu, wynikającego z umiłowania pracy. Po wysłuchaniu mojej przemowy delegat zaciął biczem konia i bez słowa ruszył dalej.

Po paru dniach inni widząc, że pomimo nie stawiania się przeze mnie do pracy nie sprawdzają się groźby delegata z powiatu i nie stałem się obiektem żadnych represji ze strony władz administracyjnych, stopniowo zaczęli też wycofywać się z pracy w kolchozie, wykonując różne inne, bardziej intratne czynności.

Wówczas powtórnie przyjechał do kolchozu inny znów delegat z powiatu. Znów wezwano nas do świetlicy, w której wywoływano każdego kolejno do stołu, przy którym delegat doręczał nowe pisma mobilizujące do pracy w kolchozie.

Wobec braku papieru, pisma takie pisane były atramentem na papierze gazetowym i zaopatrzone odpowiednią pieczęcią urzędową. Jeden z odważniejszych przesiedleńców, po otrzymaniu takiego pisma, zaraz przy stole delegata pokwitował je po czym wyjął z kieszeni blaszane pudełko z tytoniem, nasypał garść tytoniu do pisma i skręcił zeń grubego papierosa, po czym go zapalił.

Wywarło to poważne wrażenie na wszystkich obecnych, najsilniejsze jednak na delegacie, który został szokowany bezczelnością i pewnością siebie tego Polaka, ale się opanował i przeszedł nad tym przykrym incydentem do porządku.

Wobec tego, że ponowne wręczenie wezwań do pracy nie odniosło pożądanego efektu, a tymczasowo zmobilizowano do Armii Czerwonej wielu kolchoźników, kolchoz odczuwał wyjątkowy brak rąk roboczych, doszło więc wkrótce do ugody z zarządem kolchozu, który obiecał nam za pracę wynagrodzenie identyczne z otrzymanym przez kolchoźników. Ważna więc zbiorowa walka o poprawę warunków bytowania - została przez nas przesiedleńców wygrana, przy czym ja byłem jej inicjatorem, przywódcą i aktywnym uczestnikiem.

W międzyczasie dotarła do nas pomoc UNRA w postaci sporej ilości używanych ubrań, płaszczy i obuwia oraz po kilka łyżeczek do herbaty na każde dziecko - tak pożądaných artykułów spożywczych, jak kakao i cukier. Powiatowym Pełnomocnikiem Rządu Polskiego był znajomy emerytowany urzędnik urzędu wojewódzkiego w Łucku, mieszkaniec osady M., którego wraz z córką wywieziono razem z nami.

Otóż pan Maksymilian Tarnawski wyznaczył mnie, jako swego zaufanego do rozdziału pomocy pomiędzy przeziębionców naszego kołchozu. Powołałem więc do pomocy dwie osoby spośród zainteresowanych rodzin i przystąpiliśmy do sprawiedliwego rozdziału odzieży. Naturalnie najwięcej i najlepszych ubrań daliśmy kulawej starszej kobiecie z siedmiorgiem dzieci w różnym wieku, najgorsze zaś łachy przypadły trzydziestoparoletniej żonie policjanta, z osiemnastoletnią córką, jako kobietom w pełni zdolnym do pracy.

W tym właśnie czasie, a było to w lutym, moja żona urodziła synka. Wobec braku owoców, witamin, cukru i szeregu innych podstawowych produktów spożywczych niemowlę było słabutkie i nie chciało ssać piersi.

My, jako niedoświadczone małżeństwo, nie umieliśmy sobie z tym poradzić i zamiast dać dziecku parę łyżeczek rumianku, bądź nawet czystej wody, czekaliśmy bezczynnie. Przy tym dziecko było owinięte w szereg pieluch i szmat w imbie bowiem temperatura była bliska zera.

Po trzech, czy czterech dobach niemowlę umarło z pragnienia. Mojej małżonce pierś zrobiła się twarda jak ściana z powodu gromadzenia się pokarmu, po czym podniosła jej się gorączka do około 40°C. Ja byłem zrozpaczony tą sytuacją, omiłem się jednak zupełnie bezradny.

Gdy w łóżku leżała chora i majacząca żona, a na stole w skrzynce od kwiatów, trupek dziecka, do izby weszła żona policjanta wyrażając głośno swe niezadowolone z krzywdzącego ją przydziału pomocy UNRA. Poprosiłem ją grzesznie, by przyszła za parę dni, bo w obecnym momencie zbyt jestem zaabsorbowany swymi osobistymi nieszczęściami, by móc z nią mówić na poruszony przez nią temat. W odpowiedzi posypały się pod moim adresem obelgi i groźby, wobec czego wyprosiłem ją za drzwi, przy tym zamachnąłem się na nią teatralnym gestem grożąc, że jeśli natychmiast nie wyjdzie, to ją uderzę. Kobieta opuściła najzwyczajniej przez nas pomieszczenie pokrzykując jeszcze, że mi tego nie daruje.

Przez parę dni kopalem w smaragdowej ziemi płytką mogiłę, w której właśnie zamierzałem zakopać skrzynkę ze szatkami swego synka, Stasia - zdążyliśmy go bowiem przed śmiercią okrzęcić.

Cmentarzem był, odgradzony rowem od reszty stepu, prostokątny kawałek terenu, na którym nie było ani jednego drzewka, czy krzaka. Jedyne drewniany krzyż na całym cmentarzu to był, zrobiony z dwóch patyków związanych drutem, krzyż umieszczony na grobie mego synka.

Po kilku dniach zostałem ostrzeżony, że w kołchozie zjawił się milicjant, który prowadzi przeciwko mnie jakieś dochodzenie. Natychmiast dałem znać o tym Pełnomocnikowi Rządu panu Maksymilianowi prosząc go o szybką interwencję u władz powiatowych.

W międzyczasie bowiem nastąpiło zerwanie stosunków z Rządem Sikorskiego, a stosunek władz do nas wyraźnie się pogorszył. Byłem zaniepokojony, nie wiedziałem bowiem, czy jest to dochodzenie związane z nieporozumieniem z panią policjantową, czy też może dochodzenie w sprawie któregoś z moich "lewych" poczynań w odniesieniu do mienia kołchozowego.

Wkrótce o godzinie szóstej z rana wezwano mnie do kancelarii kołchozu, gdzie zostałem przesłuchany przez wojewódzkiego komisarsa Urzędu Bezpieczeństwa /NRWD/. Kierownik powiatowego Urzędu protokółował moje zeznania. Byłem oskarżony o pobicie polskiej obywatelki - żony policjanta. Rozumiałem jednak dobrze, że oskarżenie to stanowi jedynie pretekst, do prowadzenia bowiem spraw o pobicie upoważniona była miejscowa Milicja Obywatelska.

Dochodzenie trwało do godziny trzeciej po południu. Pytano mnie dlaczego nie pracuję w kołchozie, na co odpowiedziałem, że mam już odrobione wymagane minimum w postaci osiemdziesięciu roboczo-dniówek. Więcej pracować nie mogę, bo moje ubranie jest już bardzo zniszczone i drze się prawie jak papier. Nie pracując fizycznie zdołam je dłużej ponosić, natomiast przy pracy szybko je zniszczę, a przecież nie zdołam zarobić na nowe.

Następnie zapytano mnie za co pobiliem współobywatelkę. Odrzekłem, że jej wcale nie biłem, zagroziłem jedynie pobiciem. Pokazano mi świadectwo lekarskie, z którego wynikało, że jednak została ona mocno poturbowana. Na to ja znów odpowiedziałem, że może ją ktoś inny pobić, bo ja jej nie biłem, mam zresztą na to świadków, całą rodzinę kołchoźników, z którymi razem w tym czasie mieszkaliśmy. Wobec mego oświadczenia sprowadzono kołchoźnika - świadka, po czym jeden z przybyłych przesłuchiwał go w drugim pokoju, a następnie wszedł i oznajmił, że kołchoźnik potwierdził akt oskarżenia i oświadczył, że biłem poszkodowaną.

No i cóż ja na to? Odrzekłem, że kołchoźnik jest prostym, obojętnym człowiekiem, który przypuszczalnie nastraszony zeznał niezgodnie z prawdą, to wszego od niego iądano.

Wówczas okazano mi nakaz aresztowania i oznajmiono, że zostałem aresztowany i będę niezwłocznie odstawiony do aresztu znajdującego się w miejscowości, która była siedziskiem władz powiatowych.

Całe dochodzenie zajęło wiele godzin czasu, było bowiem poprzedzone spisaniem personaliów i szczegółowego mego życiorysu. Wypytywano mnie przy tym bardzo szczegółowo o wszystkich moich przyjaciół i znajomych zarówno z okresu przedwojennego, jak też i z ostatnich czasów.

W pewnej chwili komisarz wyznał szczerze: "My wiemy żeś ty jej nie pobik, ale ty na wysoko skakałeś, a my takich nie lubimy. Gdybyśmy cię posadzili za to, wówczas ten nasz rząd londyński mógłby cię wybronić, jeśli jednak zamknijemy cię, jako chmłigana bijącego kobietę, my zaś okazemy się obrońcami polskiej obywatelki przed ordynarnym łobuzem - wówczas bądź spokojny, że nikt i nic nie zdoła cię uratować z opresji", następnie "zrozum, że tłum zachowuje się jak stado owiec. Około 5% obywateli cieszących się popularnością, ogólną sympatią i uznaniem prowadzi za sobą pozostałe 95%, które kroczy za nimi, jak barany. Naszym zadaniem jest wykapać te 5% przywódców i albo ich skaptować dla naszych idei, albo zlikwidować. Ty jesteś właśnie jednym z tych pastuchów, za którymi szła cała reszta". "To ty przewodziłeś w tym kołchozie wszystkimi przesiedleńcami z Zachodniej Ukrainy, ty jesteś szanfany Pełnomocnika Rządu Polskiego i tyś namatniał współmieszkańców wioski, żeby nie pracowali w kołchozie. Teraz cię unieszkodliwimy".

A następnie znów: "Widzisz, twój ojciec był popularny i lubiany przez ogół obywateli osiedla, w którym mieszkał oraz jeszcze paru okolicznych wsi, a był inteligentem, więc musieliśmy go aresztować. Daliśmy mu szansę współpracy z nami, on jednak nie skorzystał z tej szansy, więc aresztowaliśmy go powtórnie. Zebrane podpisy, na petycji o uwolnienie twego ojca, upewniły władze jeszcze bardziej o jego popularności, co ostatecznie przesądziło sprawę usunięcia go z tej miejscowości i spośród tego społeczeństwa". "Szkoda mi ciebie, jesteś sympatycznym chłopem, chcemy więc dać ci pewną szansę". "Powiedz co byś zrobił gdybyś na przykład zobaczył sabotażystę przecinającego druty telegraficzne?" - "Zaalarmowałbym innych ludzi i próbowałbym go ująć" odpowiedziałem. "No, a nas byś nieaalarmował?" "No, chyba i was również". "Doskonale, doskonale, wobec tego bierz do ręki pióro i pisz".

Po tych słowach dane mi do ręki pióro, a przed nos podsunięto kawałek papieru i podyktowane treść oświadczenia, które napisałem pod dyktando. "Ja niżej podpisany taki to a taki, przyjmuję pseudonim "Klewiernyj" i zobowiązuję

się, że w przypadku zauważenia jakichkolwiek poczynił wrogich ustrojowi, niezwłocznie zawiadomię o tym miejscowe Władze Bezpieczeństwa". Pomyślałem sobie że po aresztowaniu mnie wszystkie pozostawione przez mnie kobiety szybko zginą z głodu, a wobec tego nie ma oś się namyślać tylko należy wykorzystać każdą możliwość pozostania na wolności, podpisałem więc oświadczenie bez ociągania się.

Wówczas obydwa przeszukujący mnie oficerowie wstali ze swych miejsc i uściskali mi rękę, po czym oświadczyli mi, że jestem wolny, a gdyby ktoś za pytywał, żebym wyjaśnił, że dochodzenie nie potrafiło udowodnić mi winy.

Następnie jeden z przeszukujących mnie wyjrzał przez okno, zamknął lufozik zasłonił okno firanką, następnie wyjrzał z pokoju do sąsiedniego pomieszczenia i zamknął drzwi na klucz, po czym wrócił na swoje miejsce i powiedział mi przyciszonym głosem, żebym w określonym dniu, o godzinie dziesiętej wieczorem, zjawił się w stołówce w miejscowości powiatowej, gdzie on będzie siedział przy jednym ze stołów. Mam udać, że go wcale nie znam, a po opuszczeniu przez niego lokalu - podążyć za nim. Po tych poleceniach posęgnali się ze mną uprzejmie zapewniając, że mogą liczyć na ich pomoc.

Wróciłem do domu zmęczony fizycznie i wyczerpany nerwowo. Obawiałem się, że chcąc uniknąć rozgłosu nie aresztowali mnie w zamieszkałej przez mnie wsi, tylko chcą mnie podstępnie zwać do siedziby powiatu po to, by tam aresztować i uwięzić.

Gdy więc zbliżał się oznaczony dzień - udałem chorobę, weszłam zamieszkałą w naszej wsi felczerkę, nastukałem na termometrze wysoką temperaturę i uzyskałem zaświadczenie lekarskie o chorobie, rzekomo dla przedstawienia jej w zarządzie kołchozu. Zaświadczenie dostarczyłem przez żonę. Na umówioną "randkę" wcale nie poszedłem.

Po dwóch tygodniach otrzymałem wezwanie od władz wojskowych z poleceniem stawienia się dla sprawdzenia dokumentów wojskowych. Gdy się zjawiłem w odpowiednim powiatowym urzędzie - panienka poprosiła mnie głąm greckim, bym chwilę zaczekał, a sama gdzieś wyszła.

Po chwili wróciła w towarzystwie żołnierza z karabinem w ręku, który odprowadził mnie do siedziby Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie wtrącono mnie do jakiegoś zimnego i ciemnego lochu z wiązka słomy na podłodze.

Po dwóch dobach zaprowadzono mnie do lokalu "Sądu Ludowego", gdzie odbyła się krótka rozprawa, zakończona skazaniem mnie za pobicie kobiety na dwa lata obosu pracy.

Pe rozprawie odprowadzono mnie s powrotem do piwnicy. Pozbawiony byłem możliwości golenia się, co absolutnie mi nie dokuczalo, od roku bowiem nosiłem drugą brodę i wasy, powstałe wskutek całkowitego zaniedbania golenia się. Taki zarost ułatwiał życie, we wszelkich bowiem zbiorowych pracach powierzano mi nieco lżejsze i łatwiejsze zadania, jako starszemu dziadziowi. W areszcie oprócz słowy stał kubek do zakatwania się i nio więcej. Raz dziennie dostawałem rządką supę, a dwa razy dziennie gorzką kawę zbożową bez mleka, do tego 300 gram chleba razowego na dobę.

Przesiedziałem tak kilka dni, po czym przyszedł do mnie jakiś czkowiek, który rozpoczął serdeczną rozmowę na polsku. Wypytywał mnie o kraj, o Łódź, o Warszawę, mówił, że tęskni za Polską, bo przebywa w Związku Radzieckim już od kilkunastu lat. Następnie zapytał mnie, jak mi się podoba życie w ustroju socjalistycznym. Odpowiedziałem mu, że widzę tutaj w Kazachstanie szalony prymityw, nieróbtwo i brak dbałości o dobre publiczne, że najbardziej denerwuje mnie daleko posunięte zakłamanie i samochwalstwo.

Każdy uważa za swój obowiązek chwalenie życia w ustroju socjalistycznym, a po wypiciu paru kieliszków sacyna na nie narzekać.

Wówczas mój rozmówca wyjął z kieszeni kawałek papieru, na którym zaczął coś pisać. Na moje zapytanie odpowiedział, że spisuje moje zeznania i że teraz z dwóch lat powiększą mi karę do dziesięciu, jestem bowiem wrogiem panującego ustroju polityczno-społecznego. Nawet nie dał mi do podpisania sporządzonych przez siebie notatek, lecz poprostu po zapianiu treści mojej wypowiedzi opuścił piwnicę pozostawiając mnie samego.

Przynaję, że byłem zaskoczony rozwojem wypadków. Wkrótce zostałem wezwany przed oblicze kierownika Urzędu, który grzecznie poczętował mnie papierosem i poprosił usiąść. Odmówiłem zapalenia, bo jestem niepalący i chętnie usiadłem na zwykłym krzeszku w widnym i czystym gabinecie kierownika, co po brudnej słowie w ciemnej piwnicy, wydało mi się poprostu rozkoszą.

Kierownik uchylił szuflady mówiąc, że ma moją sprawę w biurku i nie wie, co ma dalej ze mną zrobić, że chciał mi pomóc, lecz ja nie wykazałem dostatecznej dozy dobrej woli, bo nie stawiłem się w umówionym terminie na spotkanie z nim. Na to ja wytłumaczyłem się zwolnieniem lekarskim i usprawiedliwiłem się chorobą. Podkreśliłem, że chętny jestem do współpracy z władzami.

W dalszej rozmowie kierownik ze smiechem oświadczył, że ja, taki inteligent i spryciarz, dałem się nabrać na głupi kawał i sprowokowałem do wypowiedzi antyrządowej, po której on stracił do mnie zaufanie. Wyjaśniłem mu, że prak-

tycznie w karnych obozach pracy można przebywać od pół roku do ośmiu miesięcy, po czym człowiek puchnie z głodu, a następnie umiera. Wobec tego albo uda mi się uciec, albo umrę przed odsiedzeniem wyroku, nie sprawia mi więc żadnej różnicy, czy szlag mnie trafi z głodu z wyrokiem dwu, czy też dziesięciolatecznym. Mam przynajmniej tę satysfakcję, że szczerze wypowiedziałem się.

Po kilku minutach dalszej miłej, lecz bardzo denerwującej pogawędki, kierownik powiedział, że postanowił raz jeszcze dać mi szansę wybrnięcia z opaliów, w celu wypróbowania mojej lojalności.

Następnie oznajmił mi, że miejscowy Pełnomocnik Rządu Sikorskiego jest szpiegiem faszystowskim, którego należy przymknąć. Polecił mi udać się do niego po zwolnieniu z aresztu i sprowokować do narzekania na ustrój, przy czym sam mogę narzekać bezkarnie ile mi się podoba, natomiast wypowiedzi Pełnomocnika mam zanotować możliwie doskownie, posłużą bowiem one za pretekst do aresztowania szpiega.

Poprosiłem o rącznik i mydło oraz o papier i ołówki; po doprowadzeniu się do jakiego takiego porządku udałem się bezpośrednio z Urzędu Bezpieczeństwa do mieszkającego opodal pana Maksymiliana.

Natychmiast po przywitaniu się ostrzegłem go, żeby się liczył z każdym swym słowem, jestem bowiem konfidentem Urzędu Bezpieczeństwa. Pan Maksymilian przeraził się tym bardziej, że dowiedział się ode mnie o zamiarze władz aresztowania go. Staruszek zupełnie stracił głowę. Po opanowaniu się zapytał co ma zrobić, na co ja poradziłem przystąpić bez straty czasu do sporządzania raportu z odbytej z nim prowokacyjnej rozmowy.

Po dwóch godzinach mieliśmy gotowe, ciężko wypracowane, sprawozdanie z fikcyjnej rozmowy, z którego wynikało, że "co prawda młode władze radzieckie popełniają jeszcze szereg błędów, lecz to jest spowodowane brakiem tradycji administrowania i brakiem doświadczenia działaczy społeczno-politycznych. Co teraz będzie po zerwaniu stosunków dyplomatycznych z Rządem Londyńskim? Czyba władza radziecka nie zostawi nas na pastwę losu, lecz przyjdzie z pomocą" i t.d. i t.p. Staraliśmy się obydwaj o to, by rozmowa miała pozory rzeczywistej i szczerzej, lecz ty nie dawała podstaw do aresztowania rozmówcy.

Z gotowym raportem i z triumfalną miną zjawiłem się znów przed obliczem kierownika urzędu, który po przeczytaniu go wezwał wartownika, każąc mu zamknąć mnie na powrót w piwnicy. Wykrzykiwał przy tym, że za takie oświadczenia należałoby rozmówcę obdarzyć nagrodą stalinowską, a nie aresztować.

Następnego dnia znów zostałem przyprowadzony do kierownika, który zapowiedział mi następną rozprawę sądową. W odpowiedzi zacząłem mówić z uniesieniem, że jestem gotów nawet na karę śmierci tylko, że nie wiem za co mnie spotykają takie prześladowania, że ja wykazałem się dobrą wolą i wykonałem powierzone mi zadanie, a że Pełnomocnik Rządu Polskiego w Londynie nie okazał się szpiegiem, to już w tym nie widzę swojej winy. Kazano mi rozmawiać - więc rozmawiałem. Kazano zanotować treść rozmowy i to również wykonałem, ale nie mogę przecież ponosić odpowiedzialności za słowa wypowiedziane przez inną osobę. Skąd można wiedzieć, może mój rozmówca nie miał do mnie zaufania i nie chciał szczerze ze mną rozmawiać, może wykonał prowokację, a może w ogóle jest niewinnie posądzony o szpiegostwo? Jakże można mnie czynić za to odpowiedzialnym, gdy swoje zobowiązanie wykonałem, udowadniając tym chęć współpracy, a w każdym razie nie sprzeciwiania się władzy.

Moja przemowa odniosła ten skutek, że kierownik zaczął do mnie przemawiać nieco łagodniej. Kazał mi podziwiać swą cierpliwość i dobroć, polecał mi bowiem znów wypuścić na wolność, pod warunkiem jednak, że dokonam jeszcze jednej próby sprowokowania Pełnomocnika Rządu do wrogich wypowiedzi. Polecił mi udać się do rodziny, a po tygodniu znów zjawić się u szpiega, po czym dostarczyć notatkę z przeprowadzonej z nim rozmowy.

Po opuszczeniu Urzędu natychmiast udałem się do pana Maksymiliana upraszając go o zamierzonej wizycie w przyszłym tygodniu i prosząc, by tak zorganizował swe życie, bym go nie zastał w domu. Następnie powróciłem pieszo do odległego o 37 kilometrów swego kołchozu, w którym zastałem opiekujących mnie matkę i żonę.

Po tygodniu, w liczonym towarzystwie znajomych, udałem się do powiatowego osiedla, by wspólnie odwiedzić pana Maksymiliana. Drzwi jednak zastałyśmy zamknięte na dużą kłódkę, a na ścianie kartkę wyjaśniającą, że udał się na przesiadkę kilku dni do sąsiednich kołchozów w poszukiwaniu soli.

Zaczekałem się przed budynkiem Urzędu Bezpieczeństwa i czekałem aż zgągnie światło w gabinecie Kierownika Urzędu, po czym poszedłem tam prosząc o samemu mnie Kierownikowi. Gdy mi powiedziano, że już wyszedł i będzie dopiero następnego dnia, poleciłem powtórzyć, że pytał o niego "klewiernyż", po czym udałem się do domu.

Po tygodniu, o zachodzie słońca, podjechała do naszego mieszkania kuzynka, a powołujący mętoszyna zawiadomił, że przyjechał po mnie, by mnie odwiedzić do siedziby gminy, gdzie czeka na mnie kierownik powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa.

Wciążem czystą ciepłą bielizną, pożegnałem się z matką i żoną i zapatrzyony na drogę w bochenek chleba i kawałek słoniny udałem się bryczką na spotkanie. Ku memu zdziwieniu i zaskoczeniu kierownik rozmawiał ze mną bardzo grzecznie i nie miał mi za złe, że nie uzyskałem możliwości przeprowadzenia drugiej rozmowy z domniemanym szpiegiem.

Polecił mi nie pracować przez pewien czas w kołchozie i poinformował, że wkrótce przybędzie do kołchozu i będzie wywać na rozmowy wszystkich opieszających w pracy, a między innymi wezwie również mnie. Prosił żebym na ten czas przygotował raport z rozmowy, której jeszcze dotąd nie zdążyłem zrealizować. Nieoczekiwanie dla samego siebie byłem wolny, udałem się więc pieszo do odległego około 20 kilometrów swojego kołchozu.

W ciągu najbliższych dni odwiedzałem imnych przesiedleńców, których prosiłem o rozmowne opowiadanie o mnie niestworzonych rzeczy, by wyrobić powszechne umiemanie, że jestem niespełna rozumu. Sam błagałem po wsi podskakując i wykrzykując różne niepoważne wierszyki i słowa bez związku.

Gdy poszedłem do pracy w kołchozie i kopałem dół zacząłem się przechwalać, wobec kopających obok mnie zamężnych kobiet, że jestem mężczyzną na schwał, czego dowodem może być coś, co noszę w spodniach, po czym wyciągnąłem przez rozperek od spodni obciążoną skórą, główkę od pasa przeciwprzepuklinowego. Kobiety piszczały, śmiały się i w końcu zapytały mnie dlaczego to jest takie żółte. "To wy nie wiecie, że polscy panowie noszą skórzaną rękawiczkę nie tylko na rękach?", brzmiała moja odpowiedź, która wywołała następny wybuch śmiechu. W ten sposób starałem się stworzyć wokół siebie atmosferę niesamowitości.

W dniu przyjazdu kierownika Urzędu Bezpieczeństwa, który zatrzymał się u miejscowej felczarki, położyłem się w ubraniu na łożku, a moja żona stłukła pęknięty już talerz i skorupy rozsypała po podłodze, po czym pobiegła po felczerkę prosząc ją o zbadanie mnie. W drodze opowiedziała jej, że po ostatnim pobycie w siedzibie władz powiatowych wróciłem jakiś nieswój, po czym zacząłem zdradzać objawy zaburzeń psychicznych, dziś natomiast awanturowałem się w mieszkaniu, po czym straciłem przytomność.

Gdy do chatki weszła żona i felczarka wyciągnąłem się sztwno na łożku i postawiłem oczy w świąt obserwując jakiś punkt na suficie. Na zapytania felczarki nie odpowiadałem wcale, a gdy ta pochyliła się nade mną, gwałtownie się śmiejąc się wydając ustami ochrypłe, bulgoczące dźwięki.

Kobieta przestraszyła się, pisała cienkim głosem i szybko opuściła naszą izbę. Z bicia serca czekałem co nastąpi dalej. Znajomi dyskretnie informowali mnie o przebiegu wydarzeń.

Kierownik Urzędu wykwał przez umyślnego poszczególne osoby do siebie na rozmowy, mnie jednak nie wezwał, po czym opuścił kołchoz. Odetchnąłem z ulgą. Miałem około miesiąca spokoju, po czym znów zostałem wezwany do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa, w którym oznajmiono mi grzecznie, że jestem kandydatem na przewodniczącego zarządu powiatowego Koła Związku Patriotów Polskich, do którego należałem.

Żdziwiło mnie to więc powiedziałem, że o ile wiem jest to obieralne stanowisko, lecz zostałem natychmiast zapewniony: "proszę się nie niepokoić, was wybiorą". Było mi to bardzo nie na rękę, żądano bowiem ode mnie natychmiastowego przeniesienia się do osady będącej siedzibą władz powiatowych, a ja przecież miałem w swoim kołchozie własnoręcznie wybudowany dom-ziemiankę, w piwnicy około tony kartofli, a przed mieszkaniem 15 arów uprawnej ziemi.

Szkoda mi było porzucać takie gospodarstwo. Grałem więc na zwłokę prosząc o jak najdłuższy okres ozasu na likwidację swych spraw w kołchozie. Uzyskałem zgodę na przeniesienie się w przeciągu najbliższego miesiąca. Na razie polecono mi obejść pieszo wszystkie kołchozy tego powiatu w celu osobistego poznania przebywających w nich członków Związku Patriotów Polskich.

Zaopatrzone mnie w listę wsi, z wymienionymi nazwiskami zamieszkujących je przesiedleńców z 1940 roku i polecono przy każdym nazwisku postawić plus, bądź minus. Plus oznaczał oskowieka o lewicowych przekonaniach, przychylnie ustosunkowanego do socjalizmu, natomiast minus oznaczał reakcjonistę. Upierzono mnie, że moje oznaczenia nie będą wykorzystywane dla jakichkolwiek represji wobec obywateli oznaczonych przeze mnie znakiem minus, lecz jeżeli ktokolwiek, oznaczony przeze mnie plusem, postępowaniem swym wykaże w przyszłości, że jest reakcjonistą, to zamiast niego mnie pociągną do odpowiedzialności za umyślne wprowadzenie władzy w błąd.

Polecono mi również bezwzględnie porozumieć się z pewną panią mieszkającą w sąsiednim kołchozie, która również jest kandydatką na członka zarządu powiatowego Koła Związku Patriotów Polskich.

Znałem tę panią i miałem o niej opinię jak najlepszą - wiedziałem, że jest dobrą Polką i przyzwolitym człowiekiem. Gdy się z nią spotkałem wówczas ze znajomości w cieniu wymazała mi, że kilka dni temu została wezwana do Urzędu Bezpieczeństwa, gdzie wymuszono na niej podpisanie zobowiązania współ-

pracy, po czym polecono jej notować dosłownie przebieg każdej rozmowy ze mną. Prosiła mnie o pomoc i radę. Trudno mi było myśleć o pomocy komuś, gdy sam jej gwałtownie potrzebowałem. Poradziłem jej wypróbowany już sposób wspólnego ułożenia raportu z przebiegu rozmowy ze mną. W raporcie tym z entuzjazmem mówiłem o przyszłej działalności społecznej w zarządzie związk.

W następnej swej rozmowie z kierownikiem Powiatowego Urzędu dowiedziałem się, że jako przewodniczący zarządu mogę działać, jak tylko mi się podoba, będę jednak obciążony obowiązkiem przysyłania sprawozdań z przebiegu obrad plenarnych oraz obrad i działalności zarządu Koła. Na moje zapytanie, co robić gdybym został powołany do t.zw. "armii pracy" kierownik polecił niezwłocznie dać mu o tym znać i wówczas on mnie obroni przed jakąkolwiek mobilizacją, jestem bowiem potrzebny im na miejscu.

Po powrocie do siebie natychmiast skierowałem pismo do placówki wojskowej, z której uprzednio otrzymałem wezwania mobilizujące do "armii pracy". W piśmie tym donosiłem, że jestem inżynierem i proszę o zatrudnienie mnie w/g moich kwalifikacji fachowych. W odpowiedzi zawiadomiono mnie, że próby mej chwilowo spełnić nie mogą, werbunek bowiem do prac został już zakończony, można natomiast ochotniczo zapisać się do organizowanego właśnie Pierwszego Korpusu Polskich Sił Zbrojnych w Związku Socjalistycznych Republik Radzieckich.

Wiele nie namyślając się zgłosiłem się natychmiast i w ten sposób umknąłem z opętujących mnie siatek, jeszcze zanim potrafiono wymusić na mnie jakikolwiek czyn niezgodny z moim sumieniem i wpojonymi przez rodziców zasadami moralnymi.

Dzisiaj po kilkudziesięciu latach zdaję sobie sprawę z tego, że opisane perypetie z ówczesnymi miejscowymi władzami były dla mnie najczarniejszymi dniami mego życia i stały się powodem pojawienia się przedwczesnej siwizny na skroniach.

Stało się to dla mnie poważną przestrogą na całe życie, by nigdy i nigdzie nie wysuwać się na czoło, nie zajmować odpowiedzialnych stanowisk, nie być, broń Boże jakimkolwiek duchowym, czy faktycznym przywódcą jakiegokolwiek grupy osób i w ogóle starać się być szarym człowiekiem nie zwracającym na siebie niczyjej uwagi.

Jednocześnie zdaję sobie sprawę z tego, że wówczas władzom zależało na unieszkodliwieniu mnie, jako człowieka przeciwstawiającego się ówczesnej polityce tych władz, nie zależało natomiast na zniszczeniu mnie, względnie slikwidowaniu, jako wrogiej jednostki.

W gruncie rzeczy działaniem tylko w obronie własnej, może nieco zbyt energicznie możliwe, że pod wpływem dziedzicznego obciążenia, szlachta bowiem polska od dawna znana była z warcholstwa, niesubordynacji i z indywidualnego, subiektywnego i emocjonalnego podejścia do zagadnień życiowych, czego przykładem może być choćby taka komedia Fredry jak "Zemsta za mur graniczny".

I jeszcze jedną naukę wyciągnąłem z tych ciężkich dla mnie tarapatów życiowych, a mianowicie tę, że w żadnej sytuacji nie należy przeciągać struny i że największą umiejętnością życiową jest umiejętność utrzymania we wszystkim umiaru. Z drugiej jednak strony moim zdaniem i władza również powinna w miarę możliwości unikać napięć spowodowanych zbyt daleko posuniętymi nakazami i zakazami powodującymi w następstwie konieczność stosowania ostrych represji, których można było uniknąć drogą tego samego umiaru stanowiącego moim zdaniem główny atrybut kultury.

Wydaje mi się, że w stosunkach międzyludzkich należy, gdzie tylko jest możliwe starać się ograniczać do rad i wskazówek. Zasadę tę zresztą zastosowałem przy wychowaniu swej córki - jedynaczki i to z zupełnie zadowalającym wynikiem.

SIELCE NAD OKĄ, DROGA NA FRONT I PIERWSZE BOJE

Gdy zgłosiłem się do punktu werbunkowego ochotników do Polakich Sił Zbrojnych w ZSRR, zgolono mi imponującą brodę oraz wasy i włosy na głowie, zaopatrzone w suchy prowiant na pięć dni podróży, po czym pod opieką jakiegoś cywilnego obywatela rosyjskiej narodowości pojechałem pociągiem, wraz z kilkunastu innymi chętnymi, do wojska - w kierunku zachodnim do europejskiej części Związku Radzieckiego.

Zaraz, pierwszego dnia, zjadłem cały zapas prowiantu, składający się z bochenka chleba wagi 2,4 kg, szklanki koncentratu grochówki oraz około kilograma wędzonej ryby; był to swego rodzaju rekord obżarstwa. Pozostałe cztery dni podróży musiałem przetrwać odżywiając się wyłącznie czarną kawą zbożową i gorącą zupą.

W podróży tworzyliśmy podejrzenie wyglądającą bandę ułanów w lachmany, każdy bowiem wziął ze sobą jak najlichsze ubranie i obuwie, pozostawiając swoje codzienne ubranie rodzinom w charakterze środka obrotowego w handlu zamiennym.

Przywieziono nas w okolice wsi Sielce nad rzeką Oką, gdzie obszerny kawał piaszczystego terenu porośnięty sosnowym lasem był ogrodzony i zaopatrzone w prowizoryczną, wejściową, drewnianą bramę triumfalną ozdobioną orłem polskim i jakimś napisem w rodzaju "Witamy bojowników o wolność". Za bramą w lesie stało parę namiotów, a przed nimi na świeżym powietrzu stół, przy którym siedział jakiś podoficer.

Ustawiliśmy się w kolejkę, po czym po dostaniu się przed oblicze podoficera, każdy odpowiadał na kilka zadanych mu pytań. Ja, sparzony na smutnych skutkach zbyt wojowniczej i aktywnej postawy, postanowiłem dmuchać na zimne, co wyraziło się tym, że na zapytanie o wykształcenie odpowiedziałem - "pięć klas szkoły powszechnej", a na zapytanie o zawód - odpowiedziałem bez zająknięcia się - "kował". Dostałem przydział do dziewiątej baterii, pierwszej brygady artylerii ciężkiej. Polecono mi i kilku innym kandydatom na wojaków zameldować się u innego podoficera, który bez zwłoki wręczył nam szpadełki i kazał kopać dół na ziemiankę.

Była to wczesna jesień 1942 roku. Bez trudu wykopaliśmy w suchym piasku obszerny i płytki dół, po czym uzbrojeni w siekiery i piły, pod kierownictwem podoficera - wkopaliśmy szereg słupów biegnących środkiem dołu, a następnie urządziliśmy z nieokorowanego drzewa stromy dach pokrywając go gałęziami i przysypując ziemią.

Następnie wzdłuż zbudowanego w ten sposób namiotu - siemianki, po obydwóch jego stronach, ustawiliśmy prowizoryczne łóżka pozostawiając w środku szerokie przejście. Łóżka składały się z szeregu kołków wbitych w ziemię, na których zostały ułożone żerdzie. Łóżka więc takie, zamiast materaców, miały przylegające do siebie cienkie, nieokorowane żerdzie, na których bezpośrednio spało się. Niestety wystające resztki uciętych gałęzi i sęki poważnie dokuczały wpijając się w plecy, bądź w boki śpiących.

Jeszcze nas nie umundurowano, a już ćwiczone z nami musztrę. Zaraz, pierwszego dnia, wyznaczony zostałem do służby w kuchni polowej. Służba taka trwała dobę i polegała przede wszystkim na skrobaniu wprost niesamowitej ilości kartofli. Przy tym mieliśmy pozwolenie picia zupy z kotła w dowolnej ilości, nie wolno natomiast było jeść żadnej gęstej stawy.

Zaopatrzyłem się w dwulitrową menażkę, którą przez cały czas służby czerpałem zupę z kotła. Wygodniały w drodze - w sumie wypilem w ciągu doby pięć menażek zupy, to znaczy łącznie około dziesięciu litrów płynu. Naturalnie tak byłem pełny, że nie mogłem schylać się, by sięgać po kartofle do skrobania, musiałem więc wykonywać przysiady zachowując pionowe położenie tułowia. Przy okazji kilka dużych oskrobanych kartofli wrzuciłem pomiędzy łupiny, po czym wyrzuciłem je pod krzak na dworze.

Następnej nocy po służbie odnalazłem odłożone kartofle, które w międzyczasie zdążyły już zmarznąć. Rozpaliłem ognisko i ugotowałem całą menażkę kartofli, które natychmiast zjadłem, pomimo braku jakiegokolwiek okrasu, a nawet soli.

W międzyczasie w naszej ziemiance zaistalowano żeliwny piecyk, a nam wydano bieliznę osobistą i pościelową, ręczniki i mydło oraz nowe mundury i obuwie. Specjalne zainteresowanie wzbudzały w nas orzełki piastowskie, które żartobliwie nazywaliśmy "kurami na jajkach" oraz buty z cholewami, podszewy bowiem były gumowe, przyszwycy ze świnińskiej skóry, a cholewy z brezentu.

Co rano i co wieczór ustawieni w dwuszerę odmawialiśmy modlitwę i śpiewaliśmy "Rotę". Co niedziela odprawiana była przez wojskowego kapelana msza święta, przy ołtarzu ustawionym w lesie. Oprócz musztry szkolenie polegało na wysłuchiwananiu bardzo inteligentnie i ciekawie prowadzonych pogadań o tematyce polityczno - społecznej.

Wciąż przybywało coraz to więcej rekrutów. Oficerów prawie się nie widziało, za to rej wodził przedwojenni zawodowi podoficerowie, którzy byli wzorem cnót i tradycji żołnierskich, nie tylko dla nas rekrutów, lecz i dla oficerów, którzy poprzemienieni zostali do nas z Armii Czerwonej.

Byli to w równych częściach Rosjanie, o nazwiskach kończących się na "ski", Żydzi z Polski i rodowici Polacy.

Szef naszej baterii upatrzył sobie i skłonił mnie do zajęcia formalnie nieistniejącego stanowiska Sekretarza Szefa Baterii. Przekomicznie wyglądałem biegnąc za szefem - zaopatrzony w podręczną małą walizeczkę z dokumentami ewidencyjnymi baterii i z sznurkami u szyi, na końcach których dyndały się ołówki, gumka i ekierka. Naturalnie przyjęte przeze mnie obowiązki automatycznie zwalniały mnie z wszelkich ćwiczeń, musztr i szkolenia.

Po dwóch miesiącach skład osobowy brygady był już skompletowany, umundurowany i uzbrojony w ręczną broń, a ja miałem ocoraz to mniej pracy polegającej na wyręczaniu szefa baterii ze sporządzenia wszelkich raportów i zestawień ilości sortów mundurów, żywności i t.p. W międzyczasie awansowałem z kanciera na bombardiera uzyskując na naramiennikach po tak zwanej "jednej belce".

Nadeszły opaniki i działa. Ciągniki były amerykańskiego pochodzenia. Działa kalibru 122 milimetry posiadały lufy długości 5 m 60 cm, a ich zasięg wynosił 20 km i 400 m. Pociski składały się z właściwego pocisku, osobno przechowywanej łuski naładowanej prochem w postaci długich prętów i z dodatkowych worczków z prochem, służących do zwiększenia zasięgu działa. W czasie transportu ławetą należało "złożyć" a lufę cofnąć w celu zmniejszenia szerokości i długości działa. Dostosowanie działa do transportu, bądź do strzelania wymagało sporej ilości czasu.

Każdą baterię podzielono na trzy plutony, dwa bojowe, obsługujące działa i jeden kierowniczy, którego zadaniem było prowadzenie ognia, to znaczy wykrywanie celów po nieprzyjacielskiej stronie frontu i obliczenia danych niezbędnych do trafienia do celu oraz na wprowadzaniu w trakcie strzelania poprawek do uprzednio obliczonych danych, w celu skorygowania celności strzelania.

Wcielono mnie właśnie do plutonu kierowniczego. Przed tym jednak polecono zgłaszać się kandydatom na prowadzenie szkolenia z topografii. Zgłosiły się trzy osoby, a w ich liczbie i ja. Po przeegzaminowaniu nas przez oficera zostałem wyznaczony na wykładowcę topografii. Powierzono mi jednocześnie prowadzenie praktycznych ćwiczeń z dziedziny topografii. Jako geodeta znałem ten przedmiot i umiałem doskonale posługiwać się mapą w terenie. Szkolonych żołnierzy podzieliłem na grupy po 50 - 60 osób, ćwicząc z nimi kolejno, po parę godzin dziennie z każdą grupą.

Wkrótce zostałem awansowany na kaprała i mianowany dowódcą drużyny topograficznej. Pluton składał się z kilku drużyn, z których moja była osobliwa bo tylko trzyosobowa, przy czym wszyscy członkowie tej drużyny byli ludźmi z wyższym wykształceniem. Jak z tego wynika nie tylko ja zatałem swój cenzus wykształceniowy.

Pewnego dnia zaalarmowano nas, że Niemcy nieoczekiwanie przerwali front i my będziemy użyci dla "zatkania dziury", to jest do zatrzymania nacierającego wroga. Byliśmy bardzo przejęci tą okolicznością.

W pośpiechu załadowano nas na samochody ciężarowe i wywieziono w nieznanym kierunku, po czym wysadzono w szczerym polu. Była wówczas sroga zima. Pierwszy raz zdarzyło mi się nocować w śniegu pod cienkim namiocikiem z tak zwanej "płaszcz - pałatki". Kawałek ochyba jedwabiu ochronnej barwy służyło jednocześnie, zależnie od potrzeby, bądź za pelerynę, bądź też za jednoosobowy namiot.

Zmarłem tej nocy niesamowicie, co godzinę wstawałem i biegałem w kółko dla rozgrzewki, po czym kładłem się i natychmiast zasypiałem, by po godzinie obudzić się skostniały i drżący z zimna, miało to bowiem miejsce około Nowego Roku. Jak się później okazało były to tylko ćwiczenia i po dwóch dniach powróciliśmy do swego obozu w lesie nad Oką. Przy sposobności zauważyłem, że w czasie dłuższych pieszych przemarszów w pełnym uzbrojeniu kolumna rozciągała się na długość około kilometra, a ja z reguły byłem w ogonie kolumny. Sytuacja radykalnie się zmieniła, gdy zacząłem odkładać suchary z razowego chleba, które od czasu do czasu otrzymywaliśmy zamiast świeżego pieczywa. Gdy tylko ruszałem w kolumnie marszowej, natychmiast zaczynałem jeść zgromadzone suchary. Skutek był taki, że bez wysiłku, stałem kroczyłem na czele. W tym czasie sprzedałem swój złoty zegarek za dwa tysiące rubli, które wydałem w ciągu kilku miesięcy pobytu w lasach sieleckich, na placki kartoflane, sprzedawane nam przez ludność pobliskiej wsi.

Wkrótce wysłano nas w ramach ćwiczeń w okolice Smoleńska na front, na ostre strzelanie. Bateria ulokowała się na rozległym wzgórzu w kształcie wału, u podnóża którego w dolinie płynęła jakaś rzeczka. Po drugiej stronie doliny byli Niemcy odlegli od nas około 2 - 3 kilometrów. Działa zostały w nocy podciągnięte na szczyt wału i tam ustawione i okopane. Lufy wspaniale i groźnie sterczały w górę.

O świcie zauważył nas nieprzyjaciel i zanim zdążyliśmy pomyśleć o jakiegokolwiek działalności bojowej zostaliśmy ostrzelani przez niemiecką artylerię. Jeden z pocisków upadł o jakieś dwa metry od miejsca, w którym leżałem, lecz na moje szczęście był to niewypał. Gdyby nie sabotaż na tyłach wroga,

któremu należy zawdzięczać bardzo wysoki procent niewypałów wśród pocisków niemieckich, zginęłoby wiele osób z naszej jednostki, odeszło się jednak tylko strachem. Naturalnie pośpiesznie wycofaliśmy się z tak nieopatrnie zajętej pozycji i wróciliśmy do swoich podmiejskich lasów w niezbyt wesołych nastrojach.

Wkrótce wyruszyliśmy na front. Gdy o zmierzchu działa ładowane na platformy wagonów zobaczyłem bardzo malownicze zjawisko. Zainstalowane w pobliżu karabiny maszynowe zaczęły strzelać w niebo kolorowymi, świecącymi pociskami, które biegały po ciemnym niebie, jak ruchome perełki, goniąc się wzajemnie i tworząc czerwone i zielone smugi.

Zapatrzyłem się na ten barwny korowód gwiatełek i nawet nie spostrzegłem, gdy nad peronem pojawiły się bardzo nisko lecące dwa samoloty niemieckie, strzelając z karabinów maszynowych i zrzucając lekkie bomby. Ogarnął mnie paniczny strach, więc zamiast paść na ziemię uciekałem co tchu jak najdalej od zagrożonego peronu, narażając się tym samym na działanie kul i odłamków bomb lotniczych. Zdążyłem się okropnie, więc po przebiegnięciu kilkudziesięciu metrów padłem w głęboki śnieg, w którym stopniowo odhконаłem z początkowego przerażenia.

Wkrótce pociąg ruszył. Jechaliśmy tylko nocami. Żołnierzy umieszczono w krytych towarowych wagonach, a samochody, ciągniki i działa na platformach. W drodze pełniłem służbę rozprawdzającego warty, każde bowiem działo pilnowane było przez wartownika odzianego w kożuch i buty filcowe.

Otóż w drdże przydarzyło się kilka interesujących wydarzeń. Wartownik pilnujący działa na ostatnim wagonie pociągu w czasie jego biegu spuścił spodnie i przykucnął na brzegu platformy. Nieoczekiwanie pociąg szarpnął, a wartownik stracił równowagę i spadł na tor. Wobec tego, że był on w obszernym i miękkim kożuchu, więc nie potknął się przy upadku, momentalnie zerwał się i próbował gonąć pociąg, naturalnie bez skutku. Na jego szczęście wkrótce pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji na nieco dłuższy postój i wówczas zgubionemu wartownikowi udało się go dopędzić.

Następnym interesującym wydarzeniem było wykołajenie się kilku wagonów w czasie biegu pociągu. Akurat wówczas jechałem wraz z wartownikiem na jednej z platform. Działo miało podłożone drewniane kliny pod koła i było mocno przywiązane drutami do obudowy wagonu. W pewnej chwili, gdy wagon zeskokczył z szyn i zaczął jechać po podkładach, nastąpił szereg gwałtownych wstrząsów, które spowodowały zerwanie drutów uderzających działo. Powierzchnia platformy wichrowała się, a budka dla wartownika pochyliła się, działo zaś zaczęło poruszać się gwałtownie kiwając lufą z wielką siłą na wszystkie strony.

Trudno było utrzymać równowagę, a trzeba było wciąż wykonywać uniki przed poruszającą się lufą działka. Na nasze szczęście pociąg zatrzymał się, przy czym cztery wykolejone wagony tylko kilkadziesiąt metrów oddzielało od betonowego przepustu, który mógł spowodować upadek wagonów z wysokiego nasypu.

Mielśmy wyjątkowe szczęście, bo i tym razem znów obeszło się bez ofiar w ludziach. Wiele godzin minęło zanim udało nam się doprowadzić skład transportu do dalszego podróżowania. Początkowo pociąg odszedł pozostawiając wagony wykolejone i dalsze. Następnie telefonicznie zaalarmowano odpowiednią placówkę, która przysłała skipę ratowniczą z dźwigiem.

Gdy jechaliśmy wzdłuż frontu, z północy na południe, wówczas dowiedzieliśmy się o bohaterskiej obronie transportu polskiej artylerii przeciwlotniczej zaatakowanej przez lotnictwo niemieckie. Nas pouczono, że w przypadku nalotu pociąg zatrzyma się, by umożliwić nam opuszczenie wagonów i rozpierszenie się po okolicznych polach.

Wkrótce pociąg nasz zaczął gwałtownie hamować a karabiny maszynowe umieszczone na dachach niektórych wagonów rozpoczęły szaloną strzelaninę. Przygotowywaliśmy się do opuszczenia wagonu, gdy obok niego upadła bomba lotnicza. Usłyszałem ogłuszający huk i w tejże chwili poczułem silne uderzenie z boku w kolano prawej nogi. Przewróciłem się, światło w wagonie zgasło, więc nie wiedzieliśmy co się stało. Obmacałem ręką kolano, lecz nie stwierdziłem, ani żadnego postrzępienia spodni, ani też upływu krwi. Uspokoilem się nieco i spróbowałem się podnieść, lecz noga odmówiła mi posłuszeństwa. Wszyscy w pośpiechu opuścili wagon, a ja peknąc po podłodze doczołgałem się do drzwi, po czym wypadłem z wagonu do rowu przy torze.

Po nalicie, gdy wszyscy żołnierze wrócili do wagonów, zacząłem przeraźliwie krzyknąć wzywając pomocy. Podnieśli mnie koledzy i ułożyli w wagonie. Okazało się, że po wybuchu bomby pęd powietrza oderwał kawałek deski z poszycia wagonu i deska ta swą płaszczyzną uderzyła mnie w kolano. Kontuzja okazała się poważna.

W Żytomierzu wyładowano mnie i przekazano do szpitala dla lekko rannych żołnierzy Armii Czerwonej. Wzięto mi nogę w gips unieruchamiając kolano. Chodziłem o kulach. Po kilku tygodniach zdjęto gips z nogi, po czym naświetlono mi kolano lampą kwarcową i stosowano gimnastykę rehabilitacyjną.

W czasie mego pobytu w szpitalu przypadły Święta Wielkanocy. Była to najsmutniejsza Wielkanoc w moim życiu, byłem bowiem jedynym Polakiem wśród rosyjskich żołnierzy - bezbożników, nie uznających świąt kościelnych.

Któregoś dnia jeden z żołnierzy, rannych odłamkiem w tyłek, upił się i zaczął się awanturować. Wpadł na podwórze i bił innych rannych. Uderzył pięścią obandażowaną głowę rannego.

Ja natychmiast pokuśtykałem o kulach do wklęsłego narożnika budynku, gdzie oparłem się plecami o ścianę i kulą bronikiem dostępu do siebie. Udało mi się obronić od furiata, który porwał na sobie szpitalny szlafrok i wyskoczył nago na ulicę. Kobiety narobiły krzyku, na który przybiegło kilku sanitariuszy, po czym złapali i unieszkodliwili pijaka. Na zlecenie lekarza przywiązano go do krzeselka, które przedstawiono pod prysznic z zimną wodą. Gdy delikwent zupełnie otrzeźwiał i dzwonił z zimna zębami, uwolniono go z tej przymusowej zimnej kąpieli.

Po kilku tygodniach pobytu w szpitalu skierowano mnie na komisję lekarską, która przeniosła mnie do pierwszego zapasowego pułku piechoty. Bardzo mi się nie podobało w nowej jednostce, żołnierze której odżywiani byli w sposób daleko gorszy niż w mojej macierzystej brygadzie artylerii. Wręczono nam szpadle i polecono odszniezać pobliską ezosę.

Któregoś dnia szosą tą przejeżdżał samochód sanitarny z mojej brygady artylerii. Jadący nim felczer poznał mnie, więc polecił kierowcy zatrzymać się na chwilę, by móc zamienić ze mną kilka słów. Dowiedziałem się, że brygada stacjonuje około 60 kilometrów na wschód i że lada dzień wyruszy na front. Skorzystałem więc z okazji i po prostu zdezerterowałem z piechoty udając się na własną rękę sanitarką do swojej baterii, gdzie zameldowałem powrót ze szpitala kłamiąc, że odpowiednie dokumenty zostaną przesłane w najbliższych dniach, po czym objąłem dowództwo swojej dwuosobowej drużyny topograficznej.

W ciągu najbliższych dni ruszyliśmy samochodami w kierunku frontu. Działa ciągnęły ciągniki, poruszały się więc wolniej i przybyły na miejsce z kilkudniowym opóźnieniem. Jechałem samochodem ciężarowym wiozącym amunicję. Podróżowaliśmy, jak zawsze tylko w nocy.

Któregoś poranka, po smacznie przespanej nocy, wygrzebałem się spod plandeki przykrywającej skrzynki z pociskami i rozejrzałem się dookoła. Samochód stał w alejce wysadzonej świerkami, prowadzącej do podpartego kolumnami garażku, bielonego dworku krytego blachą. Zrozumiałem, że znów znajduję się na dawnym terenie Polski i serce zabiło mi szybciej. Po dwuletniej tułaczce na obczyźnie znów znalazłem się w dobrze znanych mi okolicach.

Wkrótce w nocy zajęliśmy pozycje nad Bugiem. Nasze działa okopały się osiem kilometrów od brzegu rzeki, pluton zaś kierowniczy ulokował się na punkcie

obserwacyjnym na samym brzegu. Po drugiej stronie rzeki znajdowali się Niemcy, należało więc zachować daleko posuniętą ostrożność. W nocy więc wykopaliliśmy w łycie trzy ziemianki, jedną służącą za mieszkanie dla oficerów, dowódcy baterii i dowódcy plutonu, drugą dużą dla żołnierzy, a trzecią, nieco wysuniętą do przodu, stanowiącą właściwy punkt obserwacyjny. Miała ona zrobione w suficie okno przez które została wysunięta lorneta nożyczowa składająca się z dwóch lunet peryskopowych, pozwalających na obserwację przedpola z ukrycia i dających stereoskopowy obraz terenu.

W nocy polecono mi udać się do stanowisk naszych dział i w sposób prowizoryczny ustalić ich usytuowanie na mapie topograficznej przez nakłucie szpilką tego miejsca. Po wykonaniu rozkazu wróciłem do swego plutonu. Było już widno, wobec czego wartownik, pod groźbą automatu, zmusił mnie do podczołgania się do śwych ziemianek, tak by nie zdradzić ich lokalizacji w terenie.

Po przeczolganii się, na przestrzeni około dwustu metrów, wpadłem do okopu, z którego już nie potrafiłem podnieść się o własnych siłach. Kontuzja bowiem kolana odnowiła się. Z patyka, którego jeden koniec owinałem szmatami, zrobiłem sobie prowizoryczną kulę umożliwiającą mi poruszanie się po okopie. Wiedziałem, że w ciągu tygodnia front ruszy do przodu, co zostanie poprzedzone przygotowaniem artyleryjskim. Nasz więc punkt obserwacyjny wyszukiwał niemieckich punktów oporu, stanowisk artylerii, moździerzy i gniazd karabinów maszynowych, które strzelając od czasu do czasu zdradzały tym swoje umiejscowienie w terenie. Rozumiąłem, że jeśli ofensywa się uda, wówczas nic nam nie grozi, w przypadku zaś jej załamania i konieczności cofania się - że mną może być bardzo kruczo, daleko bowiem o kuli nie zdołam uciec.

Któregoś dnia, gdy siedziałem na punkcie obserwacyjnym, pocisk artyleryjski rozzerwał się w odległości kilku metrów ode mnie. Na głowę posypał się deszcz piasku a przez otwór w suficie ziemianki wdarł się do środka pęd powietrza, zupełnie jak gdyby jakaś olbrzymia żywa istota chuchnęła z góry. Lorneta nożyczowa została kompletnie zniszczona odłamkami pocisku.

W tym też okresie czasu, już nie pamiętam dokąd i w jakim celu, szedłem w dzień dolinką pomiędzy wzgórzami. Szło nas wielu posuwając się gęsiego i tworząc długie, wijące się sznur żołnierzy. W pewnej chwili nadleciał nieprzyjacielski wyśliwiec, więc padliśmy wszyscy na siemię. Widocznie samolot dał znać o wykrytym przez siebie oddziale wojska, bo po chwili rozpoczęło się ostrzelanie nas z artylerii, która posyłała w naszym kierunku pociski za pociskiem w równych odstępach czasu.

Wobec tego, że byliśmy zasłonięci wzgórzem artyleria strzelała na ślepo, wynajdując nas w różnych miejscach. Każdy pocisk padał w innym miejscu.

Wkrótce czuło się w powietrzu zapach spalonego prochu. Systematycznie ostrzeliwanie trwało około dwóch godzin, w ciągu których musieliśmy bezradnie leżeć i czekać. Wykopłem leżąc płytkie zagłębienie w ziemi, do którego wsunąłem się. Martwiło mnie, że moje nogi pozostawały na powierzchni narażone na odłamki z eksplodujących wokół pocisków artyleryjskich.

Nigdy nie zapomnę tego odruchowego pragnienia zrośnięcia się z siemią, bądź zawałenia się pod ziemię, gdy z oddali nadbiegał odgłos wystrzału, a następnie słybać było ostry świst zbliżającego się pocisku. Najbardziej deprymującą działą sytuacją, w której nie ma się możliwości czynnego przeciwdziałania niebezpieczeństwu i gdy zachodzi konieczność zdania się na los szczęścia. Zanim więc sami przystąpiliśmy do akcji poznaliśmy na własnych skórkach wątpliwą przyjemność znajdowania się pod ostrzałem artylerii.

W kilka godzin przed terminem rozpoczęcia przygotowania artyleryjskiego otrzymaliśmy dokładny plan strzelania z określeniem poszczególnych celów, kolejności ich ostrzeliwania, ilości pocisków na każdy z nich, terminów krótkich przerw w strzelaniu, w celu ostudzenia rozgrzanych luf.

O oznaczonej godzinie ziemia zadrażała od huków wystrzałów wielkiej ilości artylerii różnego kalibru; moździerzy i katiusz zgromadzonych na stosunkowo krótkim odcinku frontu. Do akcji włączały się coraz to inne jednostki artyleryjskie. Przygotowanie artyleryjskie rozpoczęło się przed świtem i trwało łącznie około dwóch godzin.

Po wykonaniu zadania przez naszą brygadę ośmieliliśmy się wyjść z ukrycia w celu zaobserwowania skutków naszego ognia. Ze zdumieniem stwierdziłem, że poszczególne punkty obserwacyjne znajdowały się we wzajemnej odległości zaledwie od 20 do 50 metrów.

Z drugiej strony rzeki kotłowało się. Błyski wybuchów i przewalające się i unoszone w górę wybuchami pocisków grudy ziemi, krzewy i drzewa oraz jakieś deski i belki tworzyły obraz ciągłego ruchu i sprawiały wrażenie, że nie ma po prostu miejsca w polu widzenia, w które by nie ugodził choć jeden pocisk.

Ze strony Niemców nie odezwał się ani jeden wystrzał, wyglądało tak, jak gdyby teren za Bugiem był bezludny. My ośmieleni tym staliśmy zupełnie odłączając i podniesieni na duchu poczuciem własnej siły. W pewnej chwili oszczędzić artylerii umilkła a pozostała przerzuciła ogień na tyły wroga, a jednocześnie nasza piechota ruszyła do natarcia. Ze strony Niemców również rozpoczęła się strzelanina.

wobec czego pochowaliśmy się do okopów i ziemianek oczekując dalszego rozwoju wydarzeń.

W kilka dni później ruszyliśmy samochodami na zachód w kierunku Chełma i Lublina. Po drodze napotykaliliśmy duże ilości rozbitych i częściowo spalonych czołgów i samochodów oraz liczne trupy ludzkie i końskie. Część zwłok żołnierzy niemieckich leżących na szosie było wielokrotnie przejechanych przez czołgi i samochody. Zwłoki te przedstawiały sobą okropny wygląd. Na przykład głowa ludzka przybierała postać koła o promieniu około ćwierć metra i grubości 3 - 4 cm, z zachowanymi zniekształconymi rysami twarzy, spleaszczonych i poszerzonych.

W drodze, w czasie dłuższego postoju, polecono nam w nocy rozładowywanie samochodów z amunicją artyleryjską, którą składaliśmy w polu - skrzynie obok skrzyni, wielu warstwami tworząc w ten sposób półtorametrowej wysokości i kilkudziesięciu metrowej szerokości i długości prostokąty, położone w pobliżu szosy.

Wyładunek odbywał się w ciemności. Któryś z samochodów ciężarowych zjeżdżając z szosy włączył na chwilę reflektory. Natychmiast posłyszeliśmy warkot zbliżającego się samolotu, a następnie przeraźliwy świst powietrza spowodowany zrzuconiem bomby lotniczej. Wszyscy natychmiast rzucili się na ziemię w oczekiwaniu wybuchu, który jednak nie nastąpił.

Znów ocaliliśmy cudem, bomba bowiem spadła w odległości zaledwie kilku metrów od zgromadzonych pocisków i na nasze szczęście nie eksplodowała. Wybuch spowodowałby wielogodzinne rozrywanie się zgromadzonej amunicji, z czego z pewnością nikt nie wyszedłby żywy. Znajdowało się bowiem nas, żołnierzy i podoficerów, kilkadziesiąt osób w odległościach od pocisków nie przekraczających pięćdziesięciu metrów. Gdy zaczęło świtać odnaleźliśmy bombę i ogrodziliśmy ją prowizorycznym płotkiem z napisem "ostrożnie - niewypał". Była to krótka i gruba, betonowa bomba lotnicza.

W ciągu następnego dnia wyznaczono czteruosobową wartę do pilnowania zgromadzonej amunicji, przy czym dowódcą warty zostałem ja. Zakwaterowaliśmy się u gospodarza w najbliższej wsi. Skorzystałem ze sposobności, by nagromadzonej uprzednio przede mną zapas tytoniu wymienić na duży bochenek jeszcze gorącego, razowego chleba, który natychmiast z wielkim apetytem zjadłem.

Po godzinie musiałem rozpiąć spodnie i marynarkę, wzdęło mnie bowiem bardzo silnie. W przeciągu krótkiego czasu nie byłem już zdolny do głębokiego wdechu, a przy oddychaniu, niezależnie od mojej woli wydobywał się głos rżenia. Spróbowałem zmusić się do wymiotowania, lecz nie przyniosło mi to ulgi. Przesztraszyłem się nie na żarty i pobiegłem szosą do punktu sanitarnego.

W drodze gwałtownie poczułem, że mam rozstrój żołądka, więc natychmiast zbroczyłem z szosy biegnąc za najbliższą stodołę. Było już bardzo późno, pusto i ciemno. W pewnej chwili poczułem, że już nie dobiegnę, więc zatrzymałem się i przykucnąłem na ziemi ze spodniami w garściach. Poczułem ogromną ulgę.

Rozejrzałem się dookoła. Siedziałem prawie na progu chaty. Gdy już wstałem, doprowadziłem garderobę do porządku i odszedłem parę kroków, drzwi otworzyły się i wyszedł z nich jakiś mężczyzna w nocnej bieliźnie, który zrobił parę kroków przed siebie i wdepnął bosą nogą w ciepłe jeszcze pozostałości z przetrawionego przede mną świętego chleba. Nieznajomy zaklął i cofnął się do wnętrza chaty, ja natomiast, nie czekając na nic, poczułem szybko uciekać. W kilka chwil później usłyszałem dwa kolejne wystrzały z pistoletu i bryk świszczących obok mnie kul.

Ta dodatkowa kuracja ozdrowiła mnie całkowicie. Poczułem się lekki i silny, pędziłem do swej kwatery niczym sawadnik na łące. Znów miałem wiele szczęścia, bo ciemności nocy uchroniły mnie przed celnymi wystrzałami i przed dalszą pogonią.

Po kilku dniach ruszyliśmy dalej. W miastach entuzjastycznie witano nas obrzucając kwiatami i obdarzając uśmiechami. Licznie zebrana na ulicach ludność witała nas, a my uradowani przejeżdżaliśmy wolno przez zatłoczone ulice. Zatrzymaliśmy się dopiero w Puławach, gdzie zajęliśmy położone nad samą Wisłą, budynek Rolniczej Stacji Doświadczalnej. W obejściu znaleźliśmy duży dół betonowy napalony jajami kurzymi i zalany mleczkiem wapiennym. Przez następujących parę dni dożywialiśmy się jajkami w najrozmaitszej postaci.

Nasze wojska zajęły przyczółek po drugiej stronie Wisły, a sadaniem naszego dywizjonu artylerii było wsparcie ogniem walczącej piechoty. Na punkt obserwacyjny wybraliśmy pałac w starym parku nad samym brzegiem Wisły, z okien którego można było obserwować drugi brzeg rzeki. Po otwarciu przez nas ognia oficerowie sztabu dywizjonu zapomnieli o ostrożności i wszyscy wyszli na balkon, by lepiej widzieć skutki strzelania. Ja zapobiegliwie opuściłem zajmowany pokój ostrożnie wysuwając jedynie głowę poza futrynę drzwi.

Niemcy oddali dwa wystrzały z lekkiego działka, przy czym pierwszy trafił pod balkon, co spowodowało szybką ucieczką oficerów z balkonu do pokoju. W drzwiach utworzył się zator. Następny pocisk ugodził w balkon raniąc odłamkiem w udo ostatnią osobą opuszczającą balkon. Kolejni skapali rannego za ręce i powlekli przez pokój pod przeciwległą ścianę, gdzie go ułożono na podłodze.

Nieprzytomny ramy pozostawiał na sobie szeroki ślad krwi. Rosebrano go i próbowano opatrzyć ranę, wszystko to jednak było szędnę, bo oficer błąd jak ściana, poruszył kilkakrotnie ustami, jak wyrzucona z wody ryba i w ciągu następnej minuty zmarł z upływu krwi, odłamek bowiem przeciął arterię.

Miałem pierwszą w naszej jednostce śmiertelną ofiarę. Zmarły kapitan był ogólnie lubianym sympatycznym człowiekiem, lubiącym popić i pożartować. Został on pochowany z należnymi honorami wojskowymi, a nasza jednostka ruszyła dalej na zachód. Zatrzymaliśmy się dopiero na Pradze, gdzie zakwaterowaliśmy w wysokim budynku D.O. Kol. Państwa, przy ulicy Jagiellońskiej. Na dachu urządzono punkt obserwacyjny, a oficerowie i żołnierze naszego plutonu zajęli puste pokoje na różnych piętrach.

Najbliższej nocy słyszał mnie huk rokrzających się w pobliżu pocisków. W obawie przed osłabieniem się sufitu wkłożyłem na głowę stalowy hełm ochronny i ułożyłem się do dalszego snu pod solidnym szkłem. Rano stwierdziłem, że jeden z wybuchów pocisku artyleryjskiego urwał dużą betonową kulę ozdabiającą balustradę schodów wejściowych przed budynkiem i wrzucił ją przez okno do pokoju na drugim piętrze.

Wraz z dwoma kolegami chcieliśmy wyjść na chwilę na ulicę, by napić się piwa. Gdy byliśmy na wewnętrznym dziedzińcu posłyszeliśmy salwę moździerzową i świst lecących w naszym kierunku min. Natychmiast upadliśmy płackiem na ziemię. W chwili później usłyszałem huk wybuchów po czym poczułem, że moje plecy bombardowane są boleśnie uderzeniami dużej ilości odłamków. Ilość uderzeń w ciągu krótkiego czasu gwałtownie narastała.

Spróbowałem się poruszyć, a gdy stwierdziłem, że jest to możliwe, natychmiast skoczyłem na równe nogi, podbiegłem do okna sutereny, do którego obróciłem się tyłem, w celu wybitcia w nią sztyb plecami, po czym wpadłem do sętra. Na podwórzu nastąpiły wybuchy następnej salwy min, które zabiły jakiegoś kolejarza. Pierwsza partia pocisków trafiła w dach budynku, a wypiące się z wysoka skrony potłuczonej dachówki poturbowały mi plecy. Jeden z moich towarzyszy wyszedł cało z opresji, a drugiego zabrała karetka sanitarna - został bowiem ugodzony dachówką w głowę. Odechciało nas się piwa.

Z punktu obserwacyjnego widać było Warszawę dosyć wyraźnie. Zdumiony stwierdziłem, że najbliższe położone Stare Miasto jest doszczętnie spalone, a na terenie całego miasta liczne pożary nasuwają dymem całe działo.

Był to okres powstania, osaga wówczas nie wiedziałem, ani bowiem władze wojenne, ani też odwołując się do nas z pewną dozą misfności, ludność Pragi

nie komentowała wydarzeń rozgrywających się po drugiej stronie Wisły.

Miałem okazję obserwować nalot samolotów alianckich i dokonanie przez nich zrzutu zasobników z bronią, amunicją i lekarstwami. Duża ilość ciężkich samolotów nadlatywała falami nad Warszawę, po czym zrzuciła zasobniki na spadochronach. Niemcy przekonani, że jest to desant wojsk, otworzyli szalony ogień z karabinów maszynowych ostrzeliwując spadające na spadochronach zasobniki.

Samoloty, po dokonaniu zrzutu, zawracały szerokim łukiem i oddalały się, a ich miejsce zajmowały następne. Cały nalot wywierał silne wrażenie, obrażając bowiem naocznie potęgę powietrzną aliantów. Przy tym nie zauważyłem żadnychkolwiek walk powietrznych, a artyleria przeciwlotnicza strzelała dość anemicznie i nie udało jej się stracić ani jednej maszyny.

Drugi punkt obserwacyjny artylerii znajdował się na dachu wytwórni Wedla. Najniebezpieczniejszym punktem na Pradze był odcinek ulicy Targowej w rejonie ulicy Zielenieckiej dobrze widoczny od strony Warszawy i narażony na ogień karabinów maszynowych. Daleko bezpieczniejsze było przejście od ulicy Wiatracznej wzdłuż Alei Waszyngtona w kierunku Saskiej Kępy, gdzie nie wiem z jakiego powodu wszystkie wille pozabawione były mieszkańców.

Wolne od służby chwile poświęciłem więc na odwiedzanie poszczególnych zamieszkałych mieszkań, w których grałem dla rozrywki na fortepianie, bądź też wybierałem sobie coś interesującego do czytania w bogato wyposażonych bibliotekach domowych. Nie trwało jednak długo takie rozkoszne życie, bo już wkrótce przerzucono nas do Józefowa pod Warszawą, gdzie wraz ze swym dowódcą plutonu i dowódcą baterii zajęliśmy jeden z opuszczonych pałaców willowych.

W tym bowiem czasie cieszyłem się osobistą sympatią oficerów, zdobytą w dość oryginalny sposób. Otóż dowódcą mojej baterii był bardzo sympatyczny, miły i kulturalny porucznik Babicz, radziecki obywatel, nauczyciel z zawodu. W czasie strzelania dowódca prowadził ogień i obliczał cele posługując się tabelkami logarytmicznymi, ja zaś, dla sprawdzenia, wyznaczałem niezbędne dane graficznie na papierze rysunkowym napiętym na drewnianą planszę.

Przed wojną, gdy byłem jeszcze studentem tablice logarytmiczne były w powszechnym użyciu, posługiwałem się więc nimi bez trudu. Przy tym niezbędne obliczenia miały wiele wspólnych cech z obliczeniami geodezyjnymi, w których jako inżynier orientowałem się świetnie. Nic więc dziwnego, że denerwowała mnie względna powolność obliczeń dokonywanych przez mego dowódcę.

Któregoś dnia zdenerwowałem się i poprosiłem grzecznie, by pozwolił mi obliczyć analitycznie dane niezbędne dla ustalenia tak zwanych kątomierzów i

celownika, to jest po prostu ^(danych niezbędnych do) rozpoczęcia strzelania do określonego celu. Po pewnym wahaniu się dowódca wyraził zgodę na moją propozycję i sam usiadł do plan-szy w celu graficznego ustalenia danych. Obliczane przeze mnie kierunki i od-ległości celów od baterii, dowódca sprawdził kilkakrotnie, a nie wykrywszy omy-łek zgodził się na dalsze wyręczanie go.

Wkrótce okazało się, że nasza, ostatnia bateria, wysunęła się na pier-wsze miejsce w brygadzie, osiągnęła bowiem rekordową szybkość wspierania pie-choty ogniem swych dział, od chwili bowiem opisowego podania telefonicznie celu - w ciągu trzech minut już strzelaliśmy do niego.

Dowództwo zainteresowało się moją osobą, zostałem wezwany do zastępcy dowódcy brygady, który zajmował się sprawami polityczno-wychowawczymi. Na zapy-tanie, czy to prawda, że ja samodzielnie prowadzę ogień swojej baterii odpowie-działem twierdząco, zaś na zapytanie skąd ja się na tym znam wyjaśniłem, że "czytałem jedną taką mądrą książkę". Wyjaśnienie jednak widocznie nie było zbyt przekonujące, bo badający mnie oficer na tym nie poprzestał, po dalszej go-dzinie krzyżowych pytań musiałem się przyznać, że jestem absolwentem Politech-niki Warszawskiej.

W wyniku tej rozmowy zostałem odkomenderowany na frontowy jednomiesięcz-ny kurs oficerski dla podoficerów. Kurs ten skończyłem z dobrym wynikiem. Otrzy-małem równą ilość punktów wraz z jednym z kolegów, razem z którym uzyskaliśmy pierwsze dwie lokaty.

Zostałem mianowany chorążym służby topograficznej i awansowałem na do-wódcę plutonu, w którym uprzednio pełniłem rolę dowódcy drużyny topograficznej.

W ten sposób zakończyłem swoją karierę podoficera.

O P E N S Y W A

Rozkazem dziennym dowódcy szkoły oficerskiej, za dobrą lokatą przy jej ukończeniu, otrzymałem w nagrodę kupon zdobycznego sukna na mundur i skie-rowanie do Akademii Wojskowej w Leningradzie na ośmiomiesięczny kurs upoważ-niający mnie, po jego ukończeniu, do zajęcia stanowiska dowódcy baterii, bądź dowódcy dywizjonu. Było mi to nie na rękę. Z dalekiej Azji przybyłem na tereny Polski, nie po to, by znów wracać w głąb Związku Radzieckiego.

Szala zwycięstwa wyraźnie przechylała się na naszą stronę, co wróżyło szybkie zakończenie wojny. Uzyskanie jakichkolwiek wyższych kwalifikacji woj-ekowych groziło mi koniecznością pozostania w wojsku po zakończeniu wojny. Miałem zawód zapewniający mi byt, a nie lubiłem drylu wojskowego i atmosfery panującej chyba wśród oficerów wszystkich armii świata, którzy bałowchwalczo holdowali światopoglądowi streszczającemu się w sloganie: "kobieta, wino i śpiew", we wszystkich swych poczynaniach przedkładając formę nad treść.

W wojsku jednak o zdanie nie pytają, a jakikolwiek sprzeciw nie jest możliwy. Rozumiałem jednak, że jeśli okażę się niepewny politycznie, wszelka droga do dalszych awansów będzie dla mnie zamknięta, a więc i nie zostaną wy-słany na studia wojskowe. Stawiałem się więc do raportu, na którym powiedziałem, że "nie chcę jechać do Leningradu, bo wolę raz umrzeć od kuli, niż powoli zdy-chać z braku chleba".

W ciągu godziny zostałem wezwany do Zastępcy Dowódcy Brygady do spraw wychowania politycznego, który odbył ze mną dłuższą poważną rozmowę. Obowiązek się, by nie "przejąć pały" i by mnie nie posadzono o wrogosć do ustroju, czy też do Związku Radzieckiego. Zacząłem więc żarliwie wywódzić, że nie chcę darmo jeść chleba sojuszników, gdy moi koledzy gromią znienawidzonych faszystów. Chcę walczyć do końca, a po zakończeniu wojny mogę jechać na doszkalanie się choćby na sam koniec świata.

W odpowiedzi na moje wywody usłyszałem następujące słowa: "tak ty nie chcesz służyć demokracji, nu dobrze, tak my ciebie do szkoły nie wyślemy, z woj-ska nie zwolnim i awansu nie dadym i służyć u nas będziesz jak mednyj kotielek", co znaczy, że będziesz nam służył jak miedziana moneta, aż do zużycia i wyrzu-cenia na szmelc.

Zasalutowałem i odmaszerowałem, z ulgą na sercu spokojny, że nie opuściłem kraju. Zostałem mianowany dowódcą tego plutonu, w którym byłem dowódcą najmniej licznej drużyny.

Miałem trudne zadanie, musiałem bowiem wymóc posłuch i subordynację u tych podoficerów, którzy patrzyli dotąd na mnie nieco z góry, jako na dowódcę zaledwie dwuosobowej drużyny. Dałem więc im na początek pełną wolność, pozostając z dotychczasowymi kolegami w zażyłych i poufałych stosunkach i prosząc ich jedynie o to, by w obecności osób postronnych zachowywali względem mnie formy obowiązujące podoficerów w stosunku do oficera.

Teraz już bez żadnych przeszkód mogłem samodzielnie kierować ogniem naszej baterii. Gdy znajdowałem się z dowódcą we wspólnie zajmowanej ziemiance, a telefon wzywał baterię do gotowości bojowej, ten nie ruszał się z miejsca zwracając się do mnie: "no idź już, idź". Udawałem się więc bezzwłocznie na punkt obserwacyjny. Kierując ogniem mogłem wyrobić sobie sąd o szabości nieprzyjaciela, wielokrotnie bowiem celem naszej artylerii były małe laski leżące wśród pól, w których ukryły się czołgi niemieckie unieruchomione z powodu braku paliwa.

Gdy później szosami posuwaliśmy się na przód niejednokrotnie w dzień tworzyły się zatory i skupienie wojsk na odkrytych przestrzeniach. W podobnych sytuacjach wystarczyłoby kilka samolotów nieprzyjacielskich, by nas rozbić, samoloty te jednak nie zjawiały się nigdy. Przypuszczam, że zawdzięczaliśmy to silnym nalotom lotnictwa amerykańskiego i brytyjskiego na centra przemysłowe Niemiec. Na razie jeszcze Wisła nie była sforsowana, utworzył się jednak przyczółek w okolicy Warki. Tam też została skierowana nasza jednostka artylerii.

W tym też czasie został lekko ranny dotychczasowy dowódca baterii, a jego miejsce zajął inny. Był to kapitan rosyjskiej narodowości, wielki elegant, przytożny mężczyzna, który stosunkowo mało uwagi poświęcał swym obowiązkom kierując swe zainteresowania ku płci pięknej. Nie współżył on ze mną w tak przyjaznej komitywie, jak poprzedni mój dowódca, pozostawiał mi jednak daleko więcej samodzielności w działaniu.

Wkrótce wzięliśmy udział w drugim kolejnym, wielkim przygotowaniu artyleryjskim, poprzedzającym sforsowanie Wisły i dalszą ofensywę naszych wojsk. W związku z tym polecono mi zająć się urządzeniem punktu obserwacyjnego nad samym brzegiem rzeki. W nocy przybyłem ze swym ~~składem~~ plutonem nad wał ochronny, w którym kazalem kopać schrony. Ten odcinek frontu obsadzony był piechotą Armii Czerwonej.

Do północy sam dozorowałem wykonywanie niezbędnych robót, później zaś dozór powierzyłem jednemu z podoficerów, a sam wynalazłem w wale opuszczoną małą ziemiankę, w której panowały ciemności. Ułożyłem się do snu na znalezionej tam

skórze, przy czym dla lepszego wypoczynku zdjąłem buty. Nad ranem obudziłem się i zamierzając sprawdzić posuwanie się przygotowałem do zajęcia pozycji przez mój pluton. Sięgnąłem po buty, lecz ich w ciemności nie odnalazłem. Zacząłem pełzać po całej, zresztą bardzo niewielkiej przestrzeni ziemianki obnażając na oślep rękoma każdy skrawek przestrzeni, lecz butów nie było. Jakiś żołnierz skorzystał z mego snu i zabrał mi je.

Wybiegłem więc na bosaka, dobiegłem po śniegu do swoich ludzi i poleciłem jednemu z żołnierzy udać się ze mną do pustej ziemianki, zdjąć buty i odpoczywać. Sam włożyłem jego buty i pełniłem w nich swe obowiązki dozoru nad kopaniem w ochronnym wale wiślanym przejść, schronów, dołów i innych urządzeń punktu obserwacyjnego. Po kilku godzinach, gdy wszystko już było gotowe, wziąłem innego kanoniera wymieniając skazanego na kilka godzin przymusowego wypoczynku jego poprzednika oraz zmieniając przez siebie użytkowane buty na inne.

W ten sposób przez dwie doby chodziłem w coraz to innych obcych butach wciąż wymieniając uwięzionych żołnierzy tak, by im się nie dłużył pobyt bez butów w ziemiance.

W końcu otrzymałem od szefa nową parę obuwia, były to jednak nie wygodne buty z holewami, lecz buciki i kłopotliwe owijacze. Już od samego rana radziecka jednostka opuściła ten odcinek frontu, nie miałem więc możności upomnieć się o swoje buty. Nad wałem znalazłem parę butów zupełnie zniszczonych, z podduranymi przodami podeszwy, zrozumiałem więc, że dla ich dotychczasowego właściciela ~~właściciela~~ wobec panujących mrozów sprawa wymiary ich na całej była bardzo pilna i ważna.

Wkrótce rozpoczęło się przygotowanie artyleryjskie. Nasilenie ognia było większe niż nad Bugiem. Odcinek frontu, na którym przekroczono rzekę - szerszy. Po ruszeniu piechoty do natarcia zostałem wysłany wraz z dwoma żołnierzami zapatrzonymi w radionadawczy aparat, do dowództwa nacierającej piechoty w celu współdziałania z nią w akcji bojowej. Wisła pokryta grubym lodem przedstawiała płaszczyznę nie dającą żadnego schronienia przed kulami i odłamkami pocisków.

Należało przepłynąć się na zachodni brzeg rzeki, a tymczasem wciąż na powierzchni lodu rozrywały się gęsto padające miny miedzierzowe, a gdzieś z brzoź wzdłuż rzeki strzelał karabin maszynowy. Jeden więc z naszej trójki poderwał się i wbiegł na taflę lodową rzeki. Karabin maszynowy natychmiast skierował na niego swój ogień, wówczas drugi żołnierz wbiegł na lód. Karabin przeniósł ogień na niego, z czego skorzystał pierwszy, poderwał się i przebiegł dalszych kilkadziesiąt metrów.

W ten sposób, jak gdyby bawiąc się w kotka i myszkę, kolejno, susami przeprawiali się moi żołnierze, za którymi ruszyłem i ja. Bardzo to przykre uczucie, gdy się leży bezradnie płasko na lodzie, a kule karabinu maszynowego trafiając w lód rozpryskują go i w ten sposób tworzą ślad swego padania. Leżałem na lodzie i obserwowałem jak odpryski lodu wązowato zbliżają się do mnie, a ja bezradnie przyglądam się temu nie mogąc w żaden sposób przeciwdziałać zbliżającemu się niebezpieczeństwu; odczuwałem tylko chwilową ulgę, gdy kule krusząc lód mijały mnie w odległości 2-3 metrów, po to jednak, by po chwili znów zbliżały się do mnie. Dopiero, gdy strzelający, zniecierpliwiony bezkarnym posuwaniem się moich żołnierzy, przenosił ogień w ich kierunku, ja mogłem się zerwać i biegnąć dalej w poprzek rzeki.

Udało nam się szczęśliwie przepłynąć po lodzie na drugą stronę, gdzie w okopach ponemieckich czuliśmy się zupełnie bezpieczni. Znajdowaliśmy tam porzucone papierosy, czekolady, karabiny i amunicję.

Po wforsowaniu Wisły przejeżdżaliśmy w dniu 21 stycznia przez ulice Warszawy. Oparnęło mnie przerażenie na widok zniszczeń. Jechaliśmy pomiędzy wypalonymi ścianami domów, zięjącymi ciemnymi plamami otworów okiennych. Niektóre budynki jeszcze się paliły. Mijaliśmy szereg barykad, w których nasi saperzy porobili wąskie przejścia. Poprzewracane, na wpół wypalone tramwaje bez szyb, kupy struzu na jezdniach, ulice zasnuwane dymem, wszystko to sprawiało przygnębiające wrażenie i wzbudzało oburzenie i nienawiść do Niemców. Byłem wówczas przekonany, że Warszawa już nigdy nie potrafi podźwignąć się z tego stanu kompletnego zniszczenia.

Skróćce posuwaliśmy się kolumną samochodową w kierunku Bydgoszczy, gdzie w okolicy miasta mieliśmy postój. Dowiedzieliśmy się, że w pobliżu znajduje się cukrownia, dowódca więc baterii wysłał jeden z ciągników po kilka worków cukru dla baterii. Gdy ciągnik przejeżdżał po lodzie przez Kanał Rydgoski, lód nie wytrzymał ciężaru i załamał się, kierowca w ostatniej chwili zdołał uratować się, ciągnik jednak poszedł na dno. Kanał w tym miejscu miał około 5 metrów głębokości, był jednak stosunkowo wąski.

Natychmiast zorganizowaliśmy ekspedycję ratunkową. Na miejsce wypadku przyjechały trzy inne ciągniki zaopatrzone w długie łańcuchy. Jeden z żołnierzy, Polak urodzony na Sybirze i ohyty z zimnem, rozebrał się i wskoczył do lodowatej wody, dał nurka i przytrzymał łańcuch zakończony hakiem, do zatopionego ciągnika, po czym trzy ciągniki umieszczone na brzegu powoli zaczęły wyciągać go z Kanału na brzeg. Stopniowo wyłaniał się z wody ciągnik. W pewnej chwili jednak on zaślizgnął się z niego i ciągnik zanurzył się z powrotem, dno bowiem było bardzo pochyłe.

Naturalnie bohaterски żołnierz po wyjściu z wody został ubrany w kożuch i poczęstowany szklanką spirytusu dla rozgrzewki. Wszyscy obawiali się puścić go powtórnie pod wodę po wypiciu tej szklanki, on jednak nie namyślając się powtórzył manewr z powodzeniem - ciągnik bowiem był już bliżej brzegu płycej zanurzony w wodzie. Za drugim razem udało się wyciągnąć ciągnik, cukier jednak zdążył już się rozpuścić w wodzie Kanału. Motor tego ciągnika nie chciał zapalić, co zmusiło do rozebrania go i złożenia po wysuszeniu. Ciągnik dogonił naszą jednostkę dopiero po dwóch tygodniach.

My w tym czasie zbliżaliśmy się do umocnień niemieckich - tak zwanego Wału Pomorskiego. W drodze nieoczekiwanie kolumna wiozących nas samochodów została ostrzelana przez rozbity uprzednio oddział niemiecki, który urządził w lesie zasadzkę na nas. Wyskoczyliśmy natychmiast z samochodów i stoczyliśmy walkę z napastnikami, którzy musieli wkrótce ustąpić, nie spodziewali się bowiem, że będzie nas tak dużo, tj. około tysiąca osób. Najwięcej ucierpiał samochody jadące w ogóle kolumny. Nasz samochód jechał daleko od czoła, więc mój pluton nie poniósł żadnych strat.

Wkrótce po tym zobaczyliśmy uzbrojonego niemieckiego żołnierza uciekającego na nasz widok od szosy ku stojącym w pobliżu stertom słomy. Zatrzymaliśmy się i zaczęliśmy strzelać do uciekającego, a następnie tyralierą zbliżyliśmy się do stert. Przestraszyłem się, bo w pewnej chwili z ich powierzchni podniosło się w górę szereg postaci żołnierzy niemieckich zamieszonymi rękoma; niektórzy z nich wykrzykiwali: "Stalin gut, Hitler kaput".

Wzięliśmy ich do niewoli rozbierając i odbierając zegarki. Mieliśmy bowiem głupi zwyczaj kolekcjonowania zdobycznych zegarków, zupełnie niezależnie od ich często bardzo wątpliwej jakości. Komuś przyszło do głowy podpalić jedną ze stert i wówczas, ku naszemu oszukaniu, z różnych dziur - w słowie zaczęło wyskakiwać drugie tyle żołnierzy niemieckich unosząc ręce do góry i oddając się do niewoli. Podpalono więc pozostałe sterty co jeszcze powiększyło ilość jeńców.

Wśród Niemców znalazł się jeden oficer hitlerowski, który zaczął uciekać. Urządzono na niego formalne polowanie, jak na zająca. Strzelano do niego, trafiając kilkakrotnie, bo uciekający padał, a następnie podrywał się i uciekał dalej pozostawiając za sobą ślady krwi. Goniono go parę kilometrów, lecz nie rządzono dogonić i zabić. Ruszyliśmy więc w dalszą drogę.

Po drodze zatrzymaliśmy się i wzięliśmy dorywczo udział w likwidacji większej jednostki wojsk niemieckich znajdujących się w okrążeniu. Byłem wówczas świadkiem sceny, której nie rozumiałem, nie uświadamiałem bowiem w tym czasie ogromu nieszczęść, jakie pociągnęła za sobą bezwzględność hitlerowców.

Wśród obywateli radzieckich służących w polskim wojsku było wielu takich, którym Niemcy wymordowali całe rodziny, co spowodowało ich niepohamowaną nienawiść do Niemców. My zaś mieliśmy rodziny z dala od frontu, a o okropnościach terrozu niemieckiego w Generalgubernatorstwie wiedzieliśmy wówczas niewiele. Toteż byłem zaskoczony rozgrywanymi się na moich oczach wydarzeniami.

Szosa żandarmeria prowadziła oddział jeńców niemieckich maszerujących czwórkami. Obok szosy stały nasze moździerze strzelając do otoczonych Niemców. Gdy oficer dowodzący jednostką moździerzy zobaczył prowadzonych jeńców niemieckich, pobiegł w kierunku szosy wyciągając rewolwer, z którego strzelił dwukrotnie do nich. Dwóch żołnierzy niemieckich upadło, a pozostali próbowali rozpierzchnąć się w popłochu, zostali jednak szybko zmuszeni, przez prowadzących je żołnierzy, do dalszego przemarszu. Jeden jeńiec został zabity na miejscu, drugi zaś jeszcze żył i leżąc poruszał nogami. Oficer podbiegł do niego i zaczął go kopać po głowie. Z kieszeni rannego wypadł portfel, z którego wysypały się zdjęcia. W dużej grupie rodziny z licznymi dziećmi stał uśmiechnięty żołnierz. Na innym zdjęciu siedział na krzeszku z dzieckiem na kolanach. Byłem wówczas oburzony postępkiem nieznanego oficera, choć ten wykrzykiwał kopiąc dogorywającego: "to za moją żonę, a to za moje dzieci".

Zdarzały się też i inne niepoważne "kawały" robione niemieckim żołnierzom. Spotkałem na drodze trupa Niemca, obróconego na brzuch, ze spuszczoneymi spodniami i ze zdechłą kurą ułożoną na gołym tyłku. Po drodze, przy postojach spowodowanych zatorami, w miasteczkach niemieckich już na terenie Prus, opuszczaliśmy kolumnę idąc się do pobliskich piwniczek i pustych mieszkań w poszukiwaniu słoików z serekami. Znajdowaliśmy wędzone półgaski i inne przysmaki.

Jeden z podoficerów wpadł do piwnicy i natknął się na niemieckiego żołnierza, który wystrzelił mu prosto w twarz z odległości dwóch kroków, pistolet jednak nie wypalił, wobec czego Niemiec szybko zarepełował go, ale nie zdążył wystrzelić powtórnie, podoficer bowiem uderzył go trzymanymi w rękę żelaznymi szuokazami, po czym zastrzelił ogłuszonego żołnierza. Ze zdenerwowania jednak nogi u odmówki poszuszeństwa i musiał przesiadzić około kwadransa zanim uspokoił swoje wzburzone nerwy.

Ja w czasie chwilowego postoju pobiegłem do pobliskiej zagrody wiejskiej. otwartych do izby drzwi wybiegła duża świnka. Druga znajdowała się w izbie. Pod tołem leżał trup niemieckiego żołnierza poobgryzany przez świnię. Rozejrzałem się dookoła i spostrzegłem drzewi szafki w ścianie, które otworzyłem w poszukiwaniu zapasów smacznej żywności. Niespodziewanie w moje objęcia wpadł trup niemieckiego żołnierza, który ukrył się w tej szafce i mimo to został zastrzelony serią

z automatu. Pozostał on w szafce w pozycji stojącej, aż do jej otworzenia przede mną. Przyznaję, że ten pośmiertny uścisk trupa wywarł na mnie szokujące wrażenie zniechęcając do dalszych poszukiwań weków.

Wkrótce dotarliśmy do pierwszych umocnień niemieckich. Teraz charakter walki zupełnie się zmienił. Nasza brygada przejęła na siebie główne zadanie natarcia polegające na rozbijaniu poszczególnych umocnień i bunkrów bezpośrednim ogniem artyleryjskim "na wprost" z bliskich odległości. Takie zadanie wymagało dużej odwagi i szybkiego działania. Działo było podciągane na odległość 23 kilometrów od nieprzyjacielskiego punktu oporu, po czym możliwie szybko doprowadzone przez obsługę do gotowości strzelania. Należało kręcić odpowiednią korbą zwolnicę odciągniętą do tyłu lufę i szeroko rozstawić nogi lawety, nie zważając na ogień nieprzyjaciela. Następnie działo strzelało do umocnienia rozbijając je kilkoma pociskami o ściętych czubkach ze specjalnej, twardej stali i z opóźnianym zapłonem.

Walki były uporczywe, a posuwanie się do przodu bardzo powolne, umocnienia bowiem niemieckie rozlokowane były w kilku szeregach. W tym czasie zdobyłem Brązowy Medal "Zasłużonym Na Polu Chwały".

Do naszego punktu obserwacyjnego, znajdującego się na brzegu podmokłej łąki, przyjechał na inspekcję dowódca brygady. Gdy ustawieni w dwoje obok ziemianek witaliśmy przybyłego - rozległ się odgłos wystrzałów, po czym kilka minut moździerzywych rozzerwało się w pobliżu. Wszyscy natychmiast rzucili się do okopów i do ziemianek. Następna salwa moździerzy była celniejsza od poprzedniej. Ja nie tracąc czasu pobiegłem na punkt obserwacyjny, gdzie szybko nakierowałem lornetę na widoczne błyski ognia i po krótkim porozumieniu się z sąsiednim punktem obserwacyjnym innej baterii ustaliłem położenie strzelających moździerzy, po czym bez zwłoki obliczyłem niezbędne dane i skierowałem salwę naszej baterii na cel. Moździerze ucichły. Nastąpiła chwila odprężenia, w której dowódca brygady zainteresował się sytuacją zapytując, kto unieszkodliwił i uciżył wroga, a gdy wskazano na mnie, zapisał sobie moje nazwisko i stanowisko służbowe, w wyniku czego otrzymałem bojowe odznaczenie.

Przyznaję, że miałem wiele szczęścia, podobne bowiem sytuacje i okoliczności były dla nas frontowców chlebem powszednim, rzadko jednak miały miejsce w świetle obecności tak wysokiego dowództwa.

W tym też czasie przyszyłem śmieszny i niecodzienny przygódę. Wysłano mnie bowiem z mapą do okopów piechoty z poleceniem ustalenia sytuacji na tym odcinku frontu. Nasze okopy biegły lasem sosnowym wzdłuż dolinki porośniętej łąką. Gdy podkradając się do brzołem do linii okopów stwierdziłem, że są one puste. Wskoczy-

łem więc do rowu strzeleckiego, z którego nad powierzchnię terenu wystawała górna część mego tułowia i zastanawiałem się co mam począć dalej. Wtem spostrzegłem opodal postać jakiegoś oficera, tak jak i ja wystającą nieco ponad powierzchnię terenu.

Ucieszony wyskoczyłem z okopu, podbiegłem do zauważonego oficera i słuźbiście mu się zameldowałem, salutując. Byłem zaskoczony, gdy raptem postać oficera zaczęła się unosić w górę i stanął przede mną w całej okazałości kapitan, podtrzymujący rękoma rozpięte spodnie i spoglądający na mnie z zakłopotaniem. Jak się okazało nie stał on w głębokim okopie, lecz poprostu przykucał w trawie zachęcony do tego fizjologiczną potrzebą, a ja, idiota, zameldowałem mu się przeprosowo w tak nieodpowiedniej sytuacji i chwili. Obydwaj wybuchliśmy szczerym, żołnierskim śmiechem, po czym kapitan udzielił mi niezbędnych wyjaśnień.

W ten sposób właśnie humorystyczne sytuacje uprzyjemniały nam udział w ciężkich i wyczerpujących bojach o Kokobrzeg, po zdobyciu którego udaliśmy się w rejon Szczecina. Działa nasze rozstawiono nad samym brzegiem morza we wzajemnych odległościach 400 metrów. Mieliśmy za zadanie obronę portu szczecińskiego przed ewentualnym atakiem ze strony morza. Na morzu, na horyzoncie tkwił wrak jakiegoś statku. Bezpośrednio za działem, którego byłem chwilowym dowódcą, znajdował się las liściasty. Działo było okopane i otoczone niskim wałem, a obok niego znajdowała się większa ziemianka dla obsługi i mniejsza moja.

Okolice była niespokojna, wokół bowiem włóczyły się mniejsze i większe bandy uzbrojonych niemieckich żołnierzy z rozgromionych jednostek armii. Byliśmy więc bardzo ostrożni. Spałem w ubraniu, stale mając przy sobie ręczny granat i pistolet. Którejś nocy obudził mnie krzyk wartownika: "Stój! kto idzie?". Wyskoczyłem z ziemianki zapytując szeptem wartownika co się stało. Wyjaśnił mi, że wyraźnie słyszał czyjeś kroki w lesie. Pouczyłem go, by w przypadku wystrzelenia z karabinu natychmiast usknoczyć w inne miejsce, błysk bowiem ognia, wydobywającego się z lufy w chwili strzału, zdradzi jego stanowisko i narazi na strzały ze strony napastnika. Następnie poleciłem zaalarmować sąsiednie stanowiska dział, że ktoś nas ktoś się kręci.

Po chwili usłyszeliśmy wyraźnie odgłosy stąpania nóg po zeschniętych liściach i gałązkach. Wartownik znów krzyknął "Stój, bo strzelano", lecz kroki nie ustały. Usłyszeliśmy wystrzał karabinowy, po którym nastąpiła głucha cisza. Jeszcze około godziny nasłuchiwaaliśmy, lecz nic już więcej nas nie niepokoiło. Po rozświeceniu się znaleźliśmy w lesie, w odległości kilkudziesięciu kroków, zabita świnię, która była sprawozynią nocnego alarmu. Wartownik strzelił na

odleg w kierunku rozlegających się odgłosów kroków i trafił w kark, przy czym kula przeszła ukosem wzdłuż całego ciała świni kładąc ją trupem na miejscu. Cieszyliśmy się tak nieoczekiwanym obrotem sprawy, poćwiartowaliśmy upolowaną świnię i podzieliliśmy się nią z obsadzą sąsiednich dział. Mieliśmy doskonały obiad.

Opuszczając zajmowane dotąd stanowiska pozostawiliśmy jedno działo w gotowości bojowej, z którego oddaliśmy szereg wystrzałów w kierunku wraku statku. Krążące wokół wraku łódki natychmiast zaczęły pośpiesznie oddalać się od niego. Mój dowódca baterii osobiście prowadził ogień i wydawał komendy.

Pierwszy raz byłem w pobliżu strzelającego działka naszej brygady. Huk wystrzału był bardzo silny i zmuszał do zatykania uszu palcami i otwierania ust. Przy okazji przekonałem się, że nowy dowódca nie oznaczał się tą pedanterią i sumiennością, jaka cechowała jego poprzednika, a działalność jego nastawiona była nie na jej skuteczność, lecz na efekt zewnętrzny, przysparzający sławy. Po pierwszym wystrzale, zamiast sprawdzić celność pocisku i skorygować ogień, dowódca odwrócił się tyłem do celu, zatkał uszy palcami, schylił się wykrzykiwał w równych odstępach czasu "ognia!". Po wystrzeleniu kilku pocisków, obsługa szybko doprowadziła działo do stanu umożliwiającego transport, po czym ciągnik czym prędzej odciągnął działo w inne miejsce.

W krótkim czasie po tym dotychczasowe stanowisko działka zostało zasypane pociskami niemieckiej artylerii. Nawet nie zdążyliśmy zbadać skutków naszego strzelania, w kronice jednak naszej brygady zapisane zostało zniszczenie nieprzyjacielskiego statku, przez naszą baterię.

Przenieśliśmy się wówczas do opuszczonej wsi nadmorskiej, gdzie zajęłem ze swym plutonem kilka zagród na jej skraju. Wieś znajdowała się w pobliżu szerokiego ujścia Odry oddzielającego ją od wyspy Wolin, zajętej jeszcze przez regularne siły wojsk niemieckich. Ciągłe alarmy nocne i częste strzelaniny spowodowane były utarczkami z grupami żołnierzy niemieckich przedzierającymi się na zachód, do zatoki, z zamiarem przepłynięcia się przez nią i dostanie się do swoich, do Wolina.

Którejś nocy zbudziła nas strzelanina. Wyskoczyliśmy z budynków i zobaczyliśmy niedaleko za sobą, na szczycie wzgórza, coś w rodzaju sztucznych ogniów. Z jednego miejsca na wszystkie strony wystrzelały rakiety różnobarwnych świateł, w błęsku których widać było sylwetki biegnących żołnierzy. Rozsypaniśmy się w tyralierę i podaliśmy do tego miejsca. Okazało się, że było to stanowisko karabinu maszynowego naszej piechoty.

Obeluga zauważyła skradających się od strony ładu kilkunastu żołnierzy niemieckich, których podpuściła blisko, po czym skierowała na nich karabin maszynowy wzywając do poddania się. Niemcy rzucili broń unosząc ręce w górę. Gdy jeden z obsługi podniósł się Niemcy z uniesionych dłoni obrzucili Polaków ręcznymi granatami, padając na ziemię, a po ich wybuchu zbiegli. Granaty zraniły jednego polskiego żołnierza, przy czym zapaliła się skrzynia z pociskami do rakiety jasno oświetlając stanowisko karabinu maszynowego i przyczyniając się do dalszego zamieszania. Zauważyli to Niemcy i zaczęli ostrzeliwać z działka przeciwlotniczego teren pociskami świetlnymi. Wyglądało to bardzo malowniczo, bo czerwone smugi zakreślały na ciemnym niebie łuki obrazujące tory pocisków. Zrobiło się nam jednak gorąco, bo pociski szybkostrzelnego działka gęsto padały dookoła nas.

Podziwiałem wówczas wprost brawurową odwagę jednego z podoficerów, Rosjanina odkomenderowanego do naszej jednostki w celu szkolenia żołnierzy w służbie łączności. Wszyscy bowiem rzucili się na ziemię, a on jeden spacerował spokojnie wśród rozrywających się pocisków i co dziwniejsze nic mu się nie stało.

W tak niespokojnej atmosferze jedyną rozrywką dla nas stanowiły wycieczki w głąb opuszczonej wsi w celu zbierania jajek znoszonych przez kury w najrozmaitszych miejscach, zdobywania węgla z dobrze zaopatrzonych spiżarni gospodarskich.

Któregoś dnia jeden z naszych żołnierzy natknął się w opuszczonym gospodarstwie na płądrującego tam, w taki sam jak i on sposób, żołnierza niemieckiego. Obydwaj na swój widok przestraszeni rozbiegli się w różne strony. Wydało mi się to podejrzane, wobec czego całym plutonem ruszyliśmy tyralierą wzdłuż wsi poszukując tego żołnierza. Z ostatniej chałupy na drugim końcu wsi rozległy się strzały karabinowe, wobec czego padliśmy i poukrywaliśmy się za wyściełającą i drobne przeszkody terenowe ostrzeliwując chałupę z karabinów i automatów. Jednak taka wymiana strzałów nie prowadziła do niczego. Wezwałem podoficera i poleciłem mu wycofać się i przynieść z kwatery ręczny karabin maszynowy. Po oddaniu krótkiej serii w okno zobaczyliśmy wysuwającą się z niego białą szmatę na długim patyku. Przerwało strzelanie.

Po chwili z chałupy wyszło dwudziestu żołnierzy niemieckich z rękami uniesionymi w górę. Mieliśmy jeńców. Każdy z nich tłumaczył nam, że nie jest faszystą, ani nawet Niemcem. Jedni przyznawali się do narodowości austriackiej, inni podawali się za Ślązaków, a jeszcze inni za Alzatozyków. Rozbroiliśmy ich po czym poleciłem jednemu z żołnierzy - cyganowi z pobudzenia - odprowadzić

jeńców niemieckich do sztabu. Wkrótce żołnierz wrócił meldując mi o wykonaniu rozkazu.

Kilka dni później pojechałem motocyklem do sztabu. Po drodze poznałem smród padliny. Zatrzymałem się i rozejrzałem się uważnie. Zobaczyłem w pobliżu drogi rozkładające się zwłoki naszych dwudziestu jeńców. Nie ulegało wątpliwości, że konwojent zastrzelił ich na własną rękę i z własnej inicjatywy. Dokonane przez mnie dochodzenie potwierdziło moje przypuszczenie. Wyznaczony przeze mnie konwojent - cygan był więziony wraz ze swą rodziną na Majdanku, skąd udało mu się wydostać, cała jednak jego rodzina zginęła. Obecnie skorzystał z okazji, by zemścić się za stratę bliskich.

Nie wiem, czy słusznie postąpiłem, ale ograniczyłem się do zaaplikowania winowajcy ośmiu dni aresztu o chlebie i wodzie. W celu zrealizowania wyroku, skazany musiał własnoręcznie wykopać dół, o wymiarach pół metra na metr i głębokości dwóch metrów, w którym odbywał karę aresztu. Nad dołem pilnowali go zmieniający się wartownicy.

Zbliżały się święta Wielkanocne. Zzapaliliśmy we wsi kilkadziesiąt kur, które umieściliśmy na obszernym strychu budynku. Dostarczaliśmy im codziennie kubeł wody i kubeł ziarna i zbieraliśmy zniesione przez nie jaja.

Wkrótce nadjechał samochód, który przywiózł nam na święta dwie blaszane bańki od mleka napełnione spirytusem. Bańki umieściłem w jednej z izb zabezpieczając dostęp do niej przez ustawienie warty przed wejściem. Po kilku godzinach stwierdziłem, że wartownik śpi snem pijaka, zdążył bowiem już umazać nosa w pilnowanym przez siebie spirytusie. Postawiłem na jego miejsce innego wartownika, lecz i ten wkrótce był pijany.

Wobec braku możliwości opanowania sytuacji zarządziłem ogólną zbiórkę, na której wyjaśniłem, że zostawiam spirytus pod opieką całego plutonu, jeśli jednak zobaczą kogokolwiek podłego, to będą wobec niego wywiązać jak najdalej idące konsekwencje karne. Od tego czasu, aż do świąt, stan liczebny plutonu był stale zmniejszany mniej więcej o jedną trzecią. Przy potężnych raportach podoficerowie w najrozmaitszy sposób tłumaczyli braki szeregu osób na zbiórce, a ja robiłem dobrą minę do złej gry i przyjmowałem do wiadomości wszelkie, nawet najmniej prawdopodobne, wersje usprawiedliwiające nieobecność. Okazało się, że wszyscy amatorzy alkoholu byli zamknięci w stodołę, gdzie musieli się przespacić i wytrzeźwieć, zanim ich stamtąd wypuszczono. Wewnątrz stodoły panował zaduch spowodowany licznymi wożami do Rygi przez Łąki.

Na Wielkanoc zarządziły i usmażyliśmy kilkanaście kur; mieliśmy poważny zapas jajek i spirytusu, więc święta minęły nam dość wesoło.

Następnym etapem walk było przygotowanie artyleryjskie poprzedzające forsowanie Odry. W rejonie wsi Siekierki na południe od Cedyni huragan ognia artyleryjskiego osiągnął szczytowe swe natężenie w porównaniu z analogicznymi przy forsowaniu Bugu i Wisły. Nasze brygada niszczyła stosunkowo bliskie cele, mieliśmy więc okazję obserwować skuteczność własnego ognia.

Naturalnie znów staliśmy zupełnie odsłonięci, nad brzegiem rzeki, obserwując przez lornetki drugą stronę Odry. Po unilknięciu dział nad okopami nieprzyjacielskimi latały nisko nasze samoloty szturmowe ostrzeliwując Niemców z karabinów maszynowych i obrzucając ich pociskami rakietowymi.

Front znów został przekłmany, a my w ślad za nim ruszyliśmy na zachód. W trakcie szybkiego posuwania się do przodu kaził dowództwa naszego dywizjonu, chcąc wyprzedzić inne pojazdy, zjechał z drogi i wpakował się na minę. Niency bowiem cofając się ułożyli w poprzek drogi deskę z przymocowanymi do niej minami, przywiązując końce deski do drzew ocieniających drogę i przysypując ją piaskiem. Kasi saperzy odwiązali deskę od jednego drzewa i ułożyli ją obok drogi. Samochód nasz wjechał na tę deskę i wpadł na jedną z min, wybuch której podrzucił go na kilka metrów w górę, po czym samochód upadł na koła uderzając w następną minę, znów podskoczył i w końcu znów stanął na kołach. Spośród czterech pasażerów trzech wyszło z tego bez szwanku, czwarty zaś, dowódca dywizjonu, był martwy, choć na jego ciele nie odnaleziono najmniejszych śladów jakiegokolwiek uszkodzenia. Pochowaliśmy dowódcę z honorami obok drogi w miejscu jego śmierci. Oprócz honorowej salwy z broni ręcznej cała brygada oddała trzy salwy armatnie kierując pociski na jedno z pobliskich miasteczek niemieckich.

Posuwaliśmy się dalej na zachód w kierunku Berlina. Po drodze byłem świadkiem kilku drobnych wydarzeń, które jednak wywarły na mnie silne wrażenie. Na skrzyżowaniu dwóch dróg we wsi jedną z nich jechał oddział polskiej kawalerii prowadzony przez pułkownika w czapce z błękitnym otoczkiem i w białych rękawiczkach pięknie wyglądającego na koniu.

Drugą szosą zbliżała się kolumna radzieckich czołgów, które zjechały drogą kawalerii. Pułkownik szybko zeskoczył z konia i wy dobył potężny pistolet, po czym wskoczył w biegu na czołowy czołg zagłębiając się górną połową tułowia we wnętrzu czołgu. Rozległy się gwałtowne słowa pułkownika, wypowiedziane w języku rosyjskim, przeplatane kwiecistymi żołnierskimi epitetami.

Czołgi ustąpiły drogi kawalerii. Zbaraniałem, żołnierskie bowiem, energiczne i ordynarne zachowanie się zupełnie nie licowało z nienaganną prezentacją pułkownika, nawiązującą do polskich przedwojennych wojskowych tradycji. Scena ta zaszokowała mnie sądząc bowiem po wyglądzie spodziewałem się wysokiej kultury w postępowaniu oficera.

W najbliższym mijanym przez kolumnę naszych samochodów miasteczku znów spotkała mnie niespodziewana przykra przygoda - jechałem w szoferce samochodu ciężarowego ze swym plutonem, jako ostatni w kolumnie, posuwając się krok za krokiem po zatłoczonych ulicach miasteczka przepełnionego żołnierzami różnych jednostek wojskowych.

Jadący konno przeżłami jakiś oficer wojsk polskich dał znak ręką byśmy się zatrzymali. Można zatrzymać kolumnę samochodową, lecz nie pojedynczy samochód w kolumnie. Na zapytanie kierowcy poleciłem mu nie zważać na dawane nam znaki i jechać dalej. Uderzyliśmy zderzakiem w tylne nogi konia, który gwałtownie skoczył. Oficer szybko zsiadł z konia podbiegł do naszego samochodu, otworzył w biegu jego drzwiczki, wskoczył na stopień i bez słowa uderzył mnie otwartą dłonią w twarz. Wobec tego, że trenowałem boks, miałem wyrobione pewne odruchy. Bez zastanawiania się więc, prosto odruchowo, natychmiast uderzyłem napastnika pięścią między oczy, czym wywołałem silne krwawienie z nosa.

Samochód zatrzymał się, a uderzony odezwał się do mnie po rosyjsku: "Ty wiesz kogoś ty uderzył, jestem komendantem miasta", a następnie szybko wycofał się z szoferki wywołując swych żołnierzy i polecając im: "brać go". Uczepiłem się szoferki i opierałem się wyciągającym mnie nieszablonowym zresztą, żołnierzom, zostałem jednak wyciągnięty siłą i powleczony przez ulicę do budynku komendy miasta.

W tej chwili z samochodu wycpał się mój pluton, który po krótkiej walce wręcz odbił mnie i uwolnił z rąk prześladowców. W międzyczasie zjawił się na miejscu zaalarmowany oficer sztabu brygady, który rozpoczął krzyczeć i spierać się z komendantem miasta trzymającym wciąż chusteczkę przy krwawiącym nosie. Ja, korzystając z chwilowego zamieszania i odwrócenia ode mnie uwagi, wskoczyłem do samochodu który ruszył uciekając czym prędzej z zagrożonego terenu.

W dalszej drodze musieliśmy oczekiwać w jakiejś wsi, aż saperzy naprawią uszkodzony most. W tym czasie zaobserwowałem jak jakiś podoficer armii radzieckiej na próżno wyczył się nad uruchomieniem poniemieckiego, makolitrażowego, dwutaktowego motocykla.

Po godzinie bezskutecznych prób, spocony i saspany podoficer wyjął pistolet i przestrzelił bak motocykla, z którego wypłynęła benzyna. Następnie oddalił

się na chwilę, po czym wrócił uzbrojony w ciężki młot kowalski, przy pomocy którego rozbił motocykl, gniotąc ramę i niszcząc motor. Było to gorzkie widowisko dowodzące szubnego wpływu wojny na psychikę ludzką. Ludzie jednak, właśnie tego pokroju, na froncie potrafili wykazać się niesamowitą wprost odwagą i męstwem. Panowało w tym czasie ogólnie rozpowszechnione, mylne w moim zdaniem mniemanie, że niszczenie rzeczy poniemieckich stanowi godny pochwały dowód niechęci do Niemców. Ja osobiście zupełnie inaczej podchodziłem do zagadnień mienia poniemieckiego.

Któregoś dnia, gdy nocowaliśmy w podberlińskiej letniskowej miejscowości "Grabowsee" wszedłem przez okno do wnętrza eleganckiej willi, w której zastałem puste mieszkanie jakichś zamożnych ludzi. Na stole stały talerze z porzuconą i niedojedzoną strawą. W szafie wyszukałem dla siebie dwa eleganckie garnitury, jeden jasny i jeden ciemny, dwie pary półbucików, czarne i złote oraz kilka koszul i futro fokowe dla żony. Ubranie i obuwie przymiarzyłem i przekonałem się, że pasują na mnie świetnie. Cały ten dobytek zapakowałem do walizeczki i przyniosłem do siebie.

Panował u nas w tym czasie niemiły zwyczaj polegający na tym, że młodszy oficerowie rewidowali rzeczy osobiste żołnierszy i podoficerów i brali sobie bez pytania "na pamiątkę" wartościowe przedmioty poniemieckiego pochodzenia. Następnie wyżsi oficerowie powtarzali ten proceder, zabierając od swych młodszych kolegów wybrane przez siebie różne cacka poniemieckie.

Chcąc tego uniknąć i zabezpieczyć "wyszabrowane rzeczy" przed dalszą ich wędrowką z ręki do ręki przekładałem zawartość walizeczki do skrzynki po amunicji, którą wadziłem pomiędzy pociski zapowiadając kierowcy, by strzegł mi tej skrzynki, jak oka w głowie. Rzeczy te przewędrowały około dwóch tysięcy kilometrów jeżdżąc ze mną, aż do zakończenia wojny i w końcu wracając do Polski.

W dalszej drodze na zachód nocowaliśmy w lasku nad jakąś rzeką, przez którą saperzy budowali most pontonowy. Przed nalotami niemieckiego lotnictwa bronili ich świeże dymne. Wykopałem sobie głęboki dół o wymiarach grobu, w piasko-czystym gruncie lasu tak, że tym mógł w nim wygodnie się wyspać. Dół przykryłem sufitem z grubej sosny pociętej na krótkie kawałki, po czym zasypałem ziemią i zamaskowałem gałązkami drzew i kawałkami darni, pozostawiając tylko z góry mały otwór wejściowy.

Ułożyłem się w dole, podkładając sobie pod głowę skórzany jasek, po czym smacznie spałem. Obudził mnie terkot artylerii przeciwlotniczej. Na dworze było jasno, jak w dzień. Nad buczącym się mostem krążyły niemieckie samoloty, a teren był oświetlony jaskrawymi lampami zawieszonymi na szeregu swolna opadających

spadochronów. Samoloty zbombardowały miejsce przeprawy, po czym skierowały się nad las, w którym nocowaliśmy i zaczęły zrzucać na niego pojemniki zawierające w swym wnętrzu duże ilości małych ręcznych granatów. W powietrzu pojemniki rozszerzały się, a granaty rozsypywały się rażąco gęsto teren, wybuchły bowiem przy uderzeniu o ziemię. Podkurczyłem nogi w swej kryjówce, wykopując czym prędzej głęboki dół w piasku pod otworem wejściowym i odpędzając się od tego dołu wałem s piasku i swoim jaskiem. Obawiałem się bowiem, że granat jeśli upadnie na daszek mego schronienia, stoczy się po jego półkuli i spadnie przez otwór do środka.

Męczący nerwy nalot trwał kilka godzin i pochłonął wiele ofiar. Na następnym etapie posuwania się na zachód wyznaczono mnie do prowadzenia dwustu ciągników i dział zgodnie z trasą wytyczoną na mapie. Kolumna posuwała się nocą - polnymi drogami. Ja jechałem na pierwszym ciągniku. W pewnej chwili natknąłem się na dwa palące się czołgi, które wjechały na pole minowe. Zaminowano drogę biegnącą stronom parowem. Zatrzymałem kolumnę dział nie wiedząc, co dalej począć. Palące się czołgi zagroziły nam drogę, a objazd ich groził wjechaniem na minę, przypuszczalnie bowiem cała szerokość parowu była zaminowana.

Nie miałem wyboru i rozkazałem wyminąć czołgi, wykrycie bowiem miny w ciemnościach nocy było niemożliwe. Z bijącym sercem i ściśniętym gardłem oczekiwałem w każdej chwili zakończenia tego, jakże dłużącego się objazdu, wyrzucenia mnie przez minę w powietrze wraz z ciągnikiem. I znów sprzyjało mi szczęście, bo udało mi się cało ominąć czołgi i wjechać na drogę. Moimi śladami przejechała reszta ciągników z działami dbając o to, by możliwie nie zbooczyć, w obawie przed natknięciem się na przypadkowo ominiętą przeze mnie minę, która mogła znajdować się nawet parę decymetrów od śladów pozostawionych przez pierwszy front ciągnik i działa.

Wkrótce, w rejonie Berlina, znów ustalili się front, a nasza Brygada zatrzymała się w jego pobliżu rozlokowując się w lesie. Wobec tego, że byliśmy stale w zasięgu ciężkiej artylerii nieprzyjaciela polecono nam budować głębokie ziemianki przykryte z wierzchu trzema warstwami drzew układanych obok siebie naprzemiennie, każda warstwa w kierunku prostopadłym do niższej. Wnętrza ziemianek obite były cyściutkimi prześcieradłami i umeblowane łóżkami, stołami i krzesłami z najbliższej wsi.

Zajmowaliśmy te stanowiska około dwóch tygodni, ostrzeliwując Berlin. Gdy opuszczaliśmy miejsce postoju chłopcy z mojego plutonu śmieli się tajemniczo szepać coś sobie nawzajem. Okazało się, że zajmowali przede mną ziemianka po-

kryta została tylko jedną warstwą pni drzew, a pozostałe górne dwie warstwy były jedynie markowane krótkimi kawałkami belek wetkniętych do pokrywającego ją piasku, co naturalnie w przypadku trafienia w ziemiankę wcale nie chroniło od pocisku artyleryjskiego. Trudno jednak było gniewać się, już po szczęśliwym opuszczeniu tej niepewnej kryjówki.

Następnie mieliśmy polecenie zakwaterowania i zorganizowania punktu obserwacyjnego we wsi, o którą właśnie rozgrywała się bitwa. Połowa wsi była zajęta przez nasze wojska, połowa zaś w rękach niemieckich.

Jechałem trzyosobowym samochodem ciężarowym Dodge załadowanym sprzętem, prowiantem i 24 kanonierami i podoficerami mego plutonu. Samochód prowadził ślązak, który zmobilizowany do niemieckiego wojska przeczłgał się w nocy przez linię frontu i dostał się do okopów radzieckich, gdzie zaskoczony wartownik rzucił mu swą broń pod nogi podnosząc ręce do góry. Nie znając języka rosyjskiego nie mógł się porozumieć z wziętym przez siebie niechętny do niewoli wartownikiem i wrzedł do ziemianki pełnej żołnierzy oddając bez słowa broń. Został on następnie przekazany do jenieckiego obozu, który po krótkim pobyciu i przesłuchaniach opuścił obejmując służbę w naszej Brygadzie.

Już zbliżaliśmy się do wsi, gdy napotkaliśmy grupę żołnierzy biegnących co tchu bez broni w kierunku przeciwnym. Na nasze zapytanie o sytuację we wsi nikt z nich nas nie odpowiedział. Na wszelki wypadek kazałem zatrzymać się i zawrócić. Ustawiłem więc samochód w pełnej gotowości do wycofania się z pola walki. Wter obok nas upadły miny moździerzowe. Nastąpiło parę wybuchów w odległości kilkunastu kroków od nas. Kierowca w mgnieniu oka opuścił szoferkę i wpełzł pod samochód. Ja wyskoczyłem za nim, po czym siłą wyciągnąłem go za nogi spod samochodu, uderzyłem dłońmi w twarz dla opanowania hysterii i kazałem natychmiast ruszać.

W parę sekund, po opuszczeniu miejsca chwilowego naszego postoju, zasypane ono zostało następna salwą min, my jednak już zdążyliśmy odjechać dostatecznie daleko. Zatrzymałem się dopiero na szosie około kilometra od wsi. Nadjechał samochód plutonu kierowniczego innej baterii i zatrzymał się za naszym. Zobaczyliśmy zbliżający się ze wsi osobowy samochód dowódcy naszego dywizjonu. Zwróciłem się z pytaniami o dalsze rozkazy, na co dowódca tylko wskazał na krew wypływającą mu spod pilotki, machnął ręką i pojechał dalej.

Po chwili od strony wsi nadjechał konno oficer z pistoletem w ręku. Po kwadransie ten sam oficer powracał prowadząc za sobą ustawionych w szereg uciekających niedawno żołnierzy. Wobec tego nabraliśmy odwagi i ruszyliśmy w kierunku wsi, w której zajęliśmy pierwszą z brzozy zagrodę, lokując się w piwnicy budynku miesz-

kalnego. Po chwili na podwórzu wjechał drugi samochód, z którego wysiadł pluton kierowniczy innej baterii. W tejże chwili na teren zagrody upadły trzy miny moździerzowe, wybuchy których spowodowały zabicie trzech i zranienie ogólnie osób znajdujących się jeszcze w tym czasie na podwórku obejścia. Rannych wniesiono do zajmowanej przez nas piwnicy i prowizorycznie opatrzono.

Wkrótce otrzymałem rozkaz udania się do miejsca postoju swojej baterii, w celu ustalenia na mapie miejsca jej usytuowania, co było niezbędne dla szybkiego, prowizorycznego obliczenia danych dla strzelania.

We wsi toczyła się bitwa, a wzdłuż drogi, w zdobytej już przez nas części wsi, gwizdały zabłąkane kule. Od razu w furcie natknąłem się na dwa trupy jakichś polskich żołnierzy. Obok jednego z nich leżał rower. Podniosłem go i pomknąłem rowerem wzdłuż wsi oddalając się od pola walki. Jechałem bardzo szybko, z duszą na ramieniu, przez cały biewiem czas droga ta była ostrzeliwana przez moździerze nieprzyjacielskie.

Po wykonaniu powierzonego mi zadania powróciłem tą samą drogą znów przeżywając lęk i niepokój, pędząc na złamanie karku środkiem wyludnionej wsi. Gdy dopadłem piwnicy poczułem ulgę, odprężenie i silne fizyczne osłabienie, wywołane przeżytym napięciem nerwów i strachem o swoje życie. Wkrótce cała wieś została zdobyta przez nasze wojska, a mnie powierzono udać się w asyście jednego żołnierza do pobliskiej wsi w celu wybrania miejsca na punkt obserwacyjny.

Wśród okolicznych lasów znajdowało się pole w kształcie kwadratu, o boku dwukilometrowym. Pole przecinała droga do wsi znajdującej się w jego środku. Wzdłuż tej drogi biegły okopy naszej piechoty, a pod lasem znajdowały się pozycje nieprzyjaciela.

Wszedłem na pole i zbliżyłem się na przekaj do wsi. Gdy byłem już na połowie drogi spostrzegłem pod lasem lekki dymek, a po chwili usłyszałem nad głową świst kul z krótkiej serii z karabinu maszynowego. Natychmiast padłem na ziemię, co uczynił też i towarzyszący mi żołnierz, który nie grzeszył zbytnią inteligencją. Był to Batar, który dostał się do polskiego wojska wskutek tego, że jego nazwisko miało polskie brzmienie - nazywał się bowiem Proszowski. Nie znał on ani języka rosyjskiego, ani polskiego, a na wszystkie zadawane mu pytania odpowiadał niezmiennie: "Boja ni tel na ni ponirajet". Przeleżałem około kwadransu po czym uniosłem nieco głowę dla zorientowania się w sytuacji. Znowu zobaczyłem dymek unoszący się spod lasu, więc szybko opuściłem głowę i przygłnąłem do ziemi, a nade mną zagwizdały kule.

Sytuacja była beznadziejna. Dochodziła godzina dziesiąta, do wieczora więc było jeszcze bardzo daleko, a ja rozumiałem, że wycofać się zdołamy tylko pod osłoną nocy. Na moje szczęście wkrótce na drodze ukazał się lekki samochód ciężarowy, który beztrząsco podążał w kierunku wsi posuwając się równolegle do linii frontu. Gdy samochód ten był już w połowie drogi do wsi, spod lasu wystrzeliło lekkie działo, a pocisk rozerwał się w pobliżu samochodu, który gwałtownie się zatrzymał. Dwie osoby obsługi pośpiesznie opuściły szoferkę kryjąc się w rowie przydrożnym. Następny pocisk ugodził w samochód, który stanął w ogniu.

Korzystając z odwrócenia uwagi nieprzyjaciela poczęliśmy czołgać się w kierunku powrotnym. Po godzinie czołgania się szczęśliwie dobrnąłem do brzegu lasu, w którym się ukryłem. Cały mundur na piersiach i na brzuchu był w strzępach. Skórzany pas i pokrowiec od pistoletu też były podrapane ostrymi kemykami. Obszedłem dookoła polanę, poważnie nadrabiając drogi, po czym ostrożnie schylony pobiegłem w kierunku wsi dbając o to, by budynki wiejskie stałe zasłaniały mnie przed gniazdem karabinu maszynowego.

Punkt obserwacyjny wybraлиśmy na poddaszu jednego z większych murowanych budynków we wsi. Nocą zajęliśmy wybrany budynek, obierając na kwatery jego murowaną piwnicę. Stanowisko lornety nocycowej na poddaszu urządziliśmy wyjmując jedną dachówkę i wysuwając przez nią obiektywy przyrządu ustawionego na statywie. Obok ustawiliśmy miękki fotel budując dookoła prowizoryczne ścianki z płyt chodnikowych.

W tej wsi przeżyliśmy wiele emocji, artyleria bowiem nieprzyjacielska stała ostrzeliwała ją burząc kolejno poszczególne budynki. Zniszczenie naszej kwatery było tylko kwestią czasu, prędzej bowiem czy później musiała przyjść kolej i na budynek zajmowany przez nas. Nasz dowódca baterii alarmował sztab prosząc o jak najszybsze wycofanie nas ze wsi.

Któregoś dnia o świcie zostałem zaalarmowany tym, że okopy obsadzone dotąd przez naszą piechotę, są puste. Sytuacja wyglądała groźnie. Polecilem więc kanonierom z mojego plutonu zająć opuszczone okopy i strzelać od czasu do czasu z różnych miejsc, by na Niemców sprawić wrażenie, że okopy zajęte są po staremu przez nasze wojska. Niezależnie od tego przygotowałem i podałem baterii cel na samego siebie, to znaczy na budynek zajmowany przez nas, licząc na to, że gdyby Niemcy przeszli do natarcia, wówczas zaczęli strzelać do zajmowanego przez nas budynku. Ukryci w piwnicy mniej będziemy narażeni na ogień własnej artylerii od znajdujących się nad nami Niemców. Wszystko jednak skończyło się pomyślnie, bo po godzinie okopy zajęła nasza piechota; alarm został odwołany.

Co miesiąc mieliśmy prawo przesyłać paczki do naszych rodzin. Jako żołnierz lub podoficer mogłem wysłać pięciokilogramowe paczki, a jako oficer dwięściodokilogramowe. Sporzędziłem więc paczkę składającą się z poniewieckich damskich oraz męskich ubrań i bielizny. Zaszyłem ją w płótno i zaadresowałem, po czym wraz z jednym z podoficerów siedliśmy na rowery i pojechalśmy drogą polną w kierunku poczty polowej, a więc oddalając się od linii frontu.

Gdy tylko budynki wsi przestały nas zasłaniać przed okopami niemieckimi usłyszeliśmy wystrzał lekkiego działa i świst zbliżającego się pocisku. Natychmiast gwałtownym ruchem skręciłem kierownicę roweru, co spowodowało upadek twarzą w kałużę przydrożną. Pocisk rozerwał się w pobliżu. Szybko przeskoczyłem do pobliskiego, łagodnego zagłębienia terenu, nawołując towarzyszącego mi podoficera. Po chwili usłyszeliśmy ponowny świst i drugi pocisk rozerwał się w pobliżu obrzucając nas błotem i grudkami ziemi. Oczekaliśmy pół godziny po czym gwałtownie poderwaliśmy się, siedliśmy na rowery i pojechalśmy dalej. Jechaliśmy tempem wyścigowym, więc stosunkowo szybko dopadliśmy brzegu lasu, w którym poczuliśmy się bezpieczni. Więcej już do nas nie strzelano.

Gdy po ponownym opakowaniu paczek w czyste płótno nadaliśmy je, powróciliśmy na kwatery tą samą drogą. Stwierdziliśmy, że droga jest ostrzeliwana przez artylerię niemiecką. W równych odstępach czasu padały pociski na drogę w różnych jej miejscach. Postanowiliśmy przeczekać. Jednak po dwóch godzinach próżnego czekania, zniecierpliwiliśmy się i ruszyliśmy przez odkrytą przestrzeń pola w drogę powrotną, opuszczając bezpieczną kryjówkę w lesie. Ja czekałem na wybuch pocisku, po czym wsiadłem na rower i jechałem przez parę minut w kierunku wsi, rozglądając się uważnie dookoła. Zauważyłem obszerną dziurę w ziemi wykopaną obok drogi, więc natychmiast przyhamowałem i skryłem się w tej dziurze. Po chwili usłyszałem wybuch pocisku, wobec czego pośpiesznie opuściłem dziurę i pojechałem dalej. Po przejechaniu kilkuset metrów znów zsiadłem z roweru i pokoczyłem się plackiem w nieznamym zagłębieniu terenu, gdzie pozostałem do następnego wybuchu pocisku. W ten sposób na raty przeżyłem całą dzielącą mnie ode wsi drogę.

Wkrótce zajęliśmy nowe pozycje. Znowu wysłano mnie w nocy do stanowiska baterii z poleceniem określenia na mapie jego położenia. Trudne to było zadanie, bo brak miejscowej ludności uniemożliwiało uzyskanie jakichkolwiek informacji, a porównanie szczegółów sytuacji wykazanej na mapie z terenem też było utrudnione panującą ciemnością.

Wszystkie zdobywane przez nas na terenie Niemiec wieś i miasteczka były, bądź całkowicie wyludnione, bądź też zamieszkałe przez niewielki procent ich ludności, która nie uległa panice na wieść o zbliżaniu się frontu. Określiłem więc

miejsce położenia baterii z pewnym przybliżeniem rzędu kilkuset metrów, po czym wróciłem do swego plutonu, gdzie czekał już na mnie nowy rozkaz, bym z radiotelegrafistą udał się na pozycje piechoty i stamtąd pokierował ogniem naszej baterii dla wsparcia natarcia piechoty.

Przybyłem na skraj lasu obsadzony naszymi wojskami. W polu, w odległości około pół kilometra widniała wieś zajęta przez wojska niemieckie, która stanowiła cel natarcia i cel ognia naszej baterii. Zdawałem sobie sprawę z tego, że na skutek niedokładności graficznego określenia z mapy danych niezbędnych dla prowadzenia celnego ognia, pierwsze pociski mogą z powodzeniem trafić nie w cel, lecz w zajmowany przez nas las. Kazałem więc towarzyszącemu mi żołnierzowi wykopać głęboki dół, do którego ukryłem się wraz z kilku innymi żołnierzami.

O świcie przez aparat radionadawczy podałem dane wyjściowe do strzelania i komendę "po 20 pocisków na działo salwa, po czym biegłym - ognia!" Co oznaczało, że dla zaskoczenia wroga nalożona pociskami rozpoczęła salwa a następnie strzelanie każdym z dział w możliwie szybkim tempie, aż do wystrzelenia 20 pocisków.

Usłyszałem oddalony huk wystrzałów, po czym świst zbliżających się pocisków. Dałem nura na dno zajmowanego przez nas dołu, nasłuchując jak pociski zbliżają się do nas. Po chwili usłyszałem ich wybuchy w dosyć sporej odległości od nas. Wziął mi. Wyjrzałem z dołu i zobaczyłem, że pociski padają na jeden koniec wsi. Szybko podyktowałem poprawkę, po czym pociski zaczęły prażyć w sam środek wsi. Przez lornetkę zobaczyłem, że odcinek szosy za wsią aż się roi od uciekających w wielkim tłumie żołnierzy niemieckich. We wsi parę budynków stało w płomieniach. Przeliczyłem ogień na szosie, a uciekające nią białe postacie rozbiegły się na wszystkie strony. Wtem nasze działa ucichły i wówczas otaczająca mnie piechota ruszyła do natarcia.

Ze wsi odezwały się karabiny maszynowe. Pół godziny później nasi sanitariusze zbierali licznych rannych i zabitych, a ze wsi wracali grupkami strudzeni żołnierze. Wielu z nich dźwigało ze sobą ciężkie walizki i worki zdobycznego mienia niemieckiego, śmiejąc się i żartując wesoło.

SŁUŻBA WOJSKOWA W OKRESIE POKOJU I POCZĄTKI DZIAŁALNOŚCI ZAWODOWEJ

Minęliśmy Berlin i szybko posuwaliśmy się dalej na zachód. Była już wiosna. Pewnego wieczora zakwaterowaliśmy w jakimś dworku, którego właściciele nie opuścili go i pozostali na miejscu.

Jeden z podoficerów żydowskiej narodowości polecił właścicielowi oprowadzić go po obszernym mieszkaniu. Rodzice kazali swej kilkunastoletniej córce pokazać mieszkanie. Gdy znaleźli się na piętrze w jakimś sypialnym pokoju, podoficer rozkazał dziewczynie rozebrać się i położyć do łóżka. Zastraszona panienka, drżąc na całym ciele, bez szemrania wykonała polecenie. Podoficer nie rozbierając się przystąpił do amorów, powtarzał przy tym wielokrotnie "ich bin Jude" to znaczy, "ja jestem Żydem". Odczuwał pełną satysfakcję, że on pogardzony przez Niemców Żyd, może teraz pozwolić sobie na bezkarne poniżenie i pohażbanie rodowitej Niemki. Zresztą dziewczyna odczuła wyraźną ulgę, gdy zorientowała się, że nie grozi jej wielokrotne powtarzanie podobnej sytuacji z innymi żołnierzami.

Innym znów razem weszliśmy do wsi zajętej przez naszą piechotę dopiero parę godzin temu. Wszystkie rodziny niemieckie, które nie uciekły przed nami, zebrały się w obszernej szkolnej sali gimnastycznej rozlokowując się na jej podłodze. Ja i mój kolega, dowódca innego plutonu, dobraliśmy sobie do towarzystwa podoficera, żydowskiej narodowości, dobrze znającego język niemiecki, z którym udaliśmy się na salę, zajęta przez niemieckie rodziny. Podoficer zagroził autematem, po czym coś po niemiecku powiedział do zebranych, a następnie wskazał palcem na trzy kilkunastoletnie dziewczyny, które ze szlochaniem podniosły się ze swych miejsc i udały się z nami do sąsiedniego ciemnego i pustego pokoju.

Ku naszemu zdziwieniu, natychmiast po zamknięciu drzwi do sali gimnastycznej, wszystkie trzy przestały płakać, szepcząc coś do siebie po niemiecku. Zaprowadziliśmy je do pustego pokoju, w którym zdjęliśmy płaszcze rozkładając je na podłodze obok siebie, a następnie każdy z nas wziął jedną z dziewczyn układając się z nią na podłodze. Młode panienki nie stawiały oporu, ani też nie okazały się dziewiczami. Nie przestały rzucać sobie szeptem urwanych zdań, dzieląc się wzajemnie jakimś uwagami. Moja partnerka w pewnej chwili zwróciła się do mnie z zapytaniem "Gut?", na co niezwłocznie odpowiedziałem jej ze śmiechem: "o, zehr gut!". My nie szukaliśmy przygód, jednak całkowity brak kobiet w ciągu dłuższego czasu dawał nam się przykro we znaki, a okoliczność, że wieś dopiero od paru godzin była w naszym ręku, pozwalała liczyć, że panienki nie są jeszcze chore wamarycznie. Ku naszemu zaskoczeniu, po otwarciu drzwi do ogólnej sali,

nasze dziewczyny, jak na komendę, znów buchnęły głośnym płaczem.

Następną noc spędziliśmy w opuszczonej wsi leżącej na skrzyżowaniu dwóch szos. W nocy zostałem obudzony przez podoficerów, jeden bowiem z naszych kanonierów zaopatrzył się w długi wycior do karabinu i przy jego pomocy nakłówał teren tak długo, aż natknął się na coś twardego. Po odkopaniu okazało się, że były to ukryte w ziemi zapasy sklepiku wiejskiego. Między innymi wykopano kilka skrzyń win. Jedna z nich przypadła dla podoficerów, którzy zaprosili mnie na libację. Wypiłem dwie pełne szklanki, jakiegoś słodkiego i ciężkiego wina hiszpańskiego, po którym mocno zaszumiało mi w głowie. Zresztą przypuszczam, że w całym plutonie tej nocy nie było chyba ani jednego trzeźwego.

Nad ranem, o świtaniu usłyszeliśmy oddaloną gęstą strzelaninę z broni maszynowej. Odgłosy szybko zbliżały się. Wypadliśmy z budynku i zobaczyliśmy, że wieś jest otoczona, ze wszystkich bowiem stron rozlegały się strzały, a w górę wystrzelały kolorowe sygnały rakietnic.

Natychmiast zaalarmowaliśmy dowództwo, które zarządziło ostre pogotowie. Ze wszystkich stron wsi u wylotów szos ustawiono, po obydwóch ich stronach, po jednym ciężkim działu w pełnej gotowości bojowej.

Ja z kilku podoficerami i kanonierami ułożyłem się w dużym leju po półtonowej bombie lotniczej. Okazało się, że nasz lekki karabin maszynowy zaciął się. Obsługa rozłożyła na ziemi chusteczki do nosa, na których poukładała rozbrane części zamka karabinu maszynowego. Po złożeniu zacięcie ustąpiło. Ja uzbrojony byłem w kilka obronnych ręcznych granatów i w pistolet "Nagan". Wysłałem dwóch zwiadowców z poleceniem rozeznania sytuacji. Po chwili zobaczyłem wracających biegiem zwiadowców, którzy od czasu do czasu przystawali strzelając z automatów. Oburzony byłem ich bezmyślnością, czy też rozstargnieniem, unosili bowiem lufy automatów nieco zbyt wysoko ogień więc ich nie mógł być skuteczny.

Zwiadowcy wpadli do leju z okrzykiem: "Koniec wojny, pokój!" Natychmiast lufa naszego karabinu maszynowego skierowana została w niebo, po czym wystrzelaliśmy cały ładunek bębena. Ja wystrzelałem z "Naganu" w górę cały bębenek amunicji. Opanowała nas nie dająca się opisać radość. Rzucaliśmy się sobie nawzajem na szyje całując się. Niektórzy płakali, inni śmiali się jak opętani. Zrozumieliśmy, że skończyła się już stała obawa o swoje życie i że wkrótce wrócimy do kraju.

Na rano jednak ruszyliśmy dalej na zachód i przed wieczorem znaleźliśmy się nad Łabą, gdzie zajęliśmy pozycje bojowe traktując wojska alianckie jako nowego wroga.

Po trzech dniach odwołano pogotowie bojowe. Spacerowaliśmy brzegiem rzeki po drugiej stronie której znajdowali się Amerykanie. Było już ciepło. Wprost knsiko rzucić się do wody, przepływając wąską w tym miejscu rzekę i znaleźć się po amerykańskiej stronie. Miałem jednak rodzinę w dalekiej Azji. Moi bliscy w tym przypadku byli poprostu zakładnikami. Z nadejściem wieczora bardzo wielu żołnierzy z różnych polskich jednostek przeszło na drugą stronę rzeki.

Po kilku dniach delegacja naszych władz wojskowych udała się do Amerykanów żądając wydania dezertersów. Wrócili jednak z niczym. Następnego dnia cofnięto nas o pięć kilometrów, a teren nadbrzeżny zajęły jednostki żandarmerii nie dopuszczając nikogo do rzeki. Wszystkie drogi prowadzące do Łaby zostały zagrodzone szlabanami i obstawione posterunkami żandarmerii.

Wkrótce cofnięto nas do lasów w okolicy Kostrzyna, gdzie przebywaliśmy około 2 miesięcy. Zapowiedziano nam, że życie frontowe rozluźniło w nas dyscyplinę wojskową i że będziemy tak długo siedzieć na odludziu aż nie stanimy się znów wzorową, zdyscyplinowaną jednostką wojskową. Za działalność bojową brygada nasza otrzymała order II klasy imienia Kutuzowa. Jak gdyby na ironię losu otrzymaliśmy order imienia feldmarszałka biorącego tego czasu wybitny udział w zwalczaniu powstań polskich przeciw rosyjskim zaborcom.

Nasze kwatery leśne znajdowały się nad brzegiem jeziora. Zabawialiśmy się wymianą zdobycznych zegarków. Jednym ze sposobów była wymiana na ślepo zwana z rosyjską "machniem", to znaczy "machniemy". Każdy z dwóch uczestników zamiany chował w garści wybrany przez siebie zegarek, naturalnie najgorszy, po czym ściśnięte pięćmi przykładano sobie wzajemnie do uszu, by przekonać drugą stronę transakcji zamiany, że zegarki chodzą, a następnie wymieściano zawartości dłoni i każdy z zainteresowaniem oglądał swój nowonabyty zegarek.

Innym popularnym zajęciem były zakłady o to, czy uda się przerwucić zegarek przez jezioro. Brało się w palce koniec dewiski rozkręcało się na dewisce zegarek i rzucało go się. Zegarek, bądź nie dolatywał do przeciwległego brzegu i tonął w jeziorze, bądź też dolatywał i rozbił się o brzeg.

Znów wróciłem do pomocy Łydy podoficera, z którym przeszedłem się do najbliższej wsi, gdzie on umówił, dla mnie i jeszcze dla jednego podoficera, randkę z dwiema młodymi wiejskimi dziewczynami niemieckimi. Zgodnie z umową ja miałem przynieść ze sobą bochenek świeżego żołnierskiego chleba, a mój towarzyszył podoficer 15 dekna cukru, wzmianka za co dziewczęta obiecały nam "rajski wieczór". W najbliższą więc niedzielę ogoliliśmy się starannie i wyruszyliśmy na romantyczną "przygodę miłosną".

Dziewczyn w domu nie zastaliśmy. Kazano nam poczekać chwilę i poszano po nie w pole. Zniecierpliwiony oczekiwaniem wyszedłem na szosę biegnącą środkiem wioski. Szosą zbliżał się kilkuset osobowy tłum ludzi. Były to przesiedlone z Łodzi na teren Niemiec rodziny niemieckie składające się wyłącznie z osób niezdolnych do pracy, a więc starców, staruszek i dzieci.

Widziałem wzbudzące litotę obrazki. Na przykład w wózku dziecinnym jechał siwobrody staruszek. Nogi zwisały mu z przodu z wózka, który pchała niewiele od niego młodsza otyła kobieta. Na dużym dwukołowym wózku na rozłożonej pierzynie jechało kilkoro małych dzieci, a wózek pchała strudzona ich matka. Wszyscy mijający mnie ludzie wlepiali wzrok w trzymany przeze mnie bochenek świeżego chleba. W końcu ktoś odezwał się do nas po polsku prosząc o chleb dla dzieci. Wiele się nie namyślając oddałem trzymany chleb, który natychmiast został pokrojony na drobne kawałki i porozdawany dzieciom. Mój towarzysz idąc w moją ślad oddał swój cukier. Wróciliśmy więc smutni do swych kwater, nie mieliśmy bowiem z czym się pokazać uroczym, oczekującym nas paniśkonem.

Wkrótce zorganizowana została samochodowa wycieczka do Berlina, w której wziąłem udział. Pierwszy raz w życiu cieszyłem się nieszczęściem innych. Gdy bowiem oglądałem całe dzielnice miasta zburzone przez lotnictwo i przypominające kikutami murów spaloną Warszawę - poczułem ogromną satysfakcję, że zniszczenie naszej stolicy zostało pomśczone i że Niemcy odczuli teraz na własnej skórze okropności wszczętej przez siebie wojny. W jakiejś bramie zaczepiła mnie starsza niewiasta zapatrzona w kilkanaście fotografii przystojnych i z wyglądu inteligentnych młodych kobiet, informując że mogą posiadać dowolną z nich za pół kilograma skoniny. Nie miałem jednak wówczas ani skoniny ani zapaku do takiego handlu zaniennego.

Wkrótce po powrocie z wycieczki przekroczyliśmy Odrę w drodze powrotnej do Polski. Nasze dowództwo miało kilka zdobycznych, poniemieckich samochodów osobowych. Ja natomiast już od dłuższego czasu jeździłem zdobycznymi motocyklami. Jeden z nich miał dziurawy bak, więc niezależnie od ilości przejechanych kilometrów, co rano należało napełnić bak paliwem. Jeździłem kolejno motocyklami DKW i KGV, a w końcu małolitrażowym motorowerem, który spisywał się znakomicie. Wszystkie motocykle pozbawione były akumulatorów, co zmuszało do ruszania "z popychem" przy pomocy dwóch żołnierzy pchających przez pierwsze parędziesiąt kroków motocykl, którego motor można było uruchomić dopiero po nabraniu sporej szybkości. Nie można też było zgasić motoru, aż do powrotu do kwatery. Natomiast z małolitrażowym motorowerem nie miałem podobnych kłopotów, motorek zaś pracował niezawodnie.

Otóż nasi oficerowie, chcąc przewieźć przez granicę zdobyte przez siebie samochody, zdobyli gdzieś kilkanaście krow, które pędzono za kolumną dział i samochodów wojskowych. Za krowami jechało kilka platform zaprzężonych w konie i załadowanych sianem stanowiącym paszę dla prowadzonego bydła. Po przekroczeniu granicy krowy zostały odpędzone a siano zrzucone z wozów. Okazało się, że na każdy wóz załadowany był samochód osobowy przykryty sianem. W ten sposób nasi wyżsi oficerowie potrafiliby oszukać radzieckie posterunki odbierające przywożone z Niemiec samochody i motocykle.

Po przekroczeniu Odry, skierowaliśmy się do Bielska-Białej, gdzie przez dłuższy czas stacjonowała nasza jednostka. Zastępca dowódcy brygady dotrzymał słowa, wszyscy bowiem moi koledzy, którzy skończyli wraz ze mną kurs oficerski w Józefowie pod Warszawą, awansowali w międzyczasie na podporuczników i poruczników, nie którzy zaś aż na kapitanów, ja natomiast pozostałem do końca w stopniu chorążego.

Obecnie dotrzymywana była druga część obietnicy, bo pomimo zakończenia wojny nie zwalniano mnie do cywila. Przystąpiono do przeróbki murowanych stajen koszarowych na boksy dla ciągników. W tym celu zorganizowano 60-osobową brygadę roboczą murarzy - na czele brygady postawiono mnie, byłem bowiem inżynierem. Nic mi nie pomogły zapewnienia, że nie jestem inżynierem budowlanym, lecz geodetą - wyznaczono mnie na kierownika robót, za które byłem odpowiedzialny. Murarze stawiali jakieś ścianki działowe, pojęcia jednak nie miałem o wykonywanej przez nich pracy. Nie wpływało to dobrze na moje samopoczucie.

W międzyczasie zgłosiła się do mnie matka jakiejś maturzystki z prośbą o udzielenie lekcji trygonometrii jej dwudziestoletniej córce Elżbie. Po pięcioletnim pobycie w kołchozie i na froncie zdziaczałem zupełnie, byłem jednocześnie spragniony towarzystwa kobiet, nic więc dziwnego, że zakochałem się bez pamięci w swej uczennicy. Atmosfera jednak panująca w sferach wojskowych nie pozwalała na zbyt poważne traktowanie kobiet. W wyniku ścierania się wpływu kolegów z wymi pragnieniami i tęsknotami zostałem wkrótce kochankiem swej uczennicy. Planowałem, że po zwolnieniu mnie do cywila zabiorę ją i jej matkę ze sobą na ziemię odzyskaną, gdzie rozpocznę nowe życie. Gdy jednak dziewczyna zawiadomiła mnie, że przyznała się wobec matki do swych grzechów, a w dodatku zaczęła flirtować z jednym z moich kolegów poczułem, że mija mnie ślepy szal miłości i zacząłem postępować rozsądniej, rezygnując z dalszych planów współżycia. Uświadomiłem bowiem sobie, że przecież posiadam żonę, która wkrótce wróci do Polski.

Dotychczasowy dowódca baterii awansował i przeszedł na inne stanowisko, my zaś otrzymaliśmy nowego dowódcę baterii. Był nim wysoki i smagły młodyczyna obdarzony ciemnym zarostem i dużym orlim nosem. Nazywał się Jerwad Danilane i

pochodził z Kaukazu. Był to bardzo wesoły i sympatyczny człowiek, który lubił kobiety i wódkę.

W ciągu tygodnia przepijał swoje pobory, po czym zwracał się do wszystkich ze swego otoczenia z prośbą o pożyczkę na dalsze picie. Naturalnie nigdy pożyczonych pieniędzy nie zwracał, a upominających się o zwrot zapraszał na wódkę, nic sobie z nich nie robiąc.

Zajmowaliśmy z nim wspólny pokój, w którym stale ktoś pił lub grał w karty, względnie wesoło zabawiał się z przygodnymi znajomymi paniami. Pod wpływem więc takiego najbliższego otoczenia, mój stosunek do Elżuni stawał się coraz to mniej sentymentalny, a coraz to bardziej lekki, a nawet cyniczny.

Pewnego pięknego dnia listopadowego 1945 r. przyszedł do mnie pisarz dywizyjny, żydowskiej narodowości, sympatyczny były student Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie, który osnażył mi, że mu się należy ode mnie co najmniej litr wódki, przyszedł bowiem rozkaz zwalniania z wojska nauczycieli, on zaś poprawił moją ewidencję uzupełniając ją notatką, że byłem asystentem Politechniki Warszawskiej.

Początkowo przestraszyłem się, że w razie jakiegokolwiek dochodzenia, łatwo może się okazać, że nie jest to zgodne z prawdą. Byłem mu jednak szczerze wdzięczny za ułatwienie mi porzucenia służby wojskowej, wojna bowiem już się dawno skończyła, a mnie pociągała praca w moim zawodzie geodety. Przy sposobności okazało się, że mój dowódca baterii ma jakiegoś znajomego oficera w Katowicach w jednostce wojskowej, do której zostałem skierowany w związku ze zwolnieniem mnie z wojska. Zaopatrzyłem się w dwie litrowe butelki bimbru i spory kawałek kiełbasy i w przeddzień stawienia się do jednostki, zgłosiłem się w prywatnym mieszkaniu tego oficera. Po zameldowaniu się oddałem list od swego dowódcy, po czym zatarłem ręce i postawiłem butelki na stole mówiąc, że jest zimno i w związku z tym warto by się było trochę napić za zdrowie wspólnego znajomego - mego dowódcy. Po wypiciu po pół szklanki bimbru resztę pozostawiłem na stole meldując swoje odejście.

Nasajutrz, gdy spotkałem się ze znajomym oficerem na terenie jednostki wojskowej, która miała załatwić formalności zwolnienia mnie z wojska, on wstał mnie do siebie i sam od ręki załatwił wszystko, bez zadawania mi jakichkolwiek pytań z wyjątkiem jednego: "dokąd choć jechać?". Odpowiedziałem, że do Warszawy. Wypłacone mi nie pamiętam już czy jedno, czy też trzymiesięczny żołd oficerski, odebrane gwiazdki z munduru i zaopatrzone w rozkaz wyjazdu stacjonujący bezpłatny bilet przejazdu do Warszawy. Stałem się więc tak swawym

pogardliwie "cywilem", a mój cały kapitał nowego startu życiowego redukowałem się do przykrywającego mój grzbiet munduru i do paru złotych w kieszeni. Po przybyciu do Stolicy, edzukałem swego kuzyna, lekarza, pracującego w szpitalu w Sochaczewie i na razie zamieszkałem z nim razem.

W ciągu najbliższych dni zgłosiłem się do Głównego Urzędu Pomiarów Kraju, gdzie dawny mój kolega akademicki, obecnie wice dyrektor departamentu rozłożył przede mną mapę Polski i polecił mi wybrać dowolną miejscowość - której bym chciał pracować.

Na razie nie miałem nic, musiałem więc zacząć od Ziem Odzyskanych co umożliwiło mi "wyszabrowanie" mieszkania i mebli, których nie miałem. Zamknąłem więc oczy i dotknąłem wskazującym palcem do mapy. Odczytałem pod palcem nazwę miejscowości "Cielęcino". Było to powiatowe miasto leżące w pobliżu magistrali kolejowej Warszawa-Poznań-Berlin w odległości kilkudziesięciu kilometrów na wschód od Odry. Otrzymałem skierowanie, z którym zameldowałem się u Pełnomocnika Rządu w Cielęcinie. Wkrótce zmieniono nazwę miasta na Sulęcino. Otrzymałem polecenie zorganizowania Referatu Pomiarów w Starostwie Powiatowym. Zarząłem jednak od zapewnienia sobie osobistego mieszkania. Zgłosiłem się do władz miejskich z żartobliwą prośbą o skierowanie mnie na kwatery do jakiejś młodej wdówki. Prośba moja została potraktowana serio i stałem się sublokatorem u dwudziestosześcioletniej, przystojnej blondynki z sześciolatnim synkiem. Mąż, jako żołnierz Armii Krajowej, został aresztowany i wywieziony w głąb Związku Radzieckiego, słowiana zaś wdówka Edyta, utrzymywała się z pokątnego handlu bimbrem z żołnierzami stacjonującą w mieście radzieckiej jednostki wojskowej. Otrzymałem pokój na poddaszu drewnianej willi z ogródkiem. Parter składający się z trzech izb mieszkalnych zajmowała Edytka z synkiem. Wkrótce sprawdziłem się z poddasza na dół, gdzie zamieszkałem razem z Edytą. Pierwszą wspólną naszą poważniejszą transakcją była wymiana 10 litrów bimbru za 10 centnarów żyta. Pod dom zajechał radziecki wojskowy samochód ciężarowy, z którego żołnierze przynieśli do jednego z pokoiów duże papierowe worki z żytem, następnie odebrali należne dziesięć litrów bimbru i odjechali. Całą następną noc spaliśmy w ubraniach uzbrojeni w siekiery w zabarykadowanym mieszkaniu, spodziewaliśmy się bowiem, że żołnierze wrócą i będą chcieli odebrać przehandlowane żyto. Obawy nasze nie spełniły się, wobec czego odwiedziłyśmy zdobyte żyto do młyna, a z uzyskanej maki jeden worek pozostawiliśmy sobie sprzedając resztę piekarzowi. Niezadowolony od dzimowanego chwilowe mieszkanie wyszukałem w mieście, w żadnej jego dzielnicy, imho mieszczące się na pierwszym piętrze niedużego budynku z ogródkiem, mieszkanie składające się z dwóch dużych pokoi i kuchni. Wędrowałem

całymi dniami po mieście obchodząc poszczególne opuszczone ponemieckie mieszkania i debierając dla siebie meble, sprzęty gospodarstwa domowego, firanki, bieliznę stołową, pościelową i osobistą, męską i damską oraz sukienki dla żony i matki. Wybrane rzeczy ścigałem do swego nowego chwilowo nie zajmowanego przez mnie mieszkania, które zamknięte na potężną kłódkę cierpliwie oczekiwało powrotu mojej rodziny. Było ono wyposażone w komplet mebli i sprzętu niezbędnego w gospodarstwie domowym. W szafach wisiały ubrania i leżała bielizna, okna były zasłonięte firankami, a kuchnia wyposażona w garnki, miednice, widelce, łyżki i noże. Było nawet sito i stolnica z wałkiem. Przystąpiłem też do zorganizowania Referatu Pomiarów. W tym celu znalazłem odpowiednie czterokondowe mieszkanie mieszczące się w pobliżu gmachu starostwa powiatowego. Okna z wybitymi szybami, bądź drzwi bez klamek wymieniłem na inne, wzięte z identycznych mieszkań mieszczących się na innych piętrach. Następnie umeblowałem lokal w sprzęt biurowy. Naturalnie szafy dla przechowywania map, których jeszcze nie miałem, musiałem zamówić u stolarza. Rozejrzałem się za personelem referatu. Stopniowo skompletowałem pracowników, których razem ze mną było pięciu. Ja byłem kierownikiem referatu. Moim pomocnikiem i zastępcą był inżynier wodny, absolwent Politechniki Lwowskiej, sympatyczny, miły i inteligentny pan Anatol S. Na pracownika pomocniczego przyjąłem energicznego i przedsiębiorczego młodego człowieka nie posiadającego żadnych kwalifikacji fachowych. Poza tym zatrudniałem jednego kreślarza i sekretarkę, którą była moja gospodyni Edytka. Pracę w referacie rozspeczkałem od poszukiwań i rewindykacji materiałów geodezyjnych i kartograficznych byłego katastru pruskiego.

Dowiedziałem się na przykład, że w miejscowym Nadleśnictwie, kartofle złożone w piwnicy chronione są przed mrozem dużymi arkuszami papieru. Okazało się, że papierem tym były esalidowe odbitki powiatowych map katastralnych. Za butelkę wódki, nabytą za własne pieniądze, udało mi się odzyskać te mapy. Gdy oddałem do siewca buciki do podzielenia zauważyłem, że stół przykryty jest dużym arkuszem czystego papieru. Jak to się okazało była to mapa katastralna odwrócona frontem do stołu, a szewc miał w zapasie więcej podobnych map, wymieniając stopniowo zbrudzone na okryte. Znowu za ćwiartkę wódki odzyskałem kilka następnych map. Przy pomocy drabiny strażackiej dostałem się przez okno do jedynego pomieszczenia dawnego ratusza, które nie uległo spaleniu i dostałem stamtąd anegry zestawień powierzchni działek katastralnych. Poza tym jeździłem do Skubia, gdzie grzebałem w materiałach przywieszonych z terenów NRD, między innymi podnajdywałem różne dokumenty geodezyjne i katastralne dotyczące interesującego mnie powiatu. Kreślarz całymi dniami sporażdał tak swą

matryce z odnalezionych odbitek map, pozwalające na powielanie ich w dowolnej ilości. W sumie zebrałem około 85 % pokrycia mapowego terenu powiatu. Pełnomocnik Rządu przedstawił mnie do odznaczenia państwowego, były to jednak stalinowskie czasy, więc odznaczenia nie otrzymałem pomimo niewątpliwych zasług - pracowałem bowiem z dużym zapałem i z dużą energią.

Władze wojskowe zgromadziły w jednej z miejscowości wszystkie ponemieckie pojazdy mechaniczne znajdujące się w danym rejonie terenu. Zgłosiłem się i zakupiłem używany motocykl starego typu belgijskiej firmy "P.N.". Byłem już o tyle wykształcony politycznie i społecznie, że kupiłem motocykl nie dla siebie, lecz dla Głównego Urzędu Pomiarów Kraju. Następnie otrzymałem z Urzędu pieniądze na przeprowadzenie generalnego remontu, po czym użytkowałem motocykl przez następne dwa lata do przejazdów służbowych i prywatnych po terenie swego powiatu. Nie posiadałem prawa jazdy, zamiast którego posługiwałem się pismem Pełnomocnika Rządu - przemianowanego później na Starostę Powiatowego. Treść pisma była mniej więcej następująca: "Do organów MOŚ Proszę się nie ośmieszać inżyniera K., który użytkuje motocykl dla celów służbowych", po czym następował podpis i urzędowa pieczęć. Zaświadczenie to umożliwiło mi swobodne poruszanie się w granicach powiatu. Przy użyciu więc tego motocykla dokonałem inwentaryzacji wszystkich punktów osnów geodezyjnych znajdujących się na terenie powiatu.

Wkrótce zostałem awansowany na stanowisko Mierniczego Powiatowego, a jednocześnie mianowany Kierownikiem Powiatowego Urzędu Planowania Przestrzennego. Miałem więc już urządzone życie i zupełnie niezłe zarobki, piastowałem przy tym już dość wysokie stanowisko.

Wicestarosta miał niższą ode mnie grupę w hierarchii służbowej urzędów państwowych. W tym bowiem czasie jeszcze nie nastąpiła reforma polegająca na zmianie gmin, starostw, czy wojewódzkich urzędów na prezydium odpowiednich rad narodowych. Wkrótce otrzymałem z dalekiego Kazachstanu wiadomość od rodziny, że następuje repatriacja i że lada dzień przyjadą do mnie matka i żona.

Gdy zawiadomiłem panią Edytę, że przenoszę się do swego mieszkania, zostałem silnie uderzony w bok rzuconym we mnie przez nią polanem drzewa opałowego. Edytka złapała ze stołu nóż i rzuciła się z nim na mnie krzycząc, że jestem obrzydliwym człowiekiem, krzywdzącym bezbronną kobietę. Odbrałem jej nóż, walnięm na łóżko i pocałem szczypać w tyłek. Edytka zaczęła krzyknąć z bólu, wobec czego szybko podbiegłem do okna, które otworzyłem na oścież.

zaczęając ją do głośniejszego krzyku, w celu wzbudzenia sensacji wśród sąsiadów.

Edytka przestała krzyżeć, a ja posbierałem swoje rzeczy i wróciłem do pokoiku na poddaszu.

W nocy obudził mnie synek Edytki zawiadamiając, że "mama kazała powieźć, że umiera". Zszedłem na dół i uratowałem nieszczęśliwą od niechybnej śmierci, pocieszając ją wszelkimi dostępnymi mi sposobami. Nazajutrz pożegnaliśmy się po przyjacielsku, po czym przeniosłem się do przygotowanego uprzednio własnego mieszkania.

Stopniowy powrót do normalnych warunków życia.

Któregoś dnia, w czasie pracy w Referacie Pomiarów, zostałem zawiadomiony telefonicznie, że na dworcu kolejowym oczekuje mnie matka i żona, które przyjechały przed chwilą transportem repatriantów. Pobiegiem jak opętany na dworzec, gdzie zastałem obydwie drogie mi kobiety na peronie nad tobołkami rzeczy.

Ubrane były w czarne, długie, za duże i niezbyt czyste płaszcze i chustki. Po przywitaniu się spostrzegłem, że w pobliżu stoi, moja do niedawna gospodyni mieszkania, a jednocześnie aktualna sekretarka w pracy, Edytka. Wystrojona w modny płaszczyk, w pantofelkach na wysokich obcasach, w kapeluszu z dużym rondem i wiązką kwiatów w ręce. Kontrastowo różniła się wyglądem od przybyłych pań.

Po chwili Edytka podeszła do nas i wręczając kwiaty przywitała przybyłe w imieniu pracowników Referatu. Tobołki załadowaliśmy na jednokonną furmankę, krocząc za nią środkiem jezdni, jak za karawanem pogrzebowym. Mijałismy właśnie domek zajmowany przez Edytę, z czego skorzystała uprzejma gospodyni, zapraszając moje panie do siebie na chwilę na szklankę gorącej herbaty. Spostrzegłem, że żona moja nieznacznie szturchnęła matkę szepcząc coś na temat mojej nowej żony. Takim obrotem sprawy wcale nie byłem zachwycony.

Moje kobiety zaskoczone były komfortem przygotowanego przeze mnie mieszkania i obfitością sprzętu gospodarskiego, bielizny, ubrań i.t.p. Ja natomiast nazajutrz pojechałem do Poznania, gdzie bez trudu udało mi się uzyskać u swojej władzy przełożonej, bezzwłoczne przeniesienie służbowe Edytki, do Gorzowa Wielkopolskiego, co stanowiło dla niej swego rodzaju awans, Gorzów był bowiem daleko większym miastem od Sulęcina, posiadającym teatr, kilka kinematografów i eleganckie kawiarnie. W ten sposób udało mi się uwolnić od niechlubnej przeszłości i zacząć nowe życie rodzinne. Nawiasem mówiąc zaskoczony byłem wówczas jedynością i świeżością własnej żony w porównaniu z Edytką,

Młodsza przecież od niej o całe dziesięć lat. Nic więc dziwnego, że już w rok później, około godziny szóstej rano, poprowadziłem swą żonę do miejscowego szpitala, zatrzymując się w drodze kilkakrotnie dla przeczekania ataków bólów porodowych. W szpitalu żonę zbadano, po czym stwierdzono, że do porodu pozostało jeszcze wiele czasu, w związku z czym chwilowo położono ją na łóżku w poczekalni szpitalnej. Po chwili żona zaczęła wzywać pomocy. Zanim przybiegł lekarz było już po wszystkim. Urodziła nam się córka. Gdy odwiedziłem swą żonę w szpitalu i obejrzałem córeczkę byłem wprost zaniepokojony jej dziwnym wyglądem. Zobaczyłem niemowlę o dużą zupełnie łysą główką, u spodu której znajdowała się malutka twarząca pomarszczona, jak gdyby u jakiejś babuni.

Wkrótce żona wróciła ze szpitala do domu. Kilka tygodni później pracownicy Urzędu Bezpieczeństwa aresztowali jedynego lekarza-Niemca, pod którego opieką znajdowała się tak niedawno moja małżonka.

W drodze do więzienia lekarz niespostrzeżenie zażył truciznę i zmarł. Jak się o tym dowiedziałem, był on urzędowym lekarzem więziennym w pobliskim miasteczku, gdzie robił różne medyczne eksperymenty nad więźniami, traktując ich jak króliki doświadczalne. Życie moje zaczęło płynąć w sposób unormowany, podobne więc niezamierzone narażenie swojej żony na niebezpieczne zetknięcie się z hitlerowskim lekarzem stało się dla mnie pewnym wstrząsem zwłaszcza, że pierwsze nasze dziecko nie żyło.

Wszystko jednak jest dobre, co się dobrze kończy, a zarówno żona, jak i córeczka czują się jak najlepiej. Szybko więc otrząsnąłem się z przykrego wrażenia i szczerze zająłem się niadczeniem córki.

Ochrzciliśmy ją wkrótce, przy tym nie miałem pojęcia jakie dać jej imię. W ostatniej chwili organista-autotechn, podesunął mi rzadko spotykane imię - Olga i tak już zostało. W domu z Olgi wkrótce zrobiła się Lala, a następnie pieszczotliwie i żartobliwie Srala, zużywała bowiem moc pieluszek. Zaczęły się dla mnie bezsenne noce. Gdy dziecko zaczynało płakać zrywałem się z łóżka, brałem je na ręce i tak długo nosiłem dookoła stołu, aż się uspokoiło i zasypiało. Zauważyłem, że zabieg ten był skuteczny i skracał okres płaczu, musiałem jednak co noc powtarzać go kilkakrotnie. Niemowlę dokarmialiśmy z butelki różnymi odżywkami, wyręczałem więc żonę w karmieniu jej z buteleczki. Po tak długim okresie życia w niernormalnych warunkach czasu wojny rozkoszowałem się życiem rodzinnym i miłymi kłopotami ojcostwa. Którejś nocy obudził nas płacz dziecka wydobywający się jak gdyby z podziemi. W łóżku córki nie było. Po chwili znalazliśmy ją na podłodze pod łóżkiem. Nie mam pojęcia, jak się tam dostała, spała bowiem w środku, pomiędzy mną i moją małżonką, na familijnym

poniemieckim łożu, o tak imponującej szerokości, że z pewnością w razie konieczności pomieściłoby na siebie co najmniej pięć dorosłych osób.

Na głowie córki pojawił się śmiechy meszek, który wkrótce zmienił się na włosy, twarząca zaś zajmowała coraz to większą część główki, wyglądała teraz zupełnie inaczej, wyglądała się przy tym postępując się fałd i zmarszczek. Czuję się więc szczęśliwym ojcem. W pracy już mi nie wystarczyły oddane zajęcia w referacie, więc zgłosiłem się do władz wojewódzkich, skąd otrzymałem zlecenie wykonania regulacji rolnej jednej z okolicznych wsi.

Ziemie ponemieckie należało pomierzyć, a następnie podzielić na gospodarstwa rolne, przydzielając poszczególnym osadnikom od 12 do 20 hektarów terenów uprawnych. Jednocześnie duże mурowane zagrody, które za niemieckich czasów stanowiły ośrodki 60-80 hektarowych gospodarstw, należało tak rozdzielić, by mogły służyć kilku rodzinom, właścicieli nowych mniejszych gospodarstw. Niezależnie od tego podjąłem się identycznej pracy w innej wsi, z ramienia kolegi akademickiego, który jako samodzielny miernik przyjął zlecenie pomiaru i regulacji kilku wsi. Mój zastępca inżynier Anatel S. również podjął się regulacji jednej z pobliskich wiosek, instruując się u mnie o sposobie wykonywania sadzenia, a jednocześnie wyręczając mnie w pracach kreślarskich, które zawsze były słabą stroną moich umiejętności fachowych.

Zdziwiony byłem, gdy okazało się, że zająłem trzecie miejsce w województwie we współzawodnictwie i gdy sam wojewoda wręczył mi dyplom honorowy i nagrodę pieniężną. Wyróżnienie jakie mnie spotkało chciałem uczcić libacją, zaprosiłem więc wszystkich swoich przełożonych do restauracji w Poznaniu. Niestety jednak był to okres ograniczeń żywnościowych, wobec czego poczęstunek musiałem się ograniczyć do pewnej ilości wódki, chleba i kiełbasy. Prymityw przedłożył mi nadal. W następnym roku zostałem wysłany do Poznania, gdzie zawiadomiono mnie, że wydzielone przede mnie gospodarstwa 12-20 hektarowe są stosunkowo duże, że nie należy produkować bogactw wiejskich i że wobec tego polecają mi, naturalnie za wynagrodzeniem, ponowną regulację rolną tej wsi, mającą na celu utworzenie gospodarstw 8 hektarowych. Chętnie podjąłem się nowego sadzenia. Już się nie musiałem liczyć z grozami, zarobki moje bowiem były wysokie. Kolega również poprosił mnie o wykonanie regulacji następnej wsi z jego upoważnieniem. Gdy pomiar został już dokonany zostałem zawiadomiony, że przewiduje się kolektywizacja wsi w związku z czym należy przerwać resztką pracę, po zakończeniu jednego z jej etapów. Skaża mi było przerwać robotę na pomiarze, w szybkim więc tempie opracowałem projekt podziału terenów wsi na gospodarstwa. Przy tym wiedziałem, że projekt ten nigdy nie zostanie zrealizowany, opracowałem więc projekt nowej po akademicku, w myśl zasady, że "papier jest siłą", to

znaczy projektowałem zgodnie z wiedzą fachową, lecz bez żadnego porozumienia się z zainteresowanymi osadnikami. Po roku ciekaw byłem, jak też prosperują moje 8-hektarowe gospodarstwa. Jakże byłem zdziwiony, gdy dowiedziałem się, że w dwa razy regulowanej przesennie wsi, naturalnie nie za darmo, obecnie zorganizowane spółdzielnię produkcyjną, a wszystkie założone przeze mnie na terenie gruntów wsi znaki graniczne - zostały wykopane, a miedze zasrane przez traktor.

Zdziwienie jednak moje przerodziło się w zdumienie, gdy zostałem wezwany do okazania granic działek wyznaczonych w drugiej wsi, zgodnie z moim projektem wykonanym uprzednio w świętym przekonaniu, że nigdy nie zostanie zrealizowany. Ryżem zaniepokojony i przerażony, tym bardziej, że dowiedziałem się, iż wszystkie dwuhektarowe tak zwane działki rzemieślnicze nie mogą być okasane przysięgą swym użytkownikom, są bowiem zalane wodą w związku z wiosennym rozlewem Odry. Nie darmo jednak przysłowie mówi, że "kupim szczęście", lub "więcej szczęścia niż rozumu", zainteresowani bowiem wnieśli tylko dwie skafgi, które umrane zostały przez władze za nieuzasadnione.

Osadnicy obywatelnie przyjęli zalane wodą działki, rzeka bowiem namuliła je użytkując ziemię, podobnie jak to się dzieje nad brzegami Nilu. W międzyczasie zgłosiłem w Państwowym Urzędzie Repatriacyjnym straty wojenne w postaci obydwoh zabudowanych działek w osadzie M., to jest na terenie, który pozostał poza granicami Polski. Z tego tytułu, jako osadnikowi wojskowemu i jako spadkobiercy swego ojca, należała mi się rekompensata w postaci bądź gospodarstwa rolnego, bądź też domku z ogródkiem w mieście. Upatrzyłem sobie odpowiedni domek, sam bowiem z urzędu, jako mierniczy powiatu, prowadziłem akcję osadnictwa miejskiego. Jednak powiatowa Komisja Osadnictwa Miejskiego, pod przewodnictwem Zastępcy Przewodniczącego Prez. PRN odmówiła przyznania mi domku wskazując, że człowiek z tak wysokimi zarobkami, a w dodatku inteligentnego pochodzenia, nie reprezentuje sobą świata pracy.

Decyzja ta oburzyła mnie, natychmiast więc udałem się do Warszawy, szukając tam sprawiedliwości. Zgłosiłem się do kolegi akademickiego, który obecnie był aktywnym członkiem partii i zajmował poważne stanowisko w Głównym Urzędzie Pomiarów Kraju. Kolega obiecał mi pomoc, namawiał jednak bym persunął się do Warszawy, o ile tylko mam gdzie się w niej uleknąć. Kusym mój lekarz, odbudował domek swych rodziców na Żoliborzu, i właśnie w tym czasie obowiązywał na nie dekretowe obciążenie człowieka, chętnie więc zgodziłem się

na odstąpienie mi jednego pokoju z prawem wspólnego użytkowania łazienki i kuchni, oraz ogrodu. Wkrótce więc zostałem przeniesiony służbowo z Sulęcina do Warszawy, a Prezydium Powiatowej Rady Narodowej otrzymało pismo, w którym Główny Urząd Pomiarów Kraju wytykał władzom powiatowym, że "nie umiały utrzymać na Ziemiach Odzyskanych wybitnego fachowca", co było dla mnie wystarczającą rekompensatą za krzywdzące mnie orzeczenie Komisji Osadnictwa Miejskiego.

Rozpocząłem więc pracę w Biurze Technicznym Urzędu. Charakter mej pracy zmienił się radykalnie. Zostałem wysłany w teren, jako wykonawca prac triangulacyjnych prowadzonych w skali ogólnokrajowej.

Miałem do swej dyspozycji amerykański, terenowy samochód ciężarowy z obsługującym go kierowcą oraz skłębciu robotników fizycznych i niezbędną sprzęt. Moim zadaniem było ustalanie miejsc lokalizacji przyszłych wież triangulacyjnych oraz określania niezbędnej wysokości tych wież. Posługiwałem się składanym, 18-metrowym skłębciem, który był ustawiany w miejscu wybranym przeze mnie na zabudowanie go w przyszłości wieżą triangulacyjną. Skłębciem podtrzymywany był w pozycji pionowej przy pomocy szeregu linek stalowych przymocowanych do metrowej długości kołków dębowych powbijanych do ziemi. U góry na skłębciu znajdował się blok, przez który przechodziła gruba lina konopna, której jeden koniec zakończony był drewnianym siodełkiem, drugi zaśszedł do ręcznej dźwigarki, przy pomocy której wciągany byłem przez robotników na szczyt skłębcia, z którego przez silnie powiększającą lornetkę obserwowałem widoczność sąsiednich miejsc przyszłych wież triangulacyjnych zamarkowanych w terenie przy pomocy kilkunastometrowych wiech drewnianych zapatrzonych w duże biało-czerwone flagi. Praca więc zespołu polegała na odnalezieniu z mapy miejsca oznaczonego w projekcie triangulacji na ustawienie wieży, wybraniu w terenie najwłaściwszej lokalizacji tej wieży, wyładowaniu z samochodu i zmontowaniu na ziemi skłębcia wywiadowczego, podniesienie go do pozycji pionowej i zabezpieczeniu linami przed upadkiem.

Następnie wciągano mnie na szczyt skłębcia, na którymtkwilem całymi godzinami wypatrując wiech z flagami odległych od 6 do 12 kilometrów. W przypadku stwierdzenia drobnej przeszkody terenowej zaszkadzającej widoczność należało ją zidentyfikować w terenie i usunąć.

Najczęściej przeszkodą taką było pojedyncze wysokie drzewo, względnie kępa drzew zarastających jakąś wyniosłość terenu. Należało więc spiłować przeszkadzające drzewa, względnie uciąć część dużych kenarów, czy nawet też i gałęzi nasłaniających widoczność. Praca więc była bardzo ciekawa zwłaszcza, że od umiejtnego

wybrania miejsce na wieże zależała ich przyszła wysokość, a więc i koszt dalszych prac triangulacyjnych. Należało w ten sposób uytuować przyszłe wieże, by przy jaknajmniejszej wysokości tworzyły szereg trójkątów możliwie zbliżonych do równobocznych.

W ciągu bardzo krótkiego czasu awansowałem z wykonawcy na kierownika grupy. Otrzymałem do swojej dyspozycji lekki, terenowy samochód typu wojskowego, tak zwany "kazik" z dwukołową przyczepą dla przewożenia sprzętu biurowego oraz lekki motocykl na wypadek zepsucia się samochodu. Miałem nadzór nad pracą sześciu zespołów wykonawczych, jednego z których kierownikiem sam byłem do niedawna. Żonę moją przyjęto również do pracy. Żona pracowała u mnie w charakterze sekretarza technicznego, jeździliśmy więc razem ja, moja żona i córka. Oprócz tego do personelu kierownictwa grupy powiarowej należał jeszcze kierowca samochodu i technik-kreślarz. Mniej więcej co dwa tygodnie zmienialiśmy kwatery, zajmowane z reguły we wsiach. Kwatera taka składała się z izby zajętej przez kancelarię, w której pracował technik-kreślarz i żona-sekretarka, oraz z przyległego pokoju, w którym mieszkaliśmy wraz z żoną i córką. Śmiesznie wyglądało, gdy późną jesienią przy zmianie kwatery siadałem do samochodu odziany w obszerny służbowy kożuch barani, a spod mojej głowy wychylała się główka mojej córki, siedzącej na moich kolanach pod kożuchem, jak gdyby w torbie kangura.

W ciasnym więc pokoiku na Żeliborzu przebywaliśmy tylko w ciągu czterech miesięcy zimy, resztę czasu spędzając na konie przyrody, w coraz to innej wsi. Prowadziliśmy więc życie cygańskie, stale przebywając na świeżym powietrzu. Moje zespoły wykonawcze rozlokowane były zazwyczaj wokół mojej kwatery, w odległościach od niej, od kilkunastu do kilkudziesięciu kilometrów. Od siódmej więc z rana, do późnej nocy jeździłem samochodem od zespołu, do zespołu kontrolując wykonywaną przez nich pracę, dostarczając im niezbędne materiały, gotówkę i ceki benzynowe oraz odbierając od nich dokumentację techniczną wykonywanej roboty. Kierownikami zespołów byli inżynierowie, najczęściej mili i sympatyczni ludzie, którzy nie żalowali wysiłków przy sumiennym wykonywaniu powierzanych im czynności. W przypadkach występujących trudności musiałem im pomagać w ich pokonywaniu. Byłem więc jedyną i ostatnią instancją decydującą o wszelkich rozwiązaniach technicznych i organizacyjnych. Sam nie miałem do kogo zwrócić się o radę i pomoc. Wyrobiło to we mnie samodzielność i łatwość brania na siebie odpowiedzialności, za powzięte przez siebie decyzje. Praca więc była bardzo ciekawa i bardzo samodzielna.

Polubiłem swe obowiązki i z zapałem oddawałem się im, zwłaszcza, że zmuszały mnie one do samodzielnego rozwiązywania często bardzo trudnych zagadnień technicznych. Zmuszały mnie także do stałego przebywania na świeżym powietrzu co, jak się o tym później przekonałem, zbawiennie wpływało na utrzymanie mnie w dobrej kondycji i wysokiej sprawności fizycznej, aż do obecnej chwili. Często, by zastać kierownika zespołu na jego kwaterze, musiałem udawać się do niego już po zachodzie słońca, co w konsekwencji powodowało konieczność powrotu do swojej kwatery już po północy. Miałem w tym czasie bardzo kulturalnego i miłego kierowcę, który, siedząc za kierownicą, od świtu do późnej nocy niejednokrotnie był poważnie zmęczony i niewyspany. Musiałem więc go wyręczać. Zmienialiśmy się miejscami, ja siadałem za kierownicą, a kierowca drzemał siedząc na moim miejscu. Uprzednio bardzo dużo jeździłem motocyklami różnych typów, nie sprawiało mi więc trudności prowadzenie samochodu, nie posiadałem jednak prawa jazdy. To też ogarnęło mnie przerażenie, gdy któregoś mroźnego dnia późnej jesieni siedząc za kierownicą zobaczyłem "lizaka" służby ruchu KO. Ubrany byłem identycznie z kierowcą, obydwaj mieliśmy na sobie buty filcowe, długie kożuchy i skórzane pilotki na głowach. Szybko więc porozumiałem się z kierowcą, po czym elegancko zjechałem na brzeg szosy i zatrzymałem się. Obydwój z kierowcą natychmiast wyskoczyliśmy z samochodu, podbiegliśmy przed niego, okapaliśmy się za ramiona i okręciliśmy się dookoła wspólnaj on, po czym kierowca wrócił na miejsce za kierownicą narzekając na dojmujące zmno, a ja powróciłem na swoje miejsce obok niego. Tej sprytniej zmiany miejsc nie zauważył funkcjonariusz MO i w ten sposób udało nam się uniknąć poważnych przykrości. Innym znów razem, jadąc w nocy zostaliśmy oślepieni przez reflektory jakiegoś samochodu ciężarowego, zdyżającego w przeciwnym kierunku. Ja byłem mniej oślepiory zauważyłem więc przed nami jadącą w tym samym kierunku co i my furmankę chłopską, zdziwiło mnie, że pomimo szybkiego jej doganiania kierowca nie zwalnia, ani też nie myśli o jej omijaniu w celu bezkolizyjnego wyprzedzenia. Krzyknąłem więc "uwaga, furmanka", po czym kierowca zaczął gwałtownie hamować. Było jednak już za późno na jakiegokolwiek zabiegi i silnie uderzyliśmy zderzakiem w tył furmanki. Kierowca natychmiast wyskoczył z samochodu i pobiegł do tyłu zwymsłać szofera prowadzącego samochód, który nas oślepił swymi reflektorami. Ja natomiast pozostałem na miejscu zafascynowany widokiem konia, który najpierw zgiął się w palak, jak jeźniogarnby wielbiąd, a następnie dał dużego susa. Natomiast drzemający fur-

man spadł z siedzenia do tyłu na deski wozu umosząc nogi wysoko w górę i gubiąc czapkę, po czym wstał, podszedł do mnie i biorąc mnie za kierownicę i sprawcę uderzenia zaczął mnie wymyślać, klnąc z dużą wprawą w sposób wielce urozmaicony. Wyjaśniałem, że jestem pasażerem i "że cierpię na niewinność" słuchając jego narzekai, pogroźek i obraźliwych spitetów, lecz słowa moje nie odniosły żadnego skutku.

Dopiero gdy nadzedeł kierowca, gospodarz osłupiał ze zdumienia i otworzył szeroko usta, lecz nic nie powiedział, machnął tylko ręką, wsiadł do swej furmanki i ruszył w drogę. W ^{ten} sposób winowajca uniknął przykrych następstw swego czynu. Zresztą ani wozu, ani samochodu zderzenie nie uszkodziło. Innym znów razem jadąc boczną drogą i przejeżdżając przez dużą kałużę kierowcą tak niefortunnie przełożył biegi, że ukamał wąż rączki biegów, który wpadł do skrzynki biegów. Samochód zatrzymał się w środku kałuży. Chcąc go opuścić musieliśmy zdjąć obuwie i zakasać spodnie. Koźmi wyciągnęliśmy samochód z kałuży, po czym spuściliśmy olej ze skrzynki biegów i przepukaliśmy ją naftą, a następnie wtoczyliśmy stosunkowo lekki samochód na pochyłość, ustawiając go bokiem do kierunku spadku terenu i przewróciliśmy go na bok. Przy pomocy drutu udało nam się wyciągnąć urwaną część rączki biegów spomiędzy trybów, po czym bez zbyteńnego wysiłku ustawiliśmy samochód spowrotem na cztery koła. Zespawanie i wmontowanie rączki biegów nie sprawiło już poważniejszych trudności.

Któregoś dnia, gdy popsukł nam się samochód, udałem się do "Motozbytu", gdzie przekazałem samochód do remontu. Sporządzone przez siebie odręczne pismo w tej sprawie doręczyłem osobiście obsłudze warsztatów remontowych. Zapytano mnie o jakieś szczegóły, po czym zwrócono się do mnie z prośbą bym przywołał tego inżyniera, który napisał dostarczone przeze mnie pismo. Gdy wyjaśniłem, że właśnie ja jestem tym inżynierem, wszyscy obecni wybuchnęli śmiechem, żartując sobie ze mnie i posądżając mnie o wypicie zbyt wielkiej ilości wódki - wzięte mnie bowiem za kierowcę, wyobrażając sobie pana inżyniera w półbucikach i w kapeluszu na głowie. Dopiero po sprawdzeniu mego dowodu osobistego z fotografią zaczęto ze mną rozmawiać poważnie.

Później, gdy któregoś dnia przyjechał z Warszawy inspektor, jechaliśmy o zroku szosą, z przeciwnej strony nadjechała furmanka wiejska, po minięciu której kierowca dodał gazu.

W tej chwili z przyległego do szosy rowu wypadło źrebak, które padło galopem nam na spotkanie samym środkiem szosy. Niewiadomo było, którą stroną szosy

jechał, by je minąć. Ostatecznie samochód uderzył lewym przednim kołem w zadźrebaka, a że przy tym kierowca silnie zahamował, więc samochód zmienił kierunek ruchu i potoczył się ukosem poprzez rów przydrożny na łąkę, wpadając po drodze na dużą przyzamę kamieni polnych przygotowanych do naprawy szosy. Gdy przód osunął się z kamieni na łąkę, tylne koła samochodu wskoczyły na kamienie ułożone do wysokości około jednego metra. Spowodowało to wyrzucenie wszystkich trzech osób z samochodu jak z procy. Przeleciałem w powietrzu, zataczając łuk, odległość około dwóch metrów i padłem płackiem na miękką podmokłą łąkę. Obok mnie przetoczyło się urwane koło samochodu. Czuję się ożył połamany od tego silnego upadku. Zarówno ja, jak też i kierowca oraz inspektor, poza ogólnym potłuczeniem, wyszliśmy z tej kraksy bez szwanku. Samochód natomiast miał urwane przednie koło, resor zgłębiony pod kątem prostym, ramę pękniętą w dwóch miejscach i skrzynkę biegu oderwaną od ramy. Myślałem, że tylko "ruska stal-gniotsa, nie łamiotsa"; a okazało się, że i resor z amerykańskiej stali też potrafi zgłęb się i nie złamać.

Ściągnęliśmy wrak samochodu z kamieni i podkładając drogę zamiast brakującego koła, zaciągnęliśmy go pomału koźmi do kwatery. Kierowca siedział okrakiem na masce i powoził.

Oddaliśmy samochód do naprawy. Kierownikowi warsztatu zapłaciliśmy ekstra z prywatnych funduszy, za wymianę uszkodzonych części, po czym personalowi biurowemu postawiliśmy kilkadziesiąt ciastek i w ostatecznym wyniku naszej akcji uzyskaliście rachunek niezbyt wysoki za przejrzenie instalacji elektrycznej, odpowietrzenie hamulców i temu podobne czynności no i naprawiony samochód z wymienionymi zniszczonymi częściami. Nie tylko jednak jazda samochodem dała nam się we znaki, bo i przy montażu szupa mieliśmy kilka wypadków, zakończonych chwałą Pogę, pomyślnie i bezkrawo.

Któregoś dnia, gdy jeden z robotników został wciągnięty na szczyt szupa, kilka kołków wyrwało się z ziemi i szup zaczął padać, początkowo wolniutko, a następnie coraz to prędzej. Robotnik siedzący na wysokości 18 metrów nad ziemią szybko się zorientował, odczepił strażacki pas ochronny i przesunął się na słupie tak, by pędać przodem, a jakieś dwa metry od ziemi odbił się silnie nogami od szupa i wylądował w pełnej od niego odległości do głębokiego piasku. Po kilku godzinach stękania zdolny był do dalszej pracy.

Innym znów razem, gdy spuszczone mnie na linie ze szupa, na którym tkwiłem przez parę godzin, stanąłem pod nim na chwilę. Usłyszałem silny świst po czym pod moje nogi upadła górna część szupa razem z bloczkami, na którym

niedawno wisiałem, ucięta ukośnie, jak gdyby nożem. W porę więc opuściłem stanowisko obserwacyjne na szczycie słupa wywiadowczego. Pracowałem więc dalej z nieszablonowym zapalem, interesowała mnie bowiem ta trudna i bardzo samodzielna praca. Wkrótce zostałem kierownikiem grupy triangulacji wyższego rzędu, w której trójkąty miały boki około 30 kilometrów. Tu już 18 metrowy słup nie wystarczał.

Zespoły zaopatrzone były w tak zwane składane drabiny wywiadowcze. Urządzenie takie składało się z szeregu lekkich segmentów, o długości pozwalającej na łatwy ich transport. Z części tych budowało się coś na kształt drewnianego komina, którego dwie ściany były drabinowe, a drugie dwie składały się z lat tworzących kratownicę łączącą te dwie drabiny w jedną całość wysokości 40 metrów, to jest kilkunastopiętrowej kamienicy. Przekrój drabiny wywiadowczej pozwalał na swobodne poruszanie się wewnątrz i wspinanie się po niej na sam jej szczyt. Drabina taka w pozycji pionowej utrzymywana była przez szereg napiętych drutów umocowanych jednymi swymi końcami do drabiny, na różnych jej wysokościach, a drugimi do kołek wbitych do ziemi. Dla umożliwienia zaobserwowania przez lornetkę sąsiedniej, podobnej drabiny, należało na jej szczycie o z góry określonej godzinie palić światło. Był to bądź silny reflektor, zasilany prądem z samochodu, bądź też poprostu szmaty grube nawinięte na kij, oblane naftą i zanurzone w popiele w celu przedkubienia czasu ich spalania się. Grupę pracowała nad samą granicą państwa, musiałem więc każdorazowo porozumiewać się z wojskowymi posterunkami granicznymi, w celu uzyskania pozwolenia na wykonywanie pracy w strefie przygranicznej. Uważałem za celowe uprościć tę procedurę i po porozumieniu się ze swymi przełożonymi złożyłem w Warszawie w Urzędzie Bezpieczeństwa imienny spis czterdziestoosobowej grupy pracowników z prośbą o zezwolenie pracy na długości całego odcinka zakładanej sieci triangulacyjnej. Naturalnie na pierwszym miejscu spisu figurowało moje nazwisko. Sam osobiście zanieśłem wniosek do Urzędu, po czym wróciłem w teren, do swej pracy. Wkrótce otrzymałem depezę wzywającą mnie do Warszawy, gdzie polecono mi przekazać kierownictwo grupy innemu pracownikowi i zabrać się do innej pracy. Zostałem bowiem przez Urząd Bezpieczeństwa skreślony z listy dopuszczonych do pracy na granicy państwa.

Już od dłuższego czasu pracowałem w przedsiębiorstwie państwowym, utworzonym z tego biura urzędu, w którym rozpocząłem pracę. Wkrótce część personelu z tego przedsiębiorstwa wydzielono, przenosząc go do innego przedsiębiorstwa państwowego w związku z rozszerzeniem zakresu jego działania.

Rozpocząłem pracę w innym asortymencie robót. Grupa moja prowadziła precyzyjne pomiary tras kolejowych w związku z elektryfikacją niektórych jej linii. Praca ta bardzo się różniła od poprzedniej była jednak również wyjątkowo ciekawa wymagała bowiem wiele pomysłowości, by przebrnąć przez szereg przeszkód zarówno w postaci łuków, nasypów i wykopów, jak też i warunków pogodowych ograniczających pracę w dni słoneczne do kilku godzin porannych i kilku godzin przed zachodem słońca.

I znów wydarzyło się w trakcie pomiarów parę wypadków, które utkwiły mi w pamięci. Jeden z kierowników zespołu pomiarowego usiadł na skrzynce od instrumentu ustawionej pomiędzy torami i tak głęboko zamyslił się nad notatkami dotyczącymi wykonywanych przez zespół czynności, że nie zauważył nadejścia pociągu. Wystająca część koła parowozu zaczęła i porwała w strzępy płaszcz na jego plecach, nie pozostawiając na ciele nawet najmniejszego zadrapania. Gdyby siedział nieco mniej pochylony, prawdopodobnie już by nie żył. Inny kierownik zespołu pomiarowego w sobotę wieczorem wybrał się motocyklem do Warszawy odległej około 200 kilometrów. W nocy zdrzemnął się i w ciemności wjechał z tyłu na nieoświetloną furmankę, uderzając kolanem w stalową obręcz koła pojazdu. Inżynier ten pozostał kaleką na całe życie. Mnie chwala Bogu nie wydarzyło się nic podobnego, miałem jednak również niecodzienne przygody. W okresie, gdy były trudności ze zdobyciem mięsa, jesienią wracałem samochodem z terenu pracy do Warszawy na okres zimowy. Przy sposobności na wsi do spółki z kierowcą zakupiłem dużego wieprza, którego po poćwiartowaniu i zasoleniu załadowałem do dużej drewnianej skrzyni przeznaczonej do przewożenia dokumentów podlegających specjalnej ochronie. Mięso wypełniło trzy czwarte pojemności skrzyni. Z góry ułożyłem dokumenty służbowe, po czym skrzynkę zamknąłem na kłódkę i zabezpieczyłem pieczęcią wyciśniętą w plastelinie. Na rogatkach Warszawy, samochód zatrzymał milicjant i przedstawiciel społecznej komisji zwalczającej nielegalny handel mięsem. Sprawdzone wszystkie bagaże wiezione przez nas samochodem, w poszukiwaniu mięsa, po czym zapytano mnie co zawiera ta duża skrzynia zamknięta na kłódkę. Bez chwili namysłu odparłem beztrudnie zgodnie z prawdą, że wieziemy w niej sto kilogramów wieprzowiny. Sprawdzający rezeźmiarli się mówiąc do mnie: "no, niech pan nie żartuje", po czym pozwolili nam ruszyć w dalszą drogę.

W domu czekało na mnie wezwanie do stawienia się w posterunku MO. Gdy poszedłem tam w ustalonym terminie, zapytano mnie "czy podejrzany wykonywał prace pomiarowe na Ziemiach Odzyskanych?" "Tak". "A czy podejrzany na-

mawiał na zebraniu ogólnym gospodarzy, by stawialiśmy wódkę?" "Nie przypominam sobie tego", "ale przepraszam, lecz o co ja jestem podejrzany?" "O łapownictwo". Masz ci babo placek! Uświadomiłem sobie skąd wzięło się to niedorzeczne podejrzenie o łapownictwo. Na ogólnym zebraniu gospodarzy regulowanej wsi poniemieckiej, jeden z nich zwrócił się do mnie z prośbą, bym mu przydzielił kawałek łąki, znajdującej się w sąsiedztwie zajmowanej przez niego zagrody, na co ja żartobliwie zakpiłem z niego dziwiąc się głośno, że tak poprostu prosi o łąkę. "Taką sprawę" - rzekłem - "należy przeciągnąć przez bufet".

Na tej podstawie zostałem oskarżony o wymuszanie łapówki w postaci poczęstunku wódką. Przestraszyłem się nie na żarty i nazajutrz udałem się do Gorzowa do Prokuratury w celu wyjaśnienia sprawy. Prokurator przyjął mnie chłodno i oficjalnie, nie podając mi ręki, ani nie prosząc o zajęcie miejsca na krzeselku. Wyjaśniłem krótko, że zgodnie z ogólnie przyjętymi zwyczajami, łapówki wymusza się na cztery oczy, a nie publicznie i głośno na ogólnych zebraniach. Po miesiącu otrzymałem formalne zawiadomienie o umorzeniu dochodzenia z powodu braku dostatecznych dowodów winy. Normalnie takie załatwienie sprawy nie zadowoliłoby mnie, miałem jednak już spore doświadczenie życiowe, a że działo się to w okresie stalinowskim, więc poszedłem do baru i wychyliłem do swego odbicia w lustrze kieliszek wódki za zdrowie prokuratora. W rok później zostałem przeniesiony służbowo do państwowej instytucji geodezyjnej, w której pracuję do chwili obecnej. W ten sposób skończyłem z pracą w terenie, stając się typowym urzędnikiem. Na nowym stanowisku pracy bardzo mi się przydawało wieloletnie doświadczenie, nabyte w trakcie prac polowych.

Tak się szczęśliwie złożyło, że moim dyrektorem był i jest nadal dawny kolega akademicki, z którym łączą mnie przyjazne stosunki i osobista sympatia, datująca się jeszcze z czasów wspólnych studiów na politechnice. Na nowym stanowisku załatwiałem sprawy wymagające rozstrzygnięć donyć zawiłych problemów technicznych, a to zmuszało mnie do zagłębienia się w teoretyczne, fachowe rozważania, co bardzo mi odpowiadało. Od dawna już z zamyśleniem pogrążam się w szczegółowe, teoretyczne rozwiązania fachowe, wśród których odczuwam taką samą swobodę, jak do niedawna na stanowisku kierownika robót, czy grupy. Wspólną cechą obydwóch, tak różnych na pozór rodzajów pracy zawodowej, jest duża samodzielność. Zapoczątkowanie pracy urzędniczej w stolicy umożliwiło mi pełnię korzystania z wszelkiego rodzaju rozrywek kulturalnych i przerwało, tak długotrwały okres mego życia w nader prymitywnych warunkach. Pobyt w kolchozie, walki frontowe i praca terenowa na wsi stanowiły przecież okres kilkunastu lat życia, bez jakiegokolwiek możliwości brania udziału w życiu towarzyskim i kulturalnym.

Częście nawet w pracy ogromną większość otaczających mnie kolegów, stanowią kulturalni ludzie, z wyższym wykształceniem.

Pod tym względem moje wykołajone przez wojnę życie całkowicie powróciło do normalnego stanu.

Podsumowanie

Około 1956/57 roku poczułem się właściwym człowiekiem na właściwym miejscu. Znowu byłem mieszkańcem stolicy, miałem spokojną i przyjemną pracę w koleżeńskim atmosferze.

Mineły właśnie stalinowskie czasy i nie musiałem wystrzegać się nawet własnego cienia.

Wkrótce urząd, w którym pracowałem uzyskał pięć mieszkań słuźbowych, które Rada Zakładowa musiała rozdzielić na możliwie dużą ilość rodzin mieszkających w złych warunkach.

W międzyczasie mój kuzyn, u którego zajmowałem pokój, przestał się obawiać dokwatrowania, rodzina bowiem jego powiększyła się o syna. Zamiast powiedzieć mi wprost "wynoś się bracie, bo mnie samemu robi się tu ciasno", przyjął on inną drogę postępowania. Zawiadomił nas, że łazienka się popsuła, wobec czego nie możemy korzystać z wanny. Wkrótce zagroził ogród, oddzielając go od wejścia do mieszkania. Każdorazowo, chcąc dostać się do ogrodu, musieliśmy prosić o klucz do furtki. W kuchni zamieszkała jedna osoba z jego rodziny. Warunki jednak na jakich mieszkaliśmy nie zmieniły się wcale i ja nadal pokrywałem połowę wydatków na opłacenie podatków, opału i światła dla całego domu. W tej sytuacji, gdy Rada Zakładowa rozdzielała mieszkania pomiędzy pracowników zaproponowała mi należny dwupokojowy lokal, z warunkiem jednak, że mniejszy pokój "chwilowo" zajmie obca osoba, z prawem korzystania z łazienki i kuchni, wolałem wziąć inne mieszkanie składające się z dużego pokoju, kuchni, przedpokoju i łazienki. Było nas cztery osoby: ja, moja żona, córka i matka. Gdy przenieśliśmy się z małego i ciemnego 18 m² pokoiku z używalnością kuchni, do własnego mieszkania, w którym pokój miał powierzchnię aż 24 m² byliśmy uszczęśliwieni tak pomyślną zmianą warunków bytowania.

Przydzielając nam pokój z kuchnią Rada Zakładowa uważała moją rodzinę za trzypokojową, pocieszając mnie, że moja osiemdziesięcio-kilkuletnia matka przeżyje i tak wkrótce umrze.

Po jakimś czasie członkowie komisji rozdzielającej mieszkania zapytali mnie, czy czasem nie skrzywi posadzka i czy w związku z tym nie zaproszę ich na obładowanie mieszkania. Odpowiedziałem, że chwilowo jest jeszcze bardzo ciasno, ale przecież wkrótce umrze moja matka i wówczas chętnie ich poproszę na wódkę. Mama moja jednak nie wytrzymała z tego świata. Nie powiem, by warunki nasze należały do najlepszych. W jednym pokoju spały trzy pokolenia, bo moja matka

czyli babcia, ja z żoną i dorastająca już córka. Weselkie wzajemne czułości małżeńskie musieliśmy wciąż tłumić w sobie ze względu na stałą obecność osób trzecich. Przypominało mi to długotrwały okres narzeczeństwa. W międzyczasie odwiedziła siostra mojej tony, przygarnęliśmy więc ją do siebie i od tego czasu ten jeden pokój z kuchnią zajmowało łącznie pięć osób. Na dodatek nieszczęśliwa cała nasza rodzina odznaczała się miłością do stworzeń. Matka moja już od dawna marzyła o pokojowym piesku. Fabyty szczeniak szpic szybko wyrósł, więc matka kupiła sobie ratlerka, a szpicem zaopiekowała się moja żona. Córka przyniosła któregoś dnia zabiedzonego kociaka, któremu mieliśmy nieostrożność dać nieco mleka. Odtąd kociak przychodził codziennie po swoją porcję mleka. Po pewnym czasie, gdy nastąpiła zima, moje kobiety nie pozwoliły smarzać kociakowi i wzięły go na stałe do mieszkania. Wszystko to jednak było niczym, bo wkrótce, gdy sprowadziła się do nas siostra mej żony, przywiozła ze sobą dwa psy: fokstariera i spaniela. Łącznie więc mieszkaliśmy nas razem oprócz pięciu osób - czterech psów i kot.

Matka moja dożyła sędziwego wieku 95 lat, stopniowo niedołężniała, coraz to bardziej, aż w końcu przestała w ogóle wstawać z łóżka, choć właściwie nie była chora i tak pomalutką gasnąc, w końcu umarła. Nigdy nie spodziewałem się, że śmierć matki tak mnie złamie. Nie wiedziałem, że można mając ponad sześćdziesiąt lat, poczuć się opuszczoną sierotą. Przypuszczam, że w miłości rodziców do dzieci i dzieci do rodziców, przemożną rolę odgrywa instynkt. Nie wiem sobie w inny sposób wytłumaczyć mej bezgranicznej poprostu miłości do córki - jedynaczki. Analizując swój do niej stosunek, dochodzę do wniosku, że między innymi duże znaczenie ma w tym przypadku miłość twórcy do swego dzieła. Wychowanie bowiem dziecka stanowiło dla mnie eksperyment i stało się sprawdzianem wypracowanych przez mnie zasad. Zawsze uważałem, że wszelki przymus zabija godność ludzką. Córka moja nie dostała, ani ode mnie, ani też od swojej matki, nawet jednego klapsa. Nigdy niczego jej stanowczo nie zakazywałem, ograniczając się do serdecznych rad. Starłem się, by stosunki łączące mnie z córką wolne były od jakichkolwiek obaw, omieszkania, a nawet szacunku wymuszonego powagą ojcowską. Od najmłodszych lat, starałem się być jej towarzyszem zabaw. Gdy nieco już podrosła, zabierałem ją ze sobą do kina, na filmy niedozwolone dla młodzieży, zwracając każdorazowo jej uwagę na okoliczność, że "mimo złego początku, lecz koniec łasowy". Wyjaśniałem jej, że nie należy unikać i wyrzekać się żadnych doznań, a najważniejszym jest udział we wszystkim. Należy jedynie wystrzegać się nieodpowiedniego towarzysztwa i starać się tak sobie dobierać kolegów i koleżanki, by móc się czegoś od nich nauczyć. Często

zabierałem ją ze sobą na dancingi do przyzwoitych stołecznych lokali. Nigdy jej nie zaganiałem do nauki. Dziewczyna bardzo się spoufaliza, ofukuje mnie często i poucza, jak mam się zachować wobec osób trzecich, jak gdybym był młodszym jej bratem, a nie ojcem.

Obecnie, gdy jest już zupełnie dorosłą dwudziestotrzyletnią studentką politechniki, mogę podsumować wyniki swojej eksperymentalnej metody wychowawczej. Wyrosła z niej inteligentna i śmiała dziewczyna, bardzo bojowo nastawiona wobec otoczenia, samodzielna, przedsiębiorcza, uzościwa i prawa. Z upodobaniem rozwija swe zdolności do rysunków. Marzy o pracy w przyszłości w charakterze twórcy, lecz broń Boże nie urzędniczki, zobowiązanej do przestrzegania dyscypliny pracy. Głównymi jej wadami jest egoizm i pewna oschłość oraz przesadna pewność siebie. Przypuszczam, że dalsze doświadczenia życiowe przyczynią się do przytarcia jej trochę rogów. Wygląda mi jednak na to, że choć przestrzegałem swą córkę przed krańcowościami, zalecając umiar we wszystkich poczynaniach, sam nie ustrzegłem się przesady i nie zachowałem umiaru w stosowanej przez siebie metodzie wychowawczej, wskutek czego i uzyskane efekty wystąpiły zbyt jaskrawo. Godność własną od zarozumiałości dzieli tylko jeden krok, jak również i pewność siebie graniczy z głupotą i zarozumiałością. Egoizm jest typowym objawem młodości, a u rozpieszczonej, ukochanej jedynaczki na pewno został on nasilony przez stałe dogadzanie jej zachciankom. Silnie odczuwaną przeze mnie miłość do swej córeczki tkmacząc sobie również i własną wiarą w nieśmiertelność duszy, w darwinowskim ujęciu zagadnienia.

Od dawna interesuje mnie genetyka, która jednak stwierdzając niezależność cech dziedzicznych od bodźców zewnętrznych, oddziaływujących na poszczególnych osobników rodu, nie potrafi wyjaśnić darwinowskiej tezy rozwoju gatunków, przez stopniowe dostosowywanie się do warunków bytowania. Jeśli bowiem mutacje są wyłącznie dziełem przypadku, to i jednostki zmutowane w zasadzie nie lepiej, lecz gorzej są dostosowane do warunków zewnętrznych, niż jednostki normalne. Chcąc wyjaśnić i uzasadnić postęp rozwój musimy założyć, że stałe powtarzające się bodźce i dostosowywanie się do tych bodźców organizmów kilku pokoleń tego samego gatunku, odmiany, czy rodu, pozostawia po sobie jakiś ślad drążąc drogę do celowej mutacji, lepiej dostosowującej organizm do tych, stałe występujących, specyficznych warunków życia kilku pokoleń.

Może tu zachodzić pewna analogia do skutków i zmian narządów z innych dziedzin życia, jak choćby na przykład do skutowania się w skórze ludzkiej jednostki dawek toksycznych oddziaływania promieniowania Roentgena. I w tym przypadku powrotem można zabić jedną, zbyt dużą, dawką tego promieniowania, jak również

i szeregiem, często powtarzających się, nieszkodliwych dawek, których ilość rentgenów sumuje się i po osiągnięciu niedopuszczalnej wartości działa na równi toksycznie, jak pojedyncza, duża dawka. Analogicznie jeśli kropla spada na to samo miejsce dostatecznie długo, wówczas nie oprze się jej działaniu ani metal, ani kamień. Życie pojedynczego osobnika zbyt krótkie jest na to, by jakkolwiek nabyta przez niego cecha osobista mogła stać się dziedziczną. Jeśli jednak wiele pokoleń tego samego gatunku, odmiany czy poszczególnego rodu będzie rowijać się tę samą cechą, wówczas powinno to pociągnąć za sobą odpowiednią mutację genów i przekształcić się w cechę dziedziczną. Znane są przeciw rodziny specjalizujące się od wielu pokoleń w jakimś fachu i dochodzące w wyniku tego do perfekcji, ot choćby taka rodzina cukierników Elikle w Warszawie. Patrząc więc na swoje dzieci z genetycznego punktu widzenia możemy je śmiało traktować jako nas samych tylko. że w "nowym wydaniu poprawionym i uzupełnionym". Zresztą czego nie przekaże swojej córce dziedzicznie, potrafię to w nią wpoić osobistym przykładem oraz w procesie wychowania przez dyskusje. Jak się o tym przekonałem na młode pokolenie najbardziej oddziaływanie przykład, chętnie naśladowany i przyswajany, a daleko mniejszy wpływ na kształtowanie światopoglądu młodzieży ma jakkolwiek perswazja. Pruderia i zakłamanie starszego pokolenia nie uchodzą uwagi młodzieży, co wpływa na upadek prestiżu rodziców i przyczynia się do bagatelizowania przez dzieci "ględz^{ki} wapniaków". Ja jednak "wapniakiem" się nie czuję. Nadal jestem młody duchem i nie rezygnuję z przygód i przygódek. A oto kilka z wielu:

Któregoś upalnego lata, jako kierownik zespołu precyzyjnych pomiarów, wykonywałem swą pracę w pięknie położonej, nad jeziorem wśród lasów miejscowości Ruciane-Nida.

W pracy pomagała mi koleżanka z czasów studiów na politechnice, młodszą odemnie przystojną rozwódka. Pomiary wykonywaliśmy w lesie na odludziu. Słońce grzało niemilosiernie. Ja i moi robotnicy pracowaliśmy w spodenkach kąpielowych opalając się przy sposobności. Po kilku dniach koleżanka również zdecydowała się na strój kąpielowy, a że nie miała przy sobie odpowiedniego kostiumu, więc przywdziała prowizoryczny kostium składający się z białego, wełnianego biustonosza i dużej wełnianej chustki złożonej w kształt trójkąta, a następnie zawiązaną na biodrach zamiast spodenek kąpielowych. Stwierdziłem wówczas, że jest ona nieprzeciętnie zgrabna. Z lubością przyglądałem się harmonijnym ruchom całego ciała w czasie chodzenia.

Koleżanka zauważyła moje spojrzenia i wydawała się zadowolona z osiągniętych efektów. Po kilku dniach, w czasie pracy powiedziała mi, że chętnie by się napiła cze-

goś mocniejszego. Wobec tego gdy wieczorem, całym zespołem zasiedliśmy do - jak codziennie spóźnionego-obiadu w gospodzie ludowej - przypomniałem sobie życzenie tej pani. Odprawiłem po obiedzie kierowcę samochodu i robotników na kwatery, a sam pozostałem z nią w gospodzie i zamówiłem ćwiartkę wódki gatunkowej.

Wracaliśmy do schroniska PTTK późnym wieczorem w różowych humorach, nie więc dziwnego, że po drodze usiedliśmy w lesie obok drogi na krótki odpoczynek, który przeciągnął się, aż do świtania. Ze zdziwieniem zauważyliśmy, że dosłownie kilka kroków od nas znajduje się namiot, pod którym śpi cała rodzina. Oddaliliśmy się czym prędzej od namiotu i już po paru krokach natknęliśmy się na stojący w krzakach samochód osobowy, w którym ułożyło się do snu kilka osób. Okazało się, że spędziliśmy tych kilka nocnych godzin w bardzo licznym towarzystwie, lasek ten bowiem służył za miejsce biwakowania tym wszystkim turystom, którzy nie zdołali znaleźć kwatery na nocleg.

Następnego więc wieczora zorganizowaliśmy dłuższy spacer w głąb lasu, przy czym ja pozostawiłem swą towarzyszkę na wybranym ^{miejscu}, a sam obiegłem je dookoła sprawdzając, czy nie ma czasem kogoś w pobliżu. Rozłożyliśmy na trawie płaszcze koleżanki, usiedliśmy na nim i spędziliśmy kilka godzin w romantycznym nastroju, przy świetle księżyca. Po powrocie do schroniska PTTK wróciliśmy do zajmowanych przez siebie wieloosobowych sal w baraku przeznaczonym oienką ścianką działową na połowę damską i męską.

Robotnicy pozostawili otwarte drzwi, bez trudu więc dostałem się do środka i położyłem się do łóżka. Usłyszałem hałas przesuwanego łóżka po stronie damskiej baraku. Jak to się później okazało, drzwi były zamknięte, więc moje towarzyszka weszła do środka przez uchylone okno, przesuając przy tym jedno z łóżek przylegających do tego okna. Hałas zbudził prawie wszystkie panie nocujące w baraku. Z rana bohaterka opisywanego przeze mnie wydarzenia ze zdziwieniem zauważyła, że jest obiektem zainteresowania wszystkich swoich współlokaterek, które z uśmiechami tajemniczymi na twarzach znacząco porozumiewały się spojrzeniami. Równocześnie uwagę przebudzonej zwróciły ciemne plamy na kołdrze, którą były przykryta.

Zaniepokojona spojrzała do lustra i stwierdziła, że całą twarz ma umorusaną czarnymi jagodami. Okazało się, że leżeliśmy w lesie wśród czarnych jagód, które gnącione bezwiednie rękoma i ciężarem naszych ciał pozostawiły liczne ślady nie tylko na płaszczu, lecz również i na nas samych. Każde dotknięcie ręką do twarzy pozostawiało na niej fatalne ślady palców. Naturalnie przykra ta, a zarazem śmieszna przygoda zmusiła nas do natychmiastowej zmiany kwatery no i do zaniechania dalszych nocnych wypraw do lasu.

Miałem serdecznego przyjaciela Zagnusia, mego rówieśnika, człowieka z burzliwą przeszłością. Pamiętam go jeszcze z czasów studiów, których nie skończył, wybuch bowiem wojny uniemożliwił mu przystąpienie do egzaminu dyplomowego. Przed wojną przez dwa lata pracował jako marynarz na holenderskim statku handlowym.

Przy tej okazji zwiedził cały świat. Opowiadał mi kiedyś, że po wyjściu na ląd w Rio de Janeiro w jakiejś knajpie portowej poznał ciemnowłosą, przystojną i ognistą Hiszpankę, z którą następnie spędził noc w podrzędnym hoteliku. Przez cały czas miał szalone trudności porozumiewania się z partnerką, znał bowiem słabo język hiszpański. Rano przy wkładaniu obuwia pękło mu sznurowadło, oc widząc bezwiednie wyrzekł półgłosem "o psia krew". Usłyszała to współtowarzyszka i wykrzyknęła po polsku "To pan jest Polakiem?. Ach jakże ja się cieszę, ja również jestem z Łodzi" Okazało się, że domniemana Hiszpanka była Żydówką, emigrantką z Polski.

W czasie wojny Zygmunt był dowódcą plutonu ogniowego w tej samej baterii, w której ja byłem dowódcą plutonu kierowniczego. Wojowaliśmy więc razem. Po zakończeniu działań wojennych Zygmunt ożenił się z Żydówką, młodszą od niego o przeszło dwadzieścia lat. Wkrótce poznałem jego żonę. Często odwiedzałem szczęśliwe małżeństwo poświęcając wiele czasu na beztrojskie zabawy z dwoma przemilnymi i ubóstwianymi po prostu przez swego ojca, synami Zygmunta. W międzyczasie, Zygmunt jako pracownik produkcyjny w geodezji, przebywał często w delegacji służbowej poza Warszawą. Wówczas jego żona zapraszała mnie do siebie na herbatkę, zmuszając do opowiadania jej pikantnych dykteryjek i przygód z mego życia - podniecając się szczególnie słuchanych opowiadań.

Któregoś dnia w czasie nieobecności Zygmunta zasiedzialem się u jego żony, aż do późnych godzin wieczornych. Dzieci już dawno poszły spać, a my gwarzyliśmy wesoło przy kawie. Wtem usłyszeliśmy głośne i niecierpliwe pukanie do drzwi. Okazało się, że niespodziewanie Zygmunt wrócił z delegacji. Po wejściu do mieszkania i przywitaniu się z żoną zapytał dlaczego tak długo mu nie otwierała, a po zobaczeniu mnie w swoim mieszkaniu o tak późnej porze wskazał mi ręką drzwi i powiedział patetycznie : "proszę natychmiast opuścić mój dom", na co ja kompletnie zaskoczony jego postawą odpowiedziałem pytaniem "czyś ty Zygmunciu zwariował ? C co ty mnie posadzasz ?" Wówczas przyjaciel złapał ze stołu jakiś porcelanowy wazonik i z siłą rzucił go na podłogę. Szybko włożyłem płaszcze i poszedłem do domu. Okazało się, że po moim wyjściu Zygmunt tak dotliwie pobił swoją żonę, że przez cały tydzień nie mogła opuścić mieszkania. Po dwóch tygodniach Zygmunt przyszedł do mnie i uroczystie przeprosił za pomyłkowe posadzenie o przyprawienie mu rogów.

Ucieszyły mnie te przeprosiny, przyjaźń jednak skończyła się bezpowrotnie. Z zaskakujących mnie krzyżowych pytań wynioskowałem, że Zygmunt nadał podejrzenia mnie o jakieś konszachty za jego plecami ze swoją żoną.

Wiele lat później Zygmunt nagle zmarł na zawał serca.

Ścisłe w rok po jego śmierci zgłosiła się do mnie wdowa, oznajmiając bez ogródek, że nie myśli cierpieć czując się niewinną, że już od dawna darzy mnie sympatią, że już swansem oberwała od nieboszczyka męża za zdradzanie go ze mną, że ma zupełnie czyste sumienie, bo od śmierci męża minął cały rok i wobec tego obecnie nie widzi żadnych przeszkód w zrealizowaniu nieskusznie przypisywanych jej czynów - zdrady małżeńskiej.

Nie mam zwyczaju omijania nadarzających się okazji, z chęcią więc, a nawet z zapalem spełniłem pragnienie wdowy.

Cała zresztą przygoda wkrótce skończyła się tak samo szybko i nieoczekiwanie, jak się rozpoczęła i uroczą wdowa zerwała ze mną kontakty.

Umówiłem się w cukierni ze znajomym młodym małżeństwem, które zastałem w towarzystwie przystojnej i eleganckiej pani w wieku 25-30 lat. Z rozmowy wynikało, że pani ta jest plastyczką, która ma zamiar zakupić w Nowym Targu wełnę potrzebna jej do wyrobu swetrów i w związku z tym chciałaby pożytczyć dwa tysiące złotych.

Gdy panie oddaliły się na chwilę do toalety, powiedziałem żartem znajomemu, że chętnie pożyczę bym tej pani pięćset złotych, a przy zachowaniu pewnych dodatkowych warunków to nawet "na wieczne nieoddanie". Następnego dnia nowopoznana przystojna plastyczka zatelefonowała do mnie oznajmiając beztrzesko, że chętnie pożyczę odemnie pięćset złotych, godzi się przy tym na stawiane przeze mnie dodatkowe warunki pożyczki. Dla omówienia sprawy wyznaczyła mi spotkanie w tej samej cukierni, w której ją poznałem. Miałem przy sobie tylko sto złotych, poszedłem jednak na umówione spotkanie. Znajoma, a właściwie nieznajoma oznajmiła mi, że nie ma zbyt wiele czasu, po czym opuściła w moim towarzystwie lokal, zatrzymała przejeżdżającą taksówkę i zawiozła mnie do swego mieszkania. Okazało się, że jest ona żoną plastyka, absolwenta Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, sama zaś jest absolwentką średniej szkoły plastycznej. Wraz z mężem niedawno wybudowali sobie domek jednorodzinny, którego wnętrze urządzili wspólnymi siłami w sposób ładnie artystyczny. Przyprowadziła mnie więc ta pani do własnej willi, otworzyła drzwi kluczem i poprosiła do środka, przepraszając jednocześnie, że nie mogła jechać od rana zaskakującą kłótką. Rzeczywiście amerykańka zaskakująca była cudziutką pościelą, bez jakichkolwiek śladów spania. Uroczą gospodyni poprosiła mnie o poczekanie w salo-

nie mówiąc, że "ohociaż mycie skraca życie", to jednak wpadnie do kuchni na chwilę, by się umyć.

Skorzystałem z nieobecności tej pani w pokoju i szybko zająłem przygotowane posiedzenie, w którym już po chwili leżałem w miłym towarzystwie. Wkrótce zerwali się, żeby doprowadzić amerykańkę i własne garderoby do porządku, po czym zasiadliśmy do stołu, do miłej pogawędki przy czarnej kawie. Przeprosiłem grzecznie rozmówczynię wyjaśniając, że z tą pożyczką nie będzie tak prosta sprawa, że mam przy sobie zaledwie sto złotych, lecz towarzyski rozmowy to nie spieszy, bo szybko schowała do torebki podany przeze mnie banknot wyjaśniając, że właśnie ma duże trudności z wykończeniem łazienki i zbiera pieniądze na kafelki okładzinowe. Po chwili serdecznie pożegnaliśmy się, po czym udałem się do domu. Pierwszy raz zdarzyło mi się skorzystać z płatnej miłości kobiety ze średnim wykształceniem, żony kulturalnego człowieka z wyższym wykształceniem i to nie w domu publicznym, lecz w prywatnej, eleganckiej willi stanowiącej własność tej pani. Musiałem się uszczypnąć, by się przekonać, czy czasem nie śnię, oraz przyznać w duchu, że czas się zmieniły, a ja już wyszedłem z obiegu, bo nie potrafię obracać się w tym świecie, posługując się swymi przestarzałymi pojęciami, dzielącymi kobiety na porządne i ładacznicę. W kilka miesięcy później bohaterka mojej opowieści sprawiła imieniny. Kolega, który mnie z nią poznał poprosił bym, w jego imieniu złożyć życzenia solenizantce i zaniósł jej kwiaty od niego. Chętnie na to przystałem.

Przebrałem się w wizytowy garnitur i z kwiatami od kolegi oraz drugą wiązką od siebie, zjawiłem się w znanym mi już mieszkaniu. Otworzył mi mąż tej pani, po czym po złożeniu życzeń wizyta moja z początkowo zamierzonego kwadransa, przeciągnęła się do paru godzin. Podziwiałem z gustem i pomysłowością urządzone wnętrze obszernego mieszkania, a następnie zasiadłem z gospodarzami do stołu, przy którym wspólnymi siłami opróżniliśmy butelkę wina i butelkę wódki. Zachowałem się wyszukanie grzecznie względem pani domu, rozmawiałem jednak przede wszystkim z gospodarzem, który okazał się niezmiernie sympatycznym, kulturalnym panem, prawie o połowę młodszym ode mnie. Zauważyłem przy tym, że uroczą gospodyni jest mile zaskoczona moją wizytą oraz zachowywaniem wobec niej form towarzyskich, bez śladu jakiegokolwiek poufałości. Przy sposobności tej wizyty zwróciłem koszt taksówki opłaconej przez nią przy poprzedniej mojej bytności w jej domu.

Uważam, że w opisanych przeze mnie wydarzeniach tkwi element niesamowitości i że stanowią one znak czasów, w których żyjemy. Zresztą zupełnie niezauważalnie dla samego siebie i ja poważnie się zmieniłem i dostosowałem do nowych warunków życia. Przekonałem się o tym w czasie pobytu we Włoszech, dokładając im na zaproszenie swego brata - Stasia, który po walkach o Półwysep Apeniński,

stęnił się z Włoszką i zamieszkał na stałe w małym, ale starym miasteczku włoskim - Fermo. Przed wojną nie różniliśmy się poglądami politycznymi, a nie wydało mi się, by moje poglądy uległy poważniejszym zmianom. Dopiero zetknięcie się z bratem po wieloletniej rozłące i wzajemna wymiana zdań uświadomiły mi ogrom zmian jakie zaszły w naszych światopoglądach pod wpływem odmiennych warunków życia.

Zaskoczył mnie swoją wypowiedzią, że Rewolucja Październikowa w zdecydowany sposób wpłynęła na przyspieszenie postępu społecznego, przypuszczałem bowiem, że jego poglądy są bardziej konserwatywne.

Jednak wyjaśnienie przez brata jego stanowiska w poruszonym zagadnieniu, zaskoczyło mnie powtórnie, okazało się bowiem, że jego zdaniem, państwa zachodnie w obawie przed rewolucją proletariacką u siebie, zmuszone były do szybkich ustępstw na rzecz ludzi pracy, co w konsekwencji doprowadziło do daleko posuniętego postępu społecznego.

Wyzyskiwany np. na zachodzie robotnik ma prawo do strajku, gdy w krajach socjalistycznych jest to nawet nie do pomyslenia, chlebodawcą jest bowiem państwo, a więc wszelki tego rodzaju sprzeciw wobec chlebodawcy automatycznie zostałby potraktowany, jak bunt przeciw władzy własnego kraju i stłumiony w zarodku. Tak krańcowe poglądy nie odpowiadają mi, chociaż nie jestem zwolennikiem rąk silnej ręki. Wydaje mi się, że kapral Napoleon, malarz Hitler i kandydat na papę - Stalin - trzech przedstawiciele arbitralnej władzy - narobili dużo szumu, szybko zdobywali władzę, powodzenie i sławę, po to, by w końcu przegrać z kręcącym się bowiem tak zwanym "chłopskim rozumem" potrafili działać operatywnie i skutecznie, lecz tylko na krótką metę, nie zdołali bowiem przewidzieć i zaradzić dalszym konsekwencjom swych czynów. Ważnym też momentem, który zdecyduje o powodzeniu jakiegokolwiek poważniejszego przedsięwzięcia jest element miłości, bądź nienawiści. Nie tylko wiara chrześcijańska, lecz większość wyznań na świecie głosi prawdę, że celowa działalność nie ożywiona skromnością i miłością bliźniego, lecz mająca u swych podstaw ideologicznych pychę i nienawiść, nigdy nie da trwałych rezultatów.

W życiu społeczno - politycznym również moim zdaniem zachodzi zjawisko sumowania się bodźców. Ucisk, prześladowanie i niesprawiedliwość wzbudzają niechęć, która potęgując się z upływem czasu musi w końcu doprowadzić do rewolty, bądź represji, co jednak wywołuje powszechne oturzenie, a więc powoduje dalszy wzrost napięcia i niezadowolenie, przyspieszając tym samym proces dojrzewania społeczeństwa do rewolucji. Każda jednak rewolucja prowadzi do zachwiania ustalonej w ciągu wieków równowagi ekonomiczno-społecznej, w wyniku czego powstaje sytuacja, w której

dotychczasowe porządki ulegają radykalnej poprawie, jednocześnie jednak wywołują się, nieznane dotąd, nowe trudności, które zmuszają do częściowego cofnięcia poczynionych już zmian, względnie do ich modyfikacji. Dopiero po wielu latach osiąga się pełną harmonię wszystkich elementów politycznych, społecznych i ekonomicznych, przy tym najczęściej znów zaczynają stopniowo dochodzić do głosu niesprawiedliwość, wyzysk słabszych itp. objawy niedoskonałości ludzkiej, wynikającej z niedoceniań znaczenia miłości bliźniego. Jedynym więc trwałym skutkiem każdego przewrotu jest, słuszna z punktu widzenia sprawiedliwości dziejowej, zamiana ról uciskających i uciskanych.

Droga więc do trwałego postępu społecznego prowadzi przez unikanie represji i nie dopuszczanie do szerzenia się poczucia bezsilności wobec bezkarnie szerzącego się ucisku, przy jednoczesnym upowszechnianiu kultury, oświaty i nakazu życzliwości nie tylko dla najbliższych, lecz dla wszystkich ludzi. Innymi słowy należy wyeliminować pierwiastek nienawiści z umysłów i uczuć ludzkich, zastępując go pierwiastkiem życzliwości i miłości, pozwolić na swobodne wypowiedzianie się i na głośną krytykę społeczną. Wydaje się, że dojrzały koncept polityczno - społeczny stanowi wzór parlamentaryzmu angielskiego oparty na dwupartyjności. Partia aktualnie rządząca stale koryguje swoje posunięcia, licząc się z głośną krytyką partii opozycyjnej, wpływającej na urabianie opinii publicznej - obawia się bowiem obniżenia w społeczeństwie ilości swych zwolenników.

System dwupartyjności stanowi klasyczny przykład zastosowania umiaru w życiu społeczno-politycznym, w szerokich granicach możliwości, od dyktatury "uszcześliwiającej" społeczeństwo wbrew jego woli, do parlamentaryzmu liberalnego na wzór francuskiego, przed dojściem do władzy de Gaulle'a, lub polskiego, poprzedzającego rządu Piłsudskiego, który znów prowadzi do bezsilności władzy.

Innym znów przykładem braku umiaru jest przeciwstawianie sobie idealizmu i materializmu. Wydaje się, że te dwa przeciwstawiane sobie kierunki myślenia, da się łatwo pogodzić, a spory i wzajemne zwalczanie się tych kierunków są nieuzasadnione i bezprzedmiotowe.

Moim osobistym zdaniem są to dwa różne, uzupełniające się nawzajem, spojrzenia na otaczający nas świat z różnych punktów widzenia. Dopiero obydwa światowidzenia dają pełny obraz, podobnie jak w fizyce falowa teoria światła nie wyklucza molekularnej jego teorii Bohra. Homo sapiens, wraz ze swą rozległą wiedzą, opartą na obserwacji świata przy pomocy niedoskonałych zmysłów, wykazuje wiele zarozumiałości odrzucając, jako nieistniejące to, o czym sam prawie nie wie.

Prymitywna wiara obciążona szeregiem zabobonów, wraz z aniołami w niebie i diabłami w piekle, stanowi moim zdaniem objaw tęsknoty myśli i uczuć ludzkich do oderwania się od drobnych kłopotów materialnych dnia powszedniego i daje możliwość ucieczki w rejony fantazji i tęsknot w przypadku nieszczęść. Natomiast laicki sposób myślenia, całkowicie odrzucający wiarę w Boga, stanowi świadome ograniczenie myśli i uczuć do spraw związanych bezpośrednio z warunkami życia, ograniczenia tłumaczenia wszelkich zjawisk wyłącznie z materialistycznego punktu widzenia. Człowiek naprawdę światły może tylko powtórzyć z przekonaniem znaną formułę "wiem, że nic nie wiem".

„Szybki rozwój techniki i nauk ścisłych, kosztem nauk dziedziny humanistycznej, stwarzają sprzyjające warunki dla laickiego sposobu myślenia, pozostawiając w cieniu prawdę nieomal wszystkich religii, że głównym motorem w postępowaniu ludzkim powinna być miłość bliźniego. Wnie osobiście nie odpowiada ten dogmat w ujęciu religii chrześcijańskich. Mam własny ogólny pogląd na te zagadnienia zepożyczony z wierzeń dawnych kultur azjatyckich. Podstawą mego widzenia świata jest totemizm. Życie wewnętrzne każdej istoty stanowi zespół myślowych i uczuciowych reakcji na wydarzenia i bodźce świata zewnętrznego.

Rozpatrzymy więc podobne reakcje od najprymitywniejszej ich formy, aż do reakcji psychicznych tworzących duchowy świat ludzkiego życia, to jest aż do formy określanej mianem duszy ludzkiej.

Jedną z najprostszych form nieożywionej materii jest świat minerałów. Wiemy, że w minerałach pod wpływem bodźców zewnętrznych powstają pewne reakcje wewnętrzne. Przykładem tego może być choćby takie dostosowywanie temperatury i objętości do temperatury otoczenia, powstawanie naprężeń wewnętrznych pod wpływem sił zewnętrznych, różne stany namagnesowania i jonizowania, ładunku elektrycznego itp. Wszystko to możemy podciągnąć pod ogólne pojęcie przejawów życia wewnętrznego, czyli duszy.

Wynikałoby stąd, że nawet w życiu nieorganicznym występują pewne elementarne przejawy życia duchowego.

Podnosząc się stopniowo w hierarchii tak pojętych objawów dojrzewania duszy wymienić wypada odruch, instynkt i intelekt. W miarę rozwoju życia nieorganicznego, materialna budowa żywych organizmów komplikuje się, coraz to bardziej, porządkiem "uduchawiając się" stopniowo. W pewnym stadium tego rozwoju pojawia się świadomość bytu i własnych pragnień i dążeń, a następnie zdolność tworzenia abstrakcyjnych pojęć. Według starych wierzeń hinduskich cywilizacja zachodnia popełnia kardynalny błąd nie rozróżniając uczuć ludzkich, źródłem których są instynkty, od

uczuć powstałych na gruncie pojęć abstrakcyjnych, takich jak np. sprawiedliwość, humanizm, tolerancja itp. Uczucia pierwsze występują u zwierząt i w społeczeństwach żyjących w stanie dzikim, natomiast drugie są wytworem kultury i występują wyłącznie w społeczeństwach stojących na wyższym szczeblu rozwoju. Ogół ludzi w życiu swym posługuje się prawie wyłącznie pierwotnymi uczuciami i rozumem, natomiast tacy wielcy prorocy ludzkości jak Chrystus, Mahomet czy Budda, byli ludźmi posługującymi się w swym życiu, jako drogowskazem wyłącznie uczuciami wyższego rzędu, wykształconymi na bazie pojęć oderwanych i tym wyprzedzali o wiele pokoleń współczesne sobie społeczeństwa. Wynika też z tego, że nie tylko człowiek posiada tak zwaną "duszę", lecz i wszystkie żyjące na świecie stworzenia obdarzone są nią tylko, że w różnym stopniu. Z tego wypływa następnym bezpośrednio wnioskiem, że np. ewentualny brak prawnej opieki nad zwierzętami stanowiłby dowód barbarzyństwa i że zwalczono niewolnictwo, a obecnie walczą się o zniesienie kolonializmu, co dowodzi dużego postępu humanitaryzmu na świecie, za którym jednak nie nadąża walka ze znęcaniem się nad zwierzętami ..., a przecież psychikę psa, czy konia mniej dzieli od psychiki ludzkiej, niż np. Einsteina od przeciętnego Zulusa. Można dalej rozwijać myśl zawartą w przytoczonym poglądzie przypisując stopniowo uduchawianie się świata materialnego w procesie rozwoju życia organicznego. Można by zaryzykować hipotezę, że postęp na świecie polega na przekształcaniu się materii w ducha, drogą tworzenia się coraz to bardziej skomplikowanych układów jej budowy i że we wszechświecie zachodzą cykliczne okresy zmiany form materialnych w niematerialne, po czym następuje znów stopniowy powrót do form materii nieożywionej. Następnie, że materia i "dusza" są różnymi postaciami tej samej energii, jak materia i energia są różnymi postaciami tych samych czynników występujących w przyrodzie.

W tym aspekcie obowiązkiem każdego świadomego człowieka jest tak żyć i tak wpływać na swe otoczenie, by przyspieszyć proces postępu, kierując się w swym życiu nie instynktowymi, mniej, bądź bardziej egoistycznymi uczuciami, lecz uczuciami wyższego rzędu, wynikającymi z wyodrębnionych przez rozum ludzki abstrakcyjnych pojęć, a więc płynących z przemożnej chęci solidarnego służenia w swym życiu ideom. Im mniej czasu, energii i wysiłku poświęca się na zaspokajanie niezbędnych potrzeb materialnych i dogadzaniu swym zachciankom, tym zapewnia sobie większy udział uczestnictwa w postępie i w realizacji wyznawanej przez siebie i przez społeczeństwo ideologii. Filozofia, kultura i postęp społeczny mają dobre warunki rozwoju w społeczeństwie inteligentnym i bogatym, nie zaabsorbowanym zbyt wiele zdobywaniem środków do życia i nie opanowanym gwałtowną chęcią wzbogacenia się.

Z drugiej jednak strony zbyt łatwe warunki życia rozleniwiają i przyczyniają się do gnuśnienia. I tu więc, jak we wszystkim, decydującym czynnikiem jest umiar. Łatwo zauważyć, że obecny mój światopogląd wiąże się z doświadczeniami życiowymi i zbudowany został przeze mnie pod przemożnym wpływem przeżyć osobistych i właśnie dlatego jest prosto uzupełnieniem wspomnień dotyczących historii mego życia.

Dla uzyskanie pełnego obrazu należy dodać jeszcze kilka spostrzeżeń dotyczących kilkakrotnego mego pobytu u brata we Włoszech. Ojciec nasz zazwyczaj martwił się tym, że mój brat nie skończył studiów na uniwersytecie i w związku z tym nie zdobył żadnego fachu. Mawiał zwykle, że o mnie jest spokojny, niepokoi go jednak los mego brata. Życie wykazało, że obawy ojca były płonne, mój bowiem brat, wykorzystując walory osobiste, powtórnie ożenił się bogato z kulturalną osobą i w ten sposób zdobył te minimum kapitału, niezbędne w krajach kapitalistycznych, dla uruchomienia jakiegokolwiek przedsięwzięcia zarobkowego. Obecnie prowadzi on rzemieślniczą pracownię wytwarzającą plastikowe przynęty dla ryb, a więc produkt poszukiwany przez wędkarzy. Powodzi mu się materialnie nieporównanie lepiej niż mnie. Mieszka z rodziną we własnym pałacu zajmując w nim 15 dużych pokoi, urebłowanych wartościowymi kompletami mebli z XVIII wieku i posiada dwa samochody osobowe, luksusowych marek.

Mimo to nie czuje się szczęśliwy w obcym społeczeństwie i tęskni za Polską. Ja, w czasie pobytu we Włoszech, nie czułem się starszym bratem, lecz trochę nieokrzesanym, egzotycznym gościem z obcego świata. Panujące bowiem obecnie we Włoszech pojęcia, zwyczaje i obyczaje rażą mnie swym konserwatyzmem i zacofaniem, a jednocześnie sprawiają poważne trudności w dostosowaniu się do, jakże skomplikowanych i zawiłych obowiązujących tam, form towarzyskich. Wszyscy są jednakowo uprzejmi wobec innych osób, zupełnie niezależnie od przyjaznego, bądź wręcz wrogiego nastawienia do nich. Trudno się zorientować, czy przez uśmiechającą się do mnie uprzejmie panią domu, jestem właśnie podziwiany z sympatią, czy też oceniany negatywnie i krytycznie. Moje własne zachowanie się dla Włochów jest zbyt impulsywne i bezpośrednie, nie opanowałem bowiem sztuki całkowitego ukrywania swych uczuć, sympatii bądź antypatii, pod płaszczykiem zdawkowej uprzejmości. Dla mnie takie formy życia są trudne i uciążliwe, choć muszą przyznać, że stanowią one szczyty wielowiekowej kultury. Już po niecałym miesiącu pobytu, tęskniłem do szybkiego powrotu do kraju, gdzie między innymi czuję się daleko lepiej. Wysoki standard życia brata nie imponuje mi wcale, jestem mu jednak niezmiernie wdzięczny za udzielaną mi pomoc, przysyła bowiem systematycznie na bank PKO już od sześciu lat sumę trzydziestu dwóch dolarów miesięcznie, na czym zyskuje zarówno ja, jak i państwo zdobywając tą drogą dewizy strefy dolarowej.

Dla mnie stanowi to poważne zwiększenie możliwości utrzymania trzech niepracujących kobiet. Choć zarobki moje nie są niskie, to jednak zupełnie niewystarczające na utrzymanie czteroosobowej rodziny.

Zwiększenie wpływów pieniężnych o określoną sumę stanowi o poprawie warunków życia nieproporcjonalnie efektywniejszej, jeśli bowiem w tej sytuacji wydatki codzienne na utrzymanie pochłaniają powiedzmy aż 90 % zarobku, to zwiększenie wpływów na przykład o 50 % pozwoli na sześciokrotne zwiększenie wydatków nadprogramowych, przeznaczonych na rozrywki kulturalne, utranie, słodczyce itp., które wzrosną z 10 % zarobków do wysokości, aż ich 60 %. Pomoc więc materialna brata poważnie przyczynia się do poprawy mego samopoczucia i niweluje trudności wynikające ze zbyt dużej ilości osób na utrzymaniu, a tym samym przyczynia się również do lepszego samopoczucia w ustroju, którego jedną z podstawowych, charakterystycznych cech jest stosunkowo niska stopa życiowa spowodowana dużymi nakładami inwestycyjnymi na rozbudowę przemysłu i dużymi sumami zużywanymi na cele propagandowe. Zresztą moje samopoczucie i bez tego jest wymienione, po tym wszystkim bowiem co przeżyłem w okresie od 1939 do 1945 roku, późniejsze niepowodzenia i zmartwienia wydają mi się niepoważne, a poradito życie nauczyło mnie nie przywiązywać większej wagi do pieniędzy.

Wieloletnia praca zawodowa w terenie na świeżym powietrzu na pewno przyczyniła się do zachowania zdrowia i pełnej sprawności fizycznej, pomimo dość już zaawansowanego wieku, co z pewnością ma decydujący wpływ na dobre samopoczucie.

No i na zakończenie jeszcze kilka spostrzeżeń. A więc sposób dość elastycznego przestawiania się i dostosowywania do zmiennych warunków zewnętrznych dowodzi skuteczności tezy Marksa, że "byt określa świadomość". Dziś w normalnych warunkach życia jak najsurowiej np. potępiam kradzież mienia społecznego, mogę bowiem pozwolić sobie na zachowanie godności osobistej i na uczciwość. Inaczej wyglądała ta sprawa w surowych warunkach i niepewności jutra i braku innych możliwości zdobycia najniezbędniejszych środków do życia. Nie można więc osądzać czynów ludzkich w oderwaniu od okoliczności i środowiska, I jeszcze jedno - życie, nawet w najlepszych warunkach na obczyźnie, zdale od własnego kraju i narodu, jest ciężkie i trudne do zniesienia. Wolę żyć w trudniejszych warunkach, ale za to wśród swoich.

Moja córka urodzona i wychowana już po kataklizmie ostatniej wojny nie jest tak jak ja obciążona tyłu urazami psychicznymi, powstałymi wskutek szeregu "mocnych wrażeń", których nie poskapiło mi życie. Dopiero minięcie dłuższego okresu czasu od przeżytych przeze mnie wydarzeń, umożliwiło mi stosunkowo beznamiętne, a więc przypuszczalnie możliwie obiektywne ich opisanie.

Inna znów sprawa, że kto tego sam nie przeżył, ten i tak mnie nie zrozumie,

Post scriptum.

Jeszcze, gdy byłem w azjatyckiej części terytorium Związku Radzieckiego proponowano mi przyjęcie obywatelstwa radzieckiego. Jednym z argumentów tej propozycji była okoliczność, że urodziłem się w Petersburgu, w dzisiejszym Leningradzie.

Nie paliłem się wówczas do zmiany obywatelstwa, wobec czego z udanym oburzeniem wyjaśniłem indagującemu mnie urzędnikowi, że znów popełniono pomyłkę w zanotowaniu miejsca mego urodzenia, którym nie jest żaden Leningrad, tylko wieś Leonigródek w powiecie garwolińskim, województwa warszawskiego.

Urzędnik od ręki poprawił w mojej karcie ewidencyjnej miejsce urodzenia.

Dużo później, gdy posuwaliśmy się w pogoni za Niemcami, na zachód przez województwa lubelskie i warszawskie, przerzuciłem szereg map topograficznych poszukując bezskutecznie wsi Leonigródek i w związku z bezowocnością swych poszukiwań postarałem się pominąć przy podawaniu miejsca swego urodzenia.

Pozostał więc powiat garwoliński, który stopniowo zredukował się do Garwolina.

Po zakończeniu wojny i po powrocie do kraju zwróciłem się na piśmie do proboszcza kościoła parafialnego w Garwolinie z prośbą o wydanie mi wyciągu z metryki urodzenia, podając przy tym swoje imię, nazwisko i datę urodzenia. Liczyłem się z tym, że otrzymam odpowiedź odmowną wyjaśniającą, że księgi metryczne spaliły się w czasie działań wojennych w roku 1939. Nadzieje swe budowałem na oglądanej kiedyś w gazecie fotografii Garwolina po nalocie samolotów niemieckich.

Zdjęcie przedstawiało rząd dopalających się ruin drewnianych budynków ze sterczącymi w górę kikutami kominów.

Jakież więc było moje zdziwienie, gdy na swoją prośbę otrzymałem od księdza odpowiedź, że pomimo usilnych poszukiwań, nie mógł znaleźć mego nazwiska w księgach metrycznych.

Natychmiast udałem się osobiście do Garwolina, gdzie wyjaśniłem księdzu, jak na spowiedzi swą sytuację i prosiłem o pomoc. Proboszcz poinformował mien, że wstrząśnięte księgi, które znajdowały się w archiwum sądu powiatowego spaliły się w trakcie działań wojennych. Wobec tego po powrocie do Warszawy napisałem pocztówkę do Sądu Powiatowego w Garwolinie z prośbą o wyciąg z mojej metryki urodzenia, w odpowiedzi na którą uzyskałem tak potrzebne mi wyjaśnienie, że metryki uległy zniszczeniu. Posiadane świadectwo urodzenia włożyłem do butelki po mleku, zalałem stearyną i zakopałem w ziemi, gdzie przypuszczalnie leży dotąd.

Następnie wśród starych spargaków znalazłem tłumaczenie na język ukraiński mojej metryki urodzenia, sporządzone w 1940 r. w Równem. Był to bardzo interesujący dokument, napisany odręcznie atramentem na papierze przeznaczonym dla prowadzenia ksiąg buhalteryjnych, poliniowanym niebieskimi i czerwonymi kreskami. Wszystkie słowa wzbudzające zastrzeżenia tłumacza zostały opuszczone i zastąpione wielokropkami.

Opuszczono więc takie słowa jak: ksiądz, kościół, chrzest, sakrament itp. Zauważyłem, że słowo Petersburg określające miejsce mego urodzenia znajdowało się na środku arkusza. Skorzystałem z tej okoliczności i dokument ten złożyłem we dwoje tak, by miejsce złożenia pokryło się z wierszem zawierającym w swej treści słowo Petersburg. Następnie tak długo składałem i rozkładałem tłumaczenie metryki, aż w końcu papier porwał się i postrzępił. Wówczas podkleiłem dokument bardzo starannie.

Wiersz zawierający miejsce mego urodzenia był ledwo czytelny. Po takich przygotowaniach udałem się do tłumacza przysięgłego prosząc o przetłumaczenie metryki z języka ukraińskiego na polski.

Kobieta-tłumacz tak zasugerowała się pokazaną jej kartką pocztową z wiadomością o zniszczeniu ksiąg metrycznych w Garwolinie, że sama potrafiła odszukać w zniszczonym dokumencie słowa "urodzony w osadzie Garwolin". W ten sposób uzyskałem dokument stwierdzający, że urodziłem się nie na terenie obecnego Związku Radzieckiego, lecz w okolicy Warszawy w rdzennej Polsce.

Dalsze postępowanie sądowe stanowiło już tylko zwykłą formalność, w wyniku której we wszystkich dokumentach figuruję, jako urodzony w Garwolinie. Nawet w sekretariacie Politechniki Warszawskiej, przy wymianie tymczasowego zaświadczenia o uzyskaniu dyplomu inżyniera wydanego mi przed wojną na nowe, paniienka spytała mnie o miejsce urodzenia i wpisała do świadectwa dyplomowego: "urodzony w Garwolinie".

Zdają sobie sprawę z tego, że dokonana przeze mnie zmiana miejsca urodzenia praktycznie nie ma żadnego znaczenia i nie była warta tyle zachodu i starań, działałem jednak wówczas pod silnym wrażeniem niedawnych, burzliwych przeżyć wojennych, niebezpieczeństwa utraty obywatelstwa polskiego.

Któregoś dnia niespodziewanie otrzymałem przekaz pieniężny na sumę 10 tysięcy złotych z Poznania od nieznanej mi osoby, a dnia następnego drugi przekaz na 7,5 tysiąca złotych od tego samego nadawcy. Nie wiedziałem co to za gotówka, przyjąłem ją jednak przypuszczając, że wkrótce sprawa się wyjaśni. I rzeczywiście w kilka dni później odebrałem kartkę pocztową z wyjaśnieniem, że nadawcą przesłanej mi gotówki ^{któ} mieszkaniec Poznania ^{który} był we Włoszech, widział się z moim bratem i zaciągnął wobec niego pewne zobowiązanie pieniężne, a obecnie zgodnie z umową zwrócił dług. Autor pocztówki zapowiedział dzień i godzinę odwiedzin, na które przygotowałem się zakupując ćwiartkę wódki i odpowiednią zakąskę. W umówionym terminie zjawił się u nas inteligentny i sympatyczny młody człowiek mówiąc, że mój brat dużo mu pomógł w czasie jego pobytu we Włoszech, a on z kolei chciał odwdzięczyć nas w Warszawie. Przy miłej pogawędce wypiliśmy we dwójkę przygotowaną wódkę.

po czym mój gość oznajmił, że ma do mnie prośbę, bym przy najbliższym pobycie we Włoszech przekazał bratu od niego list. Chętnie zgodziłem się na tę drobną przysługę i umówiliśmy się, że mniej więcej za miesiąc młody człowiek zatelefonuje do mnie ustalając dzień i godzinę spotkania w jednej z warszawskich kawiarni, gdzie doręczy mi list do brata. W dalszej rozmowie wyjaśniło się, że omawiany list nie może być przesłany pocztą, jest bowiem skierowany za naszym pośrednictwem do policji włoskiej. Po tym wyjaśnieniu mój gość szybko pożegnał się i wyszedł. Byłem lekko podchmielony zbagatelizowałem więc uzyskane informacje i nie zastanowiłem się nad ich konsekwencjami.

Następnego jednak dnia zaniepokoiło mnie poważnie zachowanie się i postępowanie nowego znajomego. Przecież gdybym nic nie wiedział o treści listu, przewiózłbym go do Włoch nie podejrzewając niczego, po co więc mnie uwiadamiał o jego treści zawierającej jakieś informacje, dla policji włoskiej, wciągając mnie tym samym do afery szpiegowskiej. Przecież mnie nie znał i nie wiedział jak zareaguję na jego propozycję. A może jest to zwyczajna prowokacja zorganizowana przez Urząd Bezpieczeństwa ?. I właściwie dlaczego ja go nie wyrzuciłem za drzwi odnawiając jakiegokolwiek współdziałania w jego szpiegowskich poczynaniach ?. Przypuszczam, że atmosfera miłej pogawędki przy kieliszku oraz bardzo ostrożne i stopniowe orientowanie mnie w sytuacji i szybkie odejście przyczyniły się do braku zdecydowanej postawy z mojej strony. W myśl więc zasady, że "lepiej późno niż wcale" następnego dnia zwróciłem się o pomoc do jednego z kolegów biurowych, o którym wiedziałem, że ma znajomości wśród poważnych osobistości z resortu spraw wewnętrznych.

Kolega zadzwonił gdzieś, a następnie zawiózł mnie swym samochodem do jednej z kawiarni warszawskich, gdzie do zajmowanego przez nas stolika podszedł jakiś inteligentnie wyglądający pan w średnim wieku i zapytał mnie czy to ja mam jakieś kłopoty. Po otrzymaniu twierdzącej odpowiedzi pan ów zanotował moje nazwisko i numer telefonu, po czym pożegnał się i odszedł. My również opuściliśmy kawiarnię. Następnego dnia zostałem telefonicznie zawiadomiony, że mam po pracy pojechać autobusem 112 do końca trasy na Muranowie, gdzie będzie na mnie czekał kawiarniany znajomy, jak się później okazało pracownik kontrwywiadu. Po spotkaniu się na przystanku poszliśmy razem przez kilka podwojek do pobliskiego budynku i wjechaliśmy windą na jedno z górnych pięter, po czym mój towarzysz zadzwonił do drzwi jednego z mieszkań, a po dłuższym czasie, gdy nikt nie otwierał, wyjął z kieszeni kluczyk, otworzył drzwi i poprosił mnie do środka. Znaleźliśmy się w mieszkaniu składającym się z jednego pokoju z kuchnią i łazienką. Gospodarz pozostawił mnie w pokoju przy stole, a sam na chwilę wyszedł do kuchni. Wkrótce wrócił niosąc dwie filiżanki kawy, ciastka i butelkę wina. Nastawił radio, tak by muzyka utrud-

niała ewentualne podeśmuchiwanie naszej rozmowy, po czym poprosił mnie bym spokojnie i szczegółowo opowiedział jakie mam kłopoty. Rozmowa, w której odtworzyłem możliwie wiernie przebieg wydarzeń, trwała około dwóch godzin. Na prośbę tego pana i przy jego pomocy podałem na piśmie zwięzłą relację wydarzeń i swoje uwagi i podejrzenia na ten temat, a na końcu umieściłem podtytułowane mi zdanie, że zeznania swoje składam w poczuciu obywatelskiego obowiązku.

Otrzymałem i zanotowałem przypuszczalnie fikcyjne, przybrane nazwisko mego rozmówcy i numer jego telefonu i umówiliśmy się, że gdy otrzymam wiadomości od tego pana z Poznania, pójdę na umówione spotkanie i odbiorę list, wyrażając przy tym pełną gotowość jego przewiezienia. Natychmiast po umówieniu się zawiadomię telefonicznie o czasie i miejscu zamierzonego spotkania. Minęło jednak parę miesięcy, a mimo to znajomy z Poznania nie nawiązywał ze mną żadnej łączności. Po pewnym czasie znów zatelefonował do mnie mój opiekun z kontrwywiadu prosząc o parę minut rozmowy w jednej z kawiarni. Po przyjeździe na spotkanie zastałem przy stoliku dwóch panów; z jednym z nich kontaktowałem się dotąd, a drugi jak to wynikało z rozmowy był pracownikiem Min. Spraw Wewnętrznych, któremu została przekazana moja sprawa. Mój nowy znajomy rozmawiał ze mną bardzo grzecznie i zachowywał się w sposób kulturalny. Wyjaśnił mi, że jestem podejrzany o wrogi stosunek do dzisiejszej rzeczywistości, szpieg bowiem zanim zdecyduje się na demaskowanie własnej osoby musi się przed tym upewnić, że ma do czynienia z człowiekiem, który go nie zdradzi, a więc ze skrajnym reakcjonistą. Na ten zarzut odpowiedziałem, że jednak szpieg się przeliczył, czego najlepszym dowodem może być prowadzona obecnie rozmowa na jego temat z przedstawicielami władzy. Następnie mój rozmówca, prosił bym przy najbliższym pobycie we Włoszech wyjaśnił sytuację przez uzyskanie informacji od brata. Pół roku później, gdy odwiedziłem swego braciśzka opowiedziałem mu całą historię, zapytując o sprawę całego zamieszania. Dowiedziałem się wówczas, że ten młody człowiek odbywał praktykę w zakładach samochodowych "Fiat". Był on kochankiem, czy też bliskim znajomym jednej z koleżanek mojej bratowej, Włoszki, która poznała Polaka zdemobilizowanego z armii Andersa, wyszła za niego za mąż i zamieszkała z nim na stałe w Polsce. Pani ta wplątana w jakąś aferę spekulacyjną na Targach Poznańskich, gdzie zatrudniona była we włoskim pawilonie - została przymusowo wysiedlona z Polski wraz ze swą prawie dorosłą córką. Całe opisane towarzystwo spotykało się między innymi u mego brata. Któregoś dnia do braciśzka mego zwrócił się funkcjonariusz policji włoskiej z zapytaniem, czy czasem wysiedlona pani nie jest w zmwowie z polskimi władzami komunistycznymi, które upomórzały jej wysiedlenie polecając jednocześnie robotę szpiegowską na terenie Włoch. Wówczas brat mój wyjaśnił, że małe ma tę panią więc nie może służyć informacjami

wie natomiast, że ów młody człowiek z Poznania jest z nią w bliskiej komitywie, mógłby więc na ten temat powiedzieć daleko więcej. Wobec tego umówiono u brata spotkanie pracownika policji z praktykantem zakładów "Fiat", na którym młodzieńiec zaoferował policji włoskiej swoje usługi przechwalając się, że posiada wiele ciekawych informacji o Polsce, zdobytych dzięki utrzymywaniu znajomości z szeregiem działaczy partyjnych w Poznaniu. Przedstawiciel policji poinformował go, że nie jest upoważniony przez swoje władze do żadnych takich porozumień i rozmów, ale dowiódł się u przełożonych o ewentualnej możliwości współpracy z nim. Młody człowiek wrócił się do mego brata z prośbą o pożyczanie mu 160 tysięcy lirów rzekomo potrzebnych na opłacenie paszportu konsularnego umożliwiającego przedłużenie jego pobytu we Włoszech. Umówił się przy tym, że zaciągniętą pożyczkę zwróci rodzinie w Polsce. Za otrzymane pieniądze, jak to się później okazało, facet kupił sobie skuter "Lambretta", który następnie wywiózł do Polski na handel. Przed wyjazdem pożyczył u swej sympatii aparat fotograficzny, który ukradł i wywiózł do Polski. Stracił w ten sposób zaufanie i poważanie u wszystkich swych znajomych na terenie Włoch, co było powodem odmowy zaproszenia go do ponownego przyjazdu do Włoch. Ja po powrocie do Warszawy, skontaktowałem się ze swym "opiekunem" z MSW i powtórzyłem mu wszystko, czego się dowiedziałem od brata. Na tym zakończył się mój udział w opisanej aferze szpiegowskiej.

Wilno 7.XII.31 r.

Kochany Miły Tośik !

Bardzo się cieszę, że pamiętasz trochę o mnie gdyż miałam wrażenie że nie napiszesz. Jagrze się ucieszyłam czytając twoje tak miłe skówka. Piszesz że o tobie zapomniałam nie mój ty miły chłopcze ty tak jesteś nastrojony i zabawny że długo pozostaniesz umnie w sercu. Tośik tak byłś wówczas wesoły że naprawdę warjuję za tobą ty tak mnie oczarowałeś. Tak mi dobrze było tam uciebie w Małyńsku że niemogę ci opisać.

No cóż kiedy ten twój fater był w przeszkodzie gdyby nie on to bym jeszcze wariowała atak chciałam jeszcze. Jaka szkoda no nie jak kiedyś przyjadę do Warszawy to napewno do ciebie wstąpię a wówczas ciebie zaciągnę i troszkę popleszcze się z tobą tak miłe coś do ciebie ciągnie. Uśmiekałem się z tego że słóżąca poznała że to była dziwczynka a nie przebrany chłopczyk to mądra lala. Co zaś do piosenek to narazie ci nie przysięłę gdyż jestem tak zajęta że naprawdę przykro mi jak napiszesz domnie coś to ja ci wówczas przysięłę.

Tośik proszę cię piez domnie często nie zapominaj, o Niusi którą tak przypadkowo poznałeś ty mały Lisek. No dosyć mazać będziesz się mdzić czytając.

Zasylam ci Wagon Całósów jaki jest w Polsce.

Tvoja Niuśka

15.II.43 r.

Kochane moje Mamo i Żeniu !

Ja otrzymałem pierwszy żołd w wysokości 100rb/mies. Wojskowo - funkcyjnie jestem kapralem, a chwilowo awansowałem z pisarza na podoficera oświatowego. Mam sporo wolnego czasu, mam dostęp do wszystkich gazet - będę musiał prowadzić pogadanki z żołnierzami. Tutaj jest bardzo wielu ideowych i uczciwych ludzi wśród oficerów. Wogóle oblicze wojska jest naogół jednolite i rzeczywiście patryjotyczne. Ja zaczynam coraz to lepiej orjentować się w sytuacji i coraz to bardziej przekonywuję się, że wojsko jest polskie, nie tylko z powodu noszonych na czapkach orzełków zamiast gwiazd, lecz panuje tu duch polski - potryjotyczny i że wszystko to ma sens, cel i słuszną rację. Świadomość ta wpływa na mnie uspakajająco i dodaje mi siły - w rozłące z Wami. U nas tu wypadł śnieg i panuje zima. Wydano nam ciepłe czapki z nausznikami, rękawice, fufajki i płaszczki, wydadzą watowane spodnie i walonki. Spisky na siennikach.

Wogóle jest mi tu dobrze. Około Nowego Roku prawdopodobnie wyjedziemy stąd, więc śpieszcie się z pisaniem listów. Zresztą adres, czyli numer polowej poczty, nie zmieni się i pozostanie 21535.

Piszcie o sobie; czy nie zmarzły kartofle, czy Wy nie zmarzniecie, czy mieszkać razem? Ach, jakbym chciał zobaczyć się z Wami choć na kilka chwil, Bóg wie jak się ułoży dalej nasze życie, kiedy się skończy wojna i rozłąka i czy przetrwamy. Ja jednak chcę wierzyć, że przetrwamy tę rozłąkę, biedę i Wam również radzę liczyć obecnie życie poprostu jako okres przejściowy - przerwa w normalnym życiu - w której całe swe siły musicie skierować i naprężyć w jednym, jedynym celu, by przetrwać. Ja prawdopodobnie wcześniej się zobaczę z rodziną Żeni niż z Wami, bo Armia Czerwona jest już blisko od Równego. Wogóle pomimo wszystko jeszcze mam zawrót głowy i jeszcze nie bardzo sobie zdaję sprawę z nowej swej sytuacji życiowej. Jednak więcej się martwię o Was niż o siebie.

Całuję Was i czekam na list.

Witos

8.II.45 r.

Moje drogie!

Dwa dni przepuściłem, bo trafiliśmy trochę "b napen'em".

Znajdujemy się znów w gorącym miejscu. Siedzę w piwnicy, a na dworze aż się trzęsie od wybuchów. Już dwie noce z rzędu kładę się spać o 5-tej, a wstaję o 7-ej. Mamy rannych i zabitych, co przygnębiło mnie bardzo. Koło mnie w odległości 6 metrów rozewała się mina, obrzuciło mnie błotem, ale jestem zdrowszy i wesół.

U nas odwiłt, błoto. Wszyscy jeżdżą rowerami, ja też wszystkie zadania bojowe wykonuję nie zlatając z roweru. Powory leżą na drodze, zresztą nie tylko rowery, a motocykle, rowery, buciki, koce, trupy ludzi, koni, krów i psów - wszystko na kupie.

W miastach i na wsiach prawie cała ludność ucieka razem z wojskiem. Pozostają mieszkania i sklepy porzucone. Worki cukru, mąki, słoiki konfitur, wódki, likiery, bielizna, ubranie, obuwie, meble - wszystko na kupie. Wszystko do góry dupą. I na tym tle wasza nędza okropnie razi i paskudnie wygląda. Naturalnie obecnie mowy być nie może o jakichkolwiek staraniach o Was, bo zajęci jesteśmy walką.

Posyłam Wam swoje zdjęcie jeszcze z Wilgi z lata. Myślałem, że przypadną, a tymczasem fotograf je przyrządził.

Popsuli nam samochód odłankami, podziurawili sprzęt i ludzi. Ja byłem w okropnych

opalach, bo zostałem sam z żołnierzami w czasie niemieckiego nalotu ogniowego i musiałem decydować prędko i samodzielnie. Jakoś wybrnąłem. Na koniec nasza jednostka powąchała wojny z tej złej strony. Jest gorąco.

Całuję Was - Witos

14.II.45 r.

Moje kochane!

Gdy tylko życie normaluje się, natomiast chwytam mnie w swe szpony tęsknota. Właśnie w normalnym spokojnym życiu brak mi Was do szczęścia i dlatego wobec niemożności widzenia się z Wami wciąż tęsknię do żołnierskiej poniewierki, w której brak czasu na takie luksusy, jak tęsknota. Ach, jak ja bym chciał jednak mimo wszystko dożyć do końca wojny i zobaczyć się jeszcze z Wami! Mam, Żeniu! Jesteście mi tak drogie, że życie bez Was wydaje mi się zupełnie puste i beztętelne. Jedynie mocne emocje dostarczane przez trudne i niebezpieczne zadania bojowe kładą nieco ów pesymizm życiowy i wisielozą nastrój, chęć do krytyki wszystkiego i wszystkich, chęć do zrządzenia i ciągłe poczucie niesadowolenia i brak sensu i celu w życiu. Pomyślcie tylko! Nieomal 10 lat czekałem na skończenie politechniki, na dyplom i na rozpoczęcie samodzielnego życia według własnego widzimieję. Teraz znów 5 lat czekam na koniec wojny i wydaje mi się, że w konsekwencji całe moje życie zredukuje się do ciągłego oczekiwania.

Jeśli się głębiej nad tym zastanowić - można się powiesić z rozpacz. Po prostu zaczynam zazdrościć lekkomyślnym egoistom - ci mają dobrze!

Pohabierali ludzie różnego "barachka" zegarków i innych "figli migli" i śmieją się ze mnie, że ja zbieram nici i proszki do pieczenia ciasta. Ja rzeczywiście zbieram to z myślą wysłania Wam przy pierwszej okazji. Co prawda ubrałem się ciepło "zdobyłem" sobie ciepłą bieliznę i skarpetki "zdobyłem" 3 pudełka "owomaltyny" i udaję dziecko. Posyłam Wam jednocześnie gazetę "Wolna Polska" z 27.I.45 r. choć stara, ale lepszy pic, jak nic".

Całuję Was moje kochane kobieciska i proszę bardzo dbajcie o swoje zdrowie.

Witos

16.II.45 r.

Moje kochane!

Jak przykro stało i systematycznie dowiadywałem się o stracie znajomych, kolegów i przyjaciół. Każda taka wieść to jak uderzenia obuchem po łbie. Zresztą

może kiedyś przyjść kolejka i na mnie ... stanowczo bardzo bym nie chciał tego. Nawet w najgorszych warunkach, nawet w nędzy i biedzie; ale chcę żyć - by kiedyś zobaczyć się z Wami. No w Bogu nadzieja /matka głupich/. Narazie jednak jestem zdrow i choć nie wesół, ale trwam. Może uda mi się ściągnąć Was do siebie, wówczas będę naprawdę wesół i szczęśliwy. Ach, jak ja marzę o widzeniu się z Wami. Jak tęsknię do Was ! Jak beznadziejnie beztreściwe wydaje mi się moje życie! Moje kochane proszę Was i zaklinam piszcie jaknajczęściej. Listy to moje zbawienie, to jedyny promyk słońca w moim szarym życiu. Życie wojskowe, fizycznie nierówne, pełne przygód i wrażeń, ale uczuciowo jakże szare i beztreściwe !

Dnie mijają bez gładu, dnie podobne do siebie, dnie beztreściwe, zajęte pilnowaniem kanonierów, by zamietli u siebie podłogę, zrobili porządek, poczyścili broń, zajęte pić parokudnej wódki, liczeniem celów z tablicy logarytmów, w której na pamięć już znam jakie cyfry są w którym wierszu, na której stronie i ryzykiem trafienia pod ogień nieprzyjacielski. A przy tym wszystkim dręczy mnie i świdruje od wewnątrz świadomość, że Wy cierpicie zdala ode mnie i że ja choć jest - to moim moralnym i prawnym obowiązkiem, mimo to nic na to nie radzę i nie mogę poradzić, każda szklanka słodkiej herbaty przypomina mi, że wy tam siedzicie bez cukru, każdy kawałek słoniny, że wy odliczacie ją na miligramy nieomal. Szlag poprostu mnie trafia. Piszcie moje kochane, piszcie bo mi jest bardzo ciężko, piszcie, bo zwariuję od nadmiaru pesymizmu i głupich myśli.

Witos

25.II.45 r.

Moje kochane!

"Nie mów hop, zanim nie przeskoczysz": jutro ruszamy znów na zachód - wojować. Drugo nie cieszyłem się swym dziełem, ślicznymi ziemianeczkami luksusowo wyposażonymi. Znów trzeba będzie zaczynać od początku budowę mieszkania dla siebie. Dziś od rana latałem po lasach i polach, w związku ze zmianą miejsca. Jednakże warto się zmęczyć, by czuć rozkosz odpoczynku, warto się wygłodzić, by jedzenie dobrze smakowało, warto się wypościć, by potem "wyzłocić.." odpowiednio z werwą i zapachem. Znów naoglądałem kupę trupów. Dotychczas jeszcze w trupach, niezależnie od mundurów jak są ubrane, widzę jednak przede wszystkim biednych ludzi. Naturalnie dyskwalifikuje mnie to jako żołnierza. Najwięcej jednak spotyka się trupów konskich, a te to już chyba trudno dzielić na nasze i niemieckie. Biedne stworzenia! Naszych poległych nie widzi się, są natomiast drewniane krzyże z szerekami biało-czerwonymi wstęgami. Wygląda poetyczniejsz i estetyczniej, lecz w środ-

ci nie różni się niczym od nieopogrzebanych zwłok.

Paczka do Was poszła, ale ją na poczcie przepakowano, więc nie wiem, czy poszła w całości. Jaką mi sprawia szaloną przyjemność możliwość wyakania wam czegokolwiek! Zadowolony jestem, że pójdzie się znów naprzód, bo idzie się na spotkanie pokoju. Znów będą nowe miejsca, nowe i świeże wrażenia. Nowych ludzi nie będzie. Na terenie Niemiec jeszcze nie spotkałem dotąd ani jednego cywila-Niemca. Wsie i miasta są zupełnie puste - niezamieszkałe.

W szeregu dyskusji z d-ocą bat. wyjaśnia się, że jestem słym żołnierzem, mędrkującym inteligentem, zgnikiem, zagodniakiem, zastanawiającym się i wahającym, se skrupułami, sumieniem, humanitaryzmem itd.

Dośkonały żołnierz to - kołchoznik "Iwan". Pije wódkę i bije wroga na 102 - ani jednemu nie daruje, nie mędrkuje i zwycięża. Mnie już trochę późno przerabiać się zresztą nie chce.

Wojna jest zjawiskiem okresowym, a pokój stałym.

Całuję Was moje kochane. Piszcie!
Witos.

26.II.45 r.

Moje kochane !

Siedzę w dalszym ciągu na starym miejscu w lesie w ziemiance ciepłej i miłej. Spodziewam się, że wkrótce z bólem serca będę ją musiał pożegnać i opuścić. Jestem wciąż ciężkim tu, a myślą tam przy Was. Paczka poszła z czego jestem niezmiernie rad. Ja jestem wypoczęty, wyspany i najedzony, a nawet trochę rozleniwiony. Zaraz po napisaniu tego listu wezmę się do czytania "Etyki" - Spinoky. Panuje tu bowiem u nas cisza i spokój, które ochciałbym wykorzystać jak najbardziej. No coś właściwie nie ma co pisać; cisza i spokój "na zachodzie bez zmian". Tu namawiają mnie, żebym został na stałe w wojsku i obiecują złote góry, ale ja patrzę na tą sprawę bardzo a bardzo sceptycznie. Ze mnie żołnierz, jak z koziej dupy trąbka. Jedynie ma obowiązkowość i pewna doza inteligencji utrzymują mnie na wysokości zadania, jednocześnie jednak co dzień po 5 razy "przewracają się książki", wciąż muszę się zmuszać do patrzenia, lub wykonywania rzeczy dla mnie wstrętnych, bezmyślnych i głupich. Wojsko ma ustrój wybitnie arystokratyczny. Panują gwiazdki oficerskie. Ja jestem w głębi ducha demokratą. Nie potrafię wymagać od innych "na siłę" względów i usług osobistych, lubię sprawy załatwiać polubownie i cicho, a tu trzeba opierdalać, szacunek w wojsku wyrabia się nie wzbudzeniem przywiązania czy miłości, lecz strachem i "ważnością", więc trzeba być wciąż srogim i narpuszonym. Wstrętne !

O końcu wojny sam niewiem co mam myśleć. Trudno być prorokiem, ale można przewidywać, że do jesieni wojna nie dotrwa. Ja osobiście patrzę na to dość pesymistycznie. Nie wierzę w możliwość błyskawicznego zakończenia. Można okrążyć Berlin, po miesiącu walk zdobyć go, ale to jeszcze nie oznacza końca wojny. Myślę, że będzie małe zatwardzenie na froncie i gdzieś w ozerwou, czy w lipcu, tak jak to bywa co roku, rozpocznie się letnia ofensywa, która wykończy Niemców. U nas już wiosna na cały regulator; odwilż, deszcz, ciepło i mokro. W tych dniach wysłałem Wam nowe zażwiadczenie, że jesteście rodziną wojskową. W tych dniach pewno wypłacą nam zaległy żołd, o ile tylko to będzie możliwe, pošlę Wam kilkaset rubli. Z niecierpliwością oczekuję listu od Was. Piszcie moje Kochane, piszcie co Wam przysłać. Za miesiąc znów wysła paczkę, chciałbym Wam przysłać to, czego Wam najbardziej brak. Jakże bym chciał zobaczyć Was, choć na chwilę! Jakżeby się chciało ulżyć sobie trochę, naużywać się jak pies w studni - natłopać się tego śmierdzącego miodu i w ten sposób ożywić trochę "Śpiącą Królową" Żeniczkę.

Posyłam Wam jedną zapalniczkę.

Piszcie!

Całuję Was mocno, mocno.

Witos

27.V.45 r.

Moje Kochane!

Dziś niedziela, nuda na nudy. Cały tydzień czeka się tej niedzieli, po to, by potem całą niedzielę przekazać z kąta w kąt. Od rana odbyła się defilada, rozdawanie orderów itp. duperełki. Na wieczór będziemy mieli przegląd lekarski. Niektórzy grają w piłkę, ja tego nie umiem i nie lubię. Niektórzy piją, gdyby było coś dobrego wypiłbym i ja, ale oni piją śmierdzącą wódkę, która była przechowywana w balzach po nałcie. Wczoraj była odprawa na której powiedziano, że należy podnosić swe kwalifikacje wojskowe, bo o pójściu do cywila mowy być teraz nie może. Żaden z oficerów do cywila nie pójdzie. Ja jednak nie wierzę. Przypuszczam, że mówią tak po to, by zwalczać nastroje niepożądane. Gdy się ktoś zbyt wcześnie wybiera do domu, wówczas ma skłonność do zaniedbywania swych obowiązków. Inna sprawa, że puszczają nas dopiero wówczas, gdy sytuacja pokojowo-polityczna wyjaśni się zupełnie. Jestem gotów siedzieć w wojsku jeszcze pół roku i więcej byleby Was sprowadzono do Polski. Mój nowy d-ca jest poważnym i sympatycznym człowiekiem. Opanowany, systematyczny, doskonale pasuje do mego usposobienia i charakteru. Na dodatek zdaje się niezależnie od wszystkiego jest babiarzem.

W obecnym wym życiu najprzyjemniejszy jest sen. Wszyscy jesteście w dal-

szym ciągu zaintrygowani tymi ankietami, co nam je dali do wypełnienia. Gubiny są w domysłach co z nami chcą zrobić. Ale trafikiem w przyzwoite towarzystwo więc myślę, że nie czeka nas nic złego. W czasie wojny życie me było pełne emocji, teraz jest beznadziejne, puste, beztreściwe i nudne.

Dawniej każdy wyjazd kosztował mnie kupę nerwów, teraz nie mogę doczekać się wyjazdu, który zresztą zdaje się nastąpi nieprędko. Czuję się więc beznadziejnie. Chciałbym fizycznie niczego mi nie brak, oprócz ciepłej kobiety pod pierzyną. Dokucza mi ten brak i bezmyślność życia codziennego i beznadziejna horoskopy na przyszłość. O urlopach chwilowo niema mowy. Trzeba rok przesłużyć, by otrzymać urlop, a ja oficerem jestem dopiero pół roku. Na odprawie przyglądałem się twarzom oficerów. Dużo jest typów w rodzaju Piotra Monacha, a wszyscy wyżej srajają jak dupy mają. No całuję Was moje Kochane, do jutra, może jutro przyniesie jaką zmianę na lepsze choć w samopoczuciu. Tak już obrzydło wciąż czekać i czekać. Chciałoby się już nareszcie doczekać normalnego życia w rodzinie i w swej pracy zawodowej.

Witos

30.V.45 r.

Moje Kochane!

Dziś od rana tak ganiłi żołnierzy, taką im i nam dali szkołę, że aż ma życie niemile. Do wychodka żołnierzy trzeba prowadzić parami. Na odprawę oficerów idą w szeregu itd., a to wszystko dlatego, że nasz obecny d-ca dyw. był dawniej zawodowym oficerem w szkole wojskowej. Teraz rzeczywiście może zrobić ze mnie tą metodą prawdziwego wojskowego albo ja w międzyczasie powieszę się z rozpaky. Pomyślę tylko, jak ja się muszę paskudnie czuć w przymusowej sytuacji zmuszającej mnie z moimi prawdziwie liberalnymi i demokratycznymi poglądami, przebywać w takiej atmosferze. Dziś odbędzie się przegląd lekarski. Na te konto włożyłem na siebie oddawna już zarzucony pas rupturalny. Dziś odbędzie się sąd nad jednym z oficerów za mordobój. Siedzę właśnie obecnie na sali sądowej i w oczekiwaniu tego "przedstawienia" piszę ten list.

O naszym wyjeździe ucichło. Dziś otrzymałem 2 listy od Mutry. Tylko się ucieszyłem, że na koniec matka już jest zdrowa, gdy znów dowiedziałem się o chorobie Leni. Na zmianę, jakwidzę, chorujecie. Dziś są takie niepewne czasy, że radzę Wam mniej myśleć o jutrze a w miarę sił i możliwości starać się raczej dogodzić sobie. Ja wciąż mam w pamięci Waszą sprawę i nie omieszka skorzystać z każdej nadającej się ku temu sytuacji, by się o Was starać.

Ale wątpię czy prędko będę miał możliwość zrobić coś więcej niż pisać prywatne listy do różnych urzędów. Listy przesłane drogą służbową z reguły giną. Obrzydło mi

życie z dnia na dzień w oczekiwaniu lepszego jutra, wolności osobistej, życia w rodzinie, pracy w swoim fachu i innych cudów nieosiągalnych pomimo, że są atrybutami normalnego życia i nie stanowią na ogół nic nadzwyczajnego. Już mam dosyć wszelkiego udawania. Udawałem robotnika, potem kanoniera, teraz udaję oficera, a chciałoby się na koniec być sobą. Tęsknię do normalnego trybu życia. Bardzo jestem ciekaw jaki wpływ wywarło na mnie wojsko, ale to osądzić potraficie tylko Wy. W każdym razie od pół roku żyję już mniej więcej normalnie, choć zupełnie nie tak, jakby mi się samemu chciało, a Wy tam tymczasem węcycie się i za co? Za ozyje winy? A jeśli nawet były winy, to czy ja 10 miesiącami frontu nie okupiłem ich za siebie i za Was? Właśnie takie i tym podobne myśli robią ze mnie zawodowego malkontenta i zgryźliwego starca, choć usposobienie mam wesołe i beztroskie. Czekuję Was moje Kochane i czekam na dalsze listy.

Pozdrowienia dla Oli!

Witos

DON KICHOT
fragment z rosniała:
ESKAPADA MIŁOŚNA /solna przeróbka/

Spojrzał na swego wiernego sługę; kiwnął głową i obaj poszli szerokim gościńcem w kierunku wioski. Słońce przedzierając się spoza chmur, rzucając swoje złote promienie na okoliczne pola i kępy zielonych drzew. Z pobliskiego jeziora unosił się rechot żab. Słaby wiatryk szumiał w przydrożnych drzewach, strząsał z liści krople deszczu.

Don Kichot szedł długim, miarowym krokiem z chlebem pod pachą, zaś parę kroków za nim, leciał drobnym truchołkiem, ledwo mogąc nadążyć za swoim panem - Sancho Pancho, z woreczkiem cukru.

Przelatujące jaskółki śpiewały rycersowi: "Dulcyneo zgasz mój gaz. Dulcyneo już jest czas". Zaś wrony krakały nad głowami wędrowców: "Tylko uważaj, tylko uważaj, tylko uważaj", a echo w pobliskim lesie odpowiadało: "Żebyś nie był gościem doktora, żebyś nie był gościem doktora, żebyś nie był gościem doktora".

Nagle powietrze przedarł piskliwy głos jego giermka: "Panie, zwolnij kręku - ja już opadam z braku sił". Miłos! Ty głupi pacholku! Czy nie wiesz, że w tej wiosce oczekają na nas niebiańskie rozkosze? Rozkosze, o jakich nie śniło się nawet niewiernemu Allahowi w niebie!

I przed oczyma Kichota w tej chwili powstała wizja ślicznej, pątniej Dulcyni, leżącej nago na łożu w pobliskiej wiosce i oczekującej z utęsknieniem przybycia pana swego serca.

Przypomniał sobie nasz rycerski swego przyjaciela, mistrza gier miłosny Don Kondona i jego przygody miłosne. Na samo wspomnienie krew uderzyła mu do głowy. Otarł spoczone czoło, przerzucił chleb z jednej ręki do drugiej i przyspieszył kroku.

Już na tle zachodzącego słońca widoczny był wiatrak i pierwsze chaty wioski - gdy nagle poczuł w żołądku taki głód, jakgdyby tysiące Saracenów urządziło barce na ubitym placu.

- "Giermku mój" rzekł Don Kichot do Sancho Panchy. "Co by rzekła na to nasza przedliczna senorita Dulcynia- Germanio, gdybyśmy zjedli teraz chleb i cukier? To rzekłszy, usiedli koło gościńca i rozpoczęli spożywać chleb z cukrem, popijając wodą z pobliskiej kałuży. Woda zaś z kałuży była tak gęsta i ciemna, zdawało im się jak gdyby pili kawę swyczącym niewiernych Murów.

Gdy Don Kichot zjadł już prawie cały chleb, pogłaskał się po brzuchu i rzekł w te słowa: "A teraz kolej na Ciebie, mój wierny giermku. Wieds - że pan

Twój pamięta o Tobie" - i wręczył mi jak zwykle przyłepkę.

Nagle stanęła przed rycerzem ponownie wizja słodkiej Dulcyni, witającej jego tymi słowami: "Z cześć przyszedł do mnie, o ukochany? Ażaliż chcesz, abym Ci dała swe ciało bez chleba i cukru?".

I obudziła się dusza szlachetnego rycerza i przejrzała. I rzekł pan do służki wiernego: "Wracajmy, gdyż dżonie nasze są puste!" I zawrócili, unosząc ze sobą pełne worki sieczy życiodajnej w spodniach.

Słońce swoimi promieniami ostatnimi głąskając falujące żany zbóż i odbijając się kolorami tęczy w cudnej tafli jeziora. Żaby w stawie rechotały skandując: DU-RA-KI, DU-RA-KI.

I nim czerwona tarcza słoneczna schowała się za horyzontem, pan na Pipidówce, Don Kichot i jego wierny giermek Sancho Pancho byli już tam, skąd wyszli. Wrócili - z czym wyszli. Tylko chleb i cukier nie trafiły na miejsce swego przeznaczenia